

SZUKAJ WYDANIA Z FILMEM FABULARNYM „JP II – SANTO SUBITO”



NR 4(74)/2019 KWIECIEŃ 2019

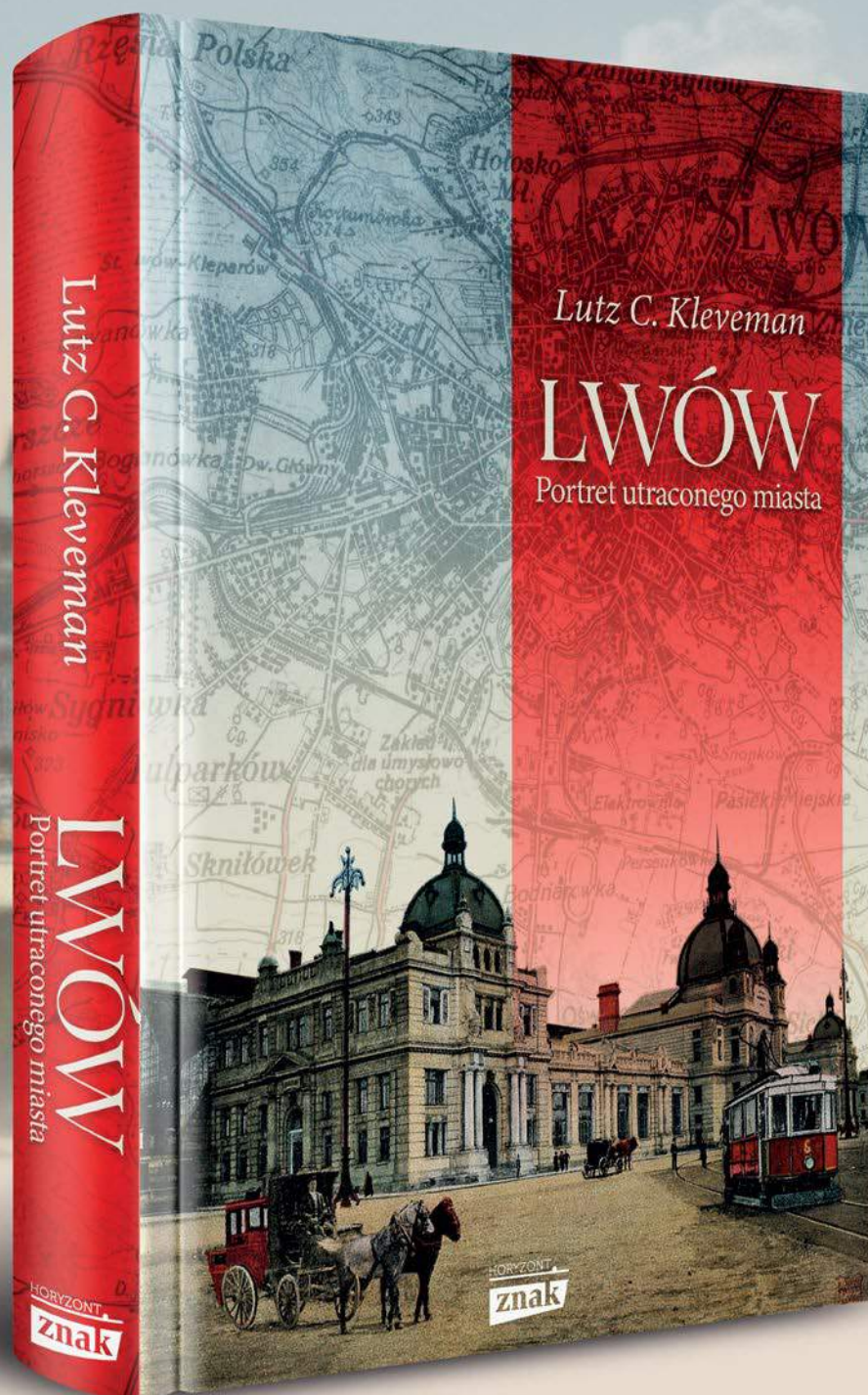
CENA 8,90 zł (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
RZECZY

Deportacje na Syberię SOWIECKIE PIEKŁO POLAKÓW

ISSN 2299-9515
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 26631
9 772299 1951509



W mieście kojarzącym się z ostoją polskości
jesteśmy dziś tylko turystami.

Premiera: kwiecień 2019

ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL

Prowadzący: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY”.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: Piotr Zychowicz

Z ZESPOŁEM:

Redaktorzy: Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Marcin Bartnicki, Piotr Włoczyk

Studio graficzne: Wojciech Niedziółko (szef studia), Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoedycja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska
Okładka: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: Karol Gac (zastępca), Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także SuperExpress), Marek Budzisz

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu spółka Orle Pióro
wchodzi w skład grupy kapitałowej PMPG SA,
notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: Michał M. Lisiecki

Zarząd spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: +48 22 347 50 10

reklama@dorzeczy.pl

PUBLIC RELATIONS:

pr@point-group.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż),

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@mpmg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaz egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu nakładu podstawowego 296031

Nr indeksu nakładu z filmem 297887

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie

www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych.

Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.

Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Wileńszczyzna, czerwiec 1928 r.

Patrol oddziału Korpusu Ochrony Pogranicza z batalionu „Nowe Święciany”



FOT. IMC

Od redaktora



Piotr Zychowicz

Lodowa gehenna Polaków

To było 10 lat temu. Pojechałem wówczas do Zabrza przeprowadzić wywiad z mjr. Czesławem Blicharskim, byłem żołnierzem Dywizjonu 300, który w 1945 r. brał udział w dywanowym bombardowaniu Drezna.

Dopiero na miejscu dowiedziałem się, że major trafił do polskiego lotnictwa przez Syberię. W 1940 r. został bowiem deportowany z Tarnopola do Archangielska. A potem bolszewicy zamknęli go w straszliwym łagrze w Workucie.

Nigdy nie zapomnę opowieści pana Czesława – mróz, od którego pękały drzewa, straszliwy głód, niewolnicza praca przy wyrębie tajgi. Do tego pogarda dla ludzkiego życia i zwierzęca brutalność Sowietów. Zarówno strażników łagrowych, jak i współwięźniów.

Urkowie – czyli wytatuowani, zdemonizowani do szpiku kości recydywiści – uwzięli się na polskich więźniów. Pan Blicharski podczas jednego z wyjść do pracy omal nie stracił głowy. Dosłownie. Jeden ze współwięźniów cisnął bowiem w niego toporem. Uratował go refleks i łut szczęścia.

Czesław Blicharski wyrwał się z nieludzkiej ziemi. Udało mu się wyjechać na Zachód, mieszkał w Argentynie, potem przyjechał do Polski. Dziesiątki tysięcy naszych rodaków zostały jednak w Sowietach na zawsze. Zmarli z głodu, chorób, zamarli na śmierć lub zostali zamordowani przez bolszewików. Ich kości do dzisiaj spoczywają w bezimiennych mogiłach na terenie byłego czerwonego imperium.

Pierwsze sowieckie masowe deportacje Polaków miały miejsce w latach 30. Ostatnie w latach 50. XX w. Jaki był cel tych operacji? Dlaczego Sowietci skrzywdzili tylu ludzi? Odpowiedź jest prosta. Stalin wiedział, że nie uda mu się ujarzmić i zsowietyzować polskiego społeczeństwa, jeżeli wcześniej nie obetnie mu głowy. Nie pozbawi go patriotycznych elit. Wielkie przestrzenie Syberii i Kazachstanu idealnie nadawały się do tego zadania.

Sowieci chcieli, żeby po wywiezionych Polakach wszelki śluch zaginął. Ale my pamiętamy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

/ TEMAT NUMERU

.6 TOMASZ STAŃCZYK

Z kresów na zesłanie

.10 ANNA HERBICH

Dziecko w Sowietach

.14 WSPOMNIENIA OFIAR

Relacje z czerwonego piekła

.18 PIOTR ZYCHOWICZ

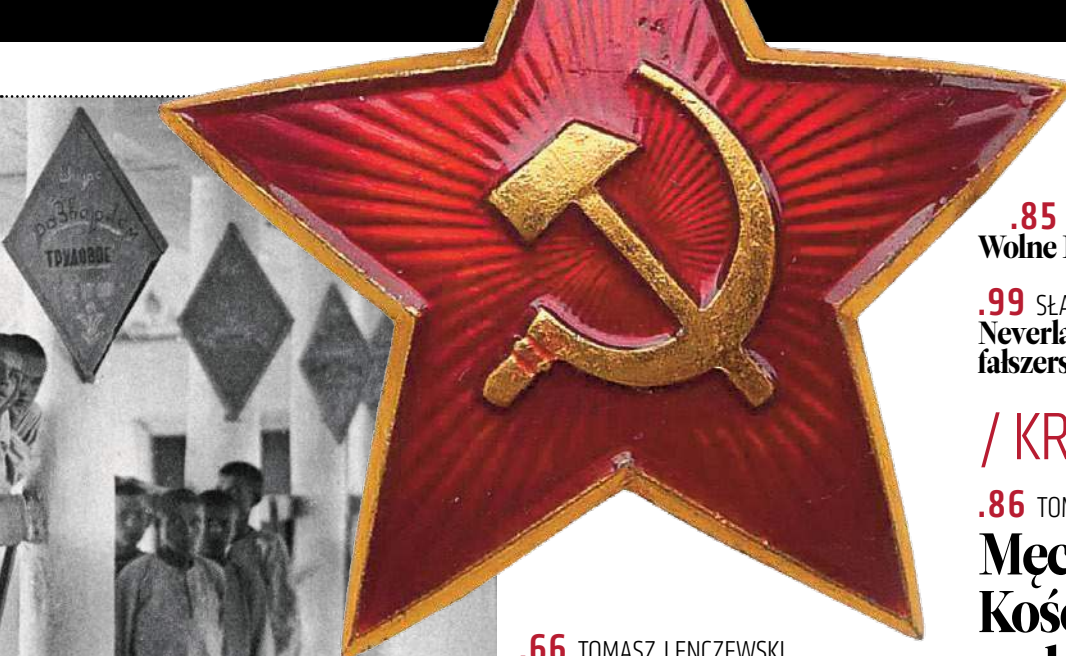
Zapomniana deportacja

/ CZASY I LUDZIE



.22 MAREK GAŁĘZOWSKI

Victoria warszawska.26 HERSHEL W. WILLIAMS
Jak zdobyłem Iwo-jimę.30 PIOTR ZYCHOWICZ
Bokser z gwiazdą Dawida.34 MIKOŁAJ IWANOW
Teczka Stalina.38 ARKADIUSZ KARBOWIAK
„Czarny Książę”.42 JAKUB OSTROMĘCKI
Geronimo – amerykańska legenda.48 MARCIN BARTNICKI
Wielka prowokacja UB.52 SŁAWOMIR KOPER
Zamach braci Kowalczyków.55 PIOTR SEMKA
Dwóch dziadków z AK



.85 PIOTR SEMKA
Wolne Miasto – dziwna fantazja

.99 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
**Neverland, czyli biograficzne
falszerstwo**

/ KRESY

.86 TOMASZ STAŃCZYK
**Męczeństwo
Kościoła
na kresach**

.66 TOMASZ LENCZEWSKI
Likwidacja „Jastrzębia” z AL

.70 MARIAN ZACHARSKI
Esesman na żołdzie Ameryki



/ BATALIE I WODZOWIE

.90 MACIEJ ROSALAK
**Ciosy
staropolskiego
oręza**

/ KOMIKS

.98 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI
I MACIEJ JASIŃSKI

**Masakra
na półwyspie**



.74 OLEG ŁATYSZONK
KONTRA JAN ŻARYN

**Spór o kapitana
Rajsa „Burego”**

.96 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Telegrafia

/ CO CZYTAĆ

.76 KRZYSZTOF MASŁOŃ

**Arcydzieło
wciąż
nieodkryte**

/ FELIETONY

.84 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Sny o możliwości

.58 DERMOT TURING
Polscy pogromcy Enigmy

.62 MACIEJ ROSALAK
Wikingowie w Kijowie



FOT. WOJCIECH STRAŻYK/REPORTER

1940–1951 / Sowieckie deportacje

Z kresów na zesłanie



Tomasz Stańczyk

/ Bolszewicy wywieźli w głąb Związku Sowieckiego setki tysięcy Polaków. Wielu z nich nigdy nie wróciło z lodowego piekła

7 stycznia 1940 r. Mińsk. Na naradzie u I sekretarza białoruskiej partii komunistycznej w sprawie deportacji polskich osadników i leśników głos zabiera Ławrientij Canawa, komisarz bezpieczeństwa publicznego. Mówi: „Polityczne znaczenie tej sprawy nie budzi wątpliwości. Wiadomo wam, co prezentuje sobą osadnik stanowiący najemną siłę byłego państwa polskiego. Tak więc w tej kwestii nie muszę was agitować”.

Zebrani wiedzieli, że osadnicy są „wojskowo-policyjną agenturą” i stanowią bazę dla działalności „kontrrewolucyjnej”. Wywodzili się z grup byłych żołnierzy, którym za zasługi podczas wojny z bolszewicką Rosją rząd nadawał ziemię we wschodnich województwach Rzeczypospolitej. Wielu z nich było kawalerami Orderu Virtuti Militari. Mieli wzmocnić polski żywioł na kresach i stać się ostoją państwa, szczególnie tam, gdzie Polaków było mało, m.in. na Wołyniu.

Wysiedleniu podlegali nie tylko osadnicy wojskowi, lecz także ci, którzy przyjechali na Kresy Wschodnie i kupili gospodarstwa rolne. Deportowani mieli zostać także nabywcy ziemi od osadników. Na deportację skazano również leśników, gajowych i innych zatrudnionych do wybuchu wojny w lasach państwowych i prywatnych. Sowietci obawiali się, że mogą się stać oparciem dla ewentualnej partyzantki.

Mroźnym zimowym świtem

Niecały miesiąc po zajęciu wschodnich województw Rzeczypospolitej, 10 października 1939 r., Ławrientij Beria, szef NKWD, wydał dyrektywę ludowym komisarzom Białorusi i Ukrainy, nakazując

przeprowadzenie ewidencji osadników, poddanie ich inwigilacji oraz aresztowanie tych, co do których istnieją dowody „wrogiej działalności”. Decyzję o deportacji podjęło na początku grudnia biuro polityczne partii bolszewickiej, a w ślad za tym odpowiednie rozporządzenia wydał sowiecki rząd.

Zima 1940 r. należała do najmroźniejszych w XX stuleciu. Deportacja osadników i leśników wraz z całymi rodzinami odbyła się w nocy 10 lutego 1940 r., przy temperaturze -30-35 stopni. Przed świtem do domów rodzin przeznaczonych do zsyłki wtargnęły grupy złożone z NKWD-zysty i towarzyszących mu żołnierzy lub miejscowych białoruskich, ukraińskich i żydowskich milicjantów. Czas na spakowanie się i opuszczenie domu był krótki. Dawano na to najwyżej dwie godziny, choć były częste przypadki drastycznego postępowania: deportowani mieli być gotowi w 20 minut, maksymalnie dawano im pół godziny. Pozwalano zabrać rzeczy, do 500 kg na rodzinę. Przypominano niekiedy, by nie zapomnieli pił ani siekier. Większość deportowanych miała bowiem pracować przy wyrębie lasu.

Joanna Wałach-Warzecha, deportowana z Wołynia, wspomniała:

„Zbieraliśmy chaotycznie rzeczy, które uważaliśmy za niezbędne na drogę. Trzyletni Gienio płakał spazmatycznie, nie pojmując, co się dzieje. Zresztą, któż to mógł zrozumieć. W moich oczach, 13-letniej dziewczynki, był to gwałt zadany sprawiedliwości i prawu. Głęboko przeżywałam krzywdę wyrządzoną mojej rodzinie. Siedząc już na saniach, żegnaliśmy nasz 18-letni dorobek. Pies wył, krowy ryczały, jak gdyby cały inwentarz włączał się w tę tragedię przeżywaną przez nas. Płakaliśmy wszyscy i żegnaliśmy ostatnim spojrzeniem całe domostwo, dom, którego nie zdążyliśmy wykończyć, i to wszystko, co było dla nas tak drogie i bliskie. Zawiezieni zosta-

liśmy do Szepietówki, gdzie czekały już setki ludzi w zimnej, nieopalanej szkole. Zmęczeni, zmarznięci, wepchnięci zostaliśmy do bydłęcego wagonu. Byli tam sami obcy ludzie. Wśród ogólnego przygnębienia i płaczu – pociąg ruszył na wschód. Błagalny śpiew »Pod Twoją obronę« wzlatywał ku niebu” („Z Kresów Wschodnich RP na wygnanie. Opowieści zesłańców 1940-1946”, Londyn 1996).

W trzaskającym mrozie wieziono wysiedlone rodziny na stacje kolejowe. Czekwały tam na nie składy złożone z ponad 50 wagonów towarowych. Były w nich drewniane prycze, piecyk i otwór w podłodze, służący jako toaleta. Piecyk nie był w stanie zapewnić ciepła w całym wagonie. Ubrania i włosy ludzi, którzy usadowili się przy ścianach wagonu, przymarzały do nich, tak że trzeba było je odcinać nożem. Chociaż w dyrektywie

przewidywano, że jeden wagon ma być przeznaczony dla 25 osób, niejednokrotnie upychano w nim dwa razy, a nawet trzy razy więcej ludzi. Podróż do miejsca przeznaczenia trwała od dwóch tygodni do miesiąca. Nie wszyscy ją przeżyli, ale wypadki śmierci nie były bardzo liczne. Ciała zmarłych pozostawiano na stacjach kolejowych lub pomiędzy nimi, w śniegu.

Deportowanych umieszczano w „specposiołkach” – specjalnych osadach. Naczelnik NKWD obwodu archangielskiego – trafiła tam największa grupa deportowanych w lutym 1940 r. – raportował, że wielu z przybyłych nie ma odpowiedniego obuwia lub jest go pozbawionych, a także zimowych ubrań. Zauważał także, że przysyłano ludzi chorych psychicznie i sparaliżowanych, wymagających opieki. Dyrektywy w sprawie wysiedlenia były jednak

bezlitosne – zabierano wszystkich członków rodziny, nie bacząc na ich stan zdrowia. Zabierano także kobiety w zaawansowanej ciąży. Były przypadki, że rodziły w wagonach.

Podczas lutowej deportacji wygnano z domów i skazano na niewolniczą, wyczerpującą pracę w ekstremalnie trudnych warunkach 140 tys. osób. Wśród nich Polacy stanowili 81 proc. – 114 tys.

Dojmujący głód

Alicja Hensel-Maguza, deportowana z rodzicami, zapamiętała przywitanie przez zastępcę komendanta „specposiołka”, który odezwał się tymi słowami: „Wy, polskie pany, tu będziecie zdychać. Polski nigdy nie było i nie będzie, tu zdechniecie, polskie psy”. Inny komendant mówił drwiąco: „Tu jest wasza Polska”.

W opowieściach deportowanych bardzo często przewija się motyw głodu. Anastazja i Krystyna Soleckie wspominały: „Największą plagą i głównym powodem innych plag był głód. Głód sprowadzał choroby. Głód zabijał serca w ludziach, którzy za kawałek



FOOT LITTY IMAGES

■ chleba donosili na współnedzarzy. Głód doprowadzał do wysprzedania ostatniego łauszka, że nie było w czym umarłych pochować. Głód doprowadzał do jedzenia zdechłych koni. Głód robił człowieka zwierzęciem niepomnym na nic. Powoli zatracił człowiek szlachetne instynkty, przestawał ratować drugich, bo sam ginął w wyczerpaniu" („Z Kresów Wschodnich RP na wygnanie. Opowieści zesłańców 1940–1946", Londyn 1996).

Siostry Soleckie zapamiętały heroicznego 70-letniego pana Majewskiego z powiatu nieświeskiego, deportowanego z czworgiem wnucząt w wieku od 3 do 12 lat (ojciec dzieci uciekł przed bolszewikami, matka zmarła podczas sowieckiej okupacji).

„Nie tracił nadziei dziadzio, mył i czesał dziewczynki, gotował, co mógł, i karmił dzieci. Uczył pacierza, opowiadał o Bogu i stale im powtarzał, że gdy umrze, mają pamiętać o Bogu i o Polsce". Niestety, zachorował i został wywieziony ze „specposiołka", a wnuczeta trafiły do domu dziecka.

Racje żywnościowe były minimalne i prowadziły do szybkiego wycieńczenia, a nawet do śmierci. Niepracujący dostawali 200–300 gramów chleba dziennie, pracujący – od 600 do 800 gramów. Bywała też miska zupy z rybich głów lub rzadki kapuśniak.

Edward Mamczak relacjonował: „Ludzie umierali głównie z głodu i wyczerpania pracą. Nie było się w co ubrać, nie było co jeść, a kazali tylko pracować. Wiem, że wymarła cała rodzina Turków. Pamiętam, jak najmłodszy chłopczyk zebrał o chleb, nikt mu nic nie dał, bo sam nie miał. Chłopiec ten zamarzył z zimna i głodu" („Relacje deportowanych z Kresów Wschodnich w 1940 roku", Kielce-Kraków 2014).

Ratowano się, sprzedając przywiezione rzeczy, także ubrania, zbierając w lesie grzyby i jagody, na polach szczaw i szczypiorek. Czasami deportowanym pozwalano zakładać ogródki warzywne.

Dorośli pracowali przy ścinaniu drzew, nawet 12 godzin dziennie i siedem dni w tygodniu, jeśli trzeba było wypełnić normę, i w mrozie do –40 stopni.

Dzieci do 14.–15. roku życia chodziły do szkoły – tam, gdzie w miejscu zesłania była – jednak wiele z nich nie chciało brać udziału w lekcjach, na których słyszały, że Boga nie ma. Po zajęciach były wykorzystywane do drobniejszych prac, takich

jak zbieranie gałęzi ze ściętych drzew i palenie ich, pomagały przy zwózce.

Na zesłaniu umarły dwie córki Marii Szuby-Tomaszewskiej, dwuipółletnia Hania i pięcioletnia Krysia. „Czy to nie wszystko jedno, czy był to tyfus czy malaria, cynga, szkorbut, zapalenie opon mózgowych czy cholerynka? Już nie miałam własnych dzieci. Pozostały mi dzieci siostry. Dziwne, ale nie rozpaczalam, nie byłam zdolna do tego uczucia. W środku byłam pusta, ot, popiół i nic więcej. W kółko myślałam, że moim dzieciom na tym drugim świecie jest lepiej – nie są głodne, zmarznięte i chore" („Z Kresów Wschodnich RP na wygnanie. Opowieści zesłańców 1940–1946", Londyn 1996).

O opiece lekarskiej nie było mowy. Jeśli był w „specposiołku" felczer, to nie miał zwykle żadnych lekarstw, a jego rola sprowadzała się tylko do dawania zwolnień w przypadku choroby uniemożliwiającej pracę.

Rodziny represjonowanych

13 kwietnia 1940 r. rozpoczęła się druga deportacja. Tym razem wysiedleń – na 10 lat – w myśl sowieckiej zasady odpowiedzialności zbiorowej podlegały rodziny polskich oficerów i policjantów z obozów w Ostaszkowie, Starobielsku i Kozielsku, innych osób aresztowanych, w szczególności wojskowych i policjantów, a także strażników więziennych, żandarmów, ziemian, fabrykantów,



urzędników państwowych oraz „członków kontrrewolucyjnych organizacji powstańczych".

Decyzję o deportacji rodzin osób represjonowanych podjęło sowieckie biuro polityczne na początku marca 1940 r., trzy dni przed inną decyzją: zamordowania osadzonych w trzech obozach i więzieniach na Ukrainie i Białorusi – razem 22 tys. osób.

Paulina (Ola) Watowa, wywieziona ze Lwowa, wspominała: „W tym bydlęcym wagonie, jak się potem zorientowałam, było wszystko, co składa się na społeczeństwo, wszystkie warstwy. Począwszy od kobieciny, która pod Lwowem miała chałupę i kilka krów i która każdego dnia przywoziła do Lwowa świeże mleko, poprzez żony policjantów, sklepiarkę Kierskiego czy owego porucznika, aż do prezydentowej miasta Lwowa, pułkownikowej Wencłowej z synem. Nie wiedziałam, że tuż za nami jechał transport, w którym był hrabia Bielski, właściciel pałacyku, w którym mieścił się Związek Literatów, hrabia Tarnowski, przyjaciel Bielskich, który z Krynicy przyjechał do nich z wizytą" (Ola Watowa, „Wszystko, co najważniejsze", Warszawa 1990).

W drugiej deportacji wywieziono do Kazachstanu 60 tys. osób, wśród nich ok. 80 proc. stanowili Polacy – 41 tys.

„Tragedia zsyłki kwietniowej polegała na tym, że w kazachstańskie stępy rzucone zostały przeważnie kobiety, dzieci oraz osoby w podeszłym wieku, pochodzące z miast, nieprzygotowane i nieprzyzwyczajone do ciężkiej pracy w gospodarkach rolnych, życia w prymitywnych warunkach w surowym kontynentalnym klimacie" (Stanisław Ciesielski, Grzegorz Hryciuk, Aleksander Srebrakowski, „Masowe deportacje ludności w Związku Radzieckim", Toruń 2004).

Na stepie

Szef kazachstańskiej NKWD informował, że w transportach, które trafiły na podległy mu teren, 50 proc. stanowiły dzieci i starcy, 30 proc. kobiety i 20 proc. mężczyźni, a zatrudnienie ich jest nadzwyczaj trudne. Sowiecka zasada głosiła zaś, że kto nie pracuje, ten nie je.

Stanisława Michalska, córka przedwojennego pośła (więźnia Starobielska, zamordowanego w Charkowie), miała wówczas 17 lat. Relacjonowała:

„Pracowałam wraz z matką w Kaczyrach w sowchozie pod nadzorem brygadzystów, którzy ściśle współpracowali z NKWD. Brygadziści ci chodzili z pejcami. Bardzo często przy zbiorce siana, nigdy niedosuszonego, bili ludzi przy składaniu stogów wspomnianymi wyżej pejcami” („Relacje deportowanych z Kresów Wschodnich w 1940 roku”, Kielce-Kraków 2014).

Stefania Skwarczyńska, zesłana z trojgiem dzieci, i Ola Watowa, zesłana z synem, kradły kłosa jęczmienia, by z ziarna zrobić mąkę i gotować z niej zupę w puszcze po konserwie, zakradały się też do spichlerza. Było to ogromnie ryzykowne. Gdyby je złapano, zostałyby uwięzione, a dzieci trafiłyby do domu dla sierot.

Matka Krystyny Dziekońskiej pracowała w oborze przy krowach. Z powodu silnego mrozu odeszła stamtąd, by się ogrzać. Została skazana na dwa lata przymusowych robót.

„W sowchozie umieszczono nas w pomieszczeniu przerobionym z pomieszczeń dla bydła – relacjonowała Irena Dachowska – kilka rodzin w jednej izbie. Matka i ja pracowałyśmy, robiąc dosłownie wszystko, co można robić w gospodarstwie rolnym. Ja np., mając 13 lat, orałam szóstką wołów” („Relacje deportowanych z Kresów Wschodnich w 1940 roku”, Kielce-Kraków 2014).

Deportowani do Kazachstanu umierali na tyfus, a także z powodu ciężkiej zimy.

„Od 30 grudnia do 15 stycznia szalał straszliwy huragan śnieżny tzw. buran – wspomniał Stefan Turek. – Nie było żadnej komunikacji i ginieliśmy z głodu. Z głodu i wycieńczenia zginął nasz znajomy, były lekarz powiat. ze Lwowa, dr Litwinowicz, u nas na wspólnej kwaterze zmarła p. Julia Szeibel z Tarnopola, zбитy przez kazaka zmarł syn drugiej p. Szeibel. A poza tym umierało wielu na puchliznę z głodu. Powstał już nasz cmentarz, na którym stawialiśmy pierwsze krzyże” („W czterdziestym nas, Matko, na Sybir zesłali”, wyb. i oprac. Jan Tomasz Gross, Irena Grudzińska-Gross, Warszawa 1990).



Polskie dzieci, które dotarły z zesłania do armii Andersa

FOT. NAC

Wśród deportowanych do Kazachstanu byli dziewięcioletni Jerzy Krzysztoń, późniejszy pisarz, który swoje przeżycia opisał w „Wielbłądzie na stepie”, oraz rok młodszy syn policjanta Tadeusz Kukiz, ojciec muzyka i polityka Pawła Kukiza. Jako dziecko trafił na stepy Kazachstanu także Andrzej Gwiazda, który zostanie jednym z najbardziej znanych działaczy NSZZ „Solidarność”.

Trzecia deportacja nastąpiła w czerwcu 1940 r. i objęła tzw. bieżęńców – uchodźców, którzy we wrześniu 1939 r. znaleźli się na ziemiach okupowanych przez Związek Sowiecki i których Niemcy nie chcieli przyjąć na teren swojej okupacji. Byli to głównie Żydzi. Jednym z deportowanych był ośmioletni Jerzy Hoffman, który został jednym z najbardziej znanych reżyserów filmowych.

Wśród deportowanych 76 tys. było także ok. 11 proc. Polaków – do 9 tys. osób. „Bieżęńcem” był Tadeusz Boy-Żeleński, ale deportacja go nie objęła. Należał bowiem do sowieckiego Związku Literatów.

Deportacje trwały także w 1941 r. i związane były głównie z przygotowaniem się Związku Sowieckiego do wojny. Wywożono ludzi z pasa przygranicznego.

Według polskich historyków – na podstawie niepełnych jednak akt NKWD – w latach 1940–1941 deportowanych

zostało z okupowanych ziem wschodnich co najmniej 315 tys. polskich obywateli. Było wśród nich 200 tys. Polaków (63 proc.), 70 tys. Żydów, 25 tys. Ukraińców i kilkanaście tysięcy Białorusinów. Rzeczywista liczba deportowanych była większa, nie wiadomo jednak o ile.

Trudna jest do ustalenia liczba zmarłych z głodu i chorób. Znane są tylko częściowe liczby. Spośród 140 tys. osób z pierwszej deportacji miało, według danych sowieckich, umrzeć do połowy 1941 r. ok. 11 tys. (Stanisław Ciesielski, Grzegorz Hryciuk, Aleksander Srebrakowski, „Masowe deportacje ludności w Związku Radzieckim”, Toruń 2004).

Sytuacja deportowanych się zmieniła, gdy po zawarciu układu Sikorski-Majski, w sierpniu 1941 r., władze sowieckie ogłosiły „amnestię” dla obywateli polskich.

Odzyskali wolność. Wielu z nich nie nacieszyło się nią długo: umierali z chorób i z powodu epidemii.

Szczęśliwi byli ci, którym udało się wyjść z „niehumanitarnej ziemi” wraz z żołnierzami armii gen. Andersa – było to ok. 41 tys. osób. Po pogorszeniu się stosunków polsko-sowieckich, na początku 1943 r., władze sowieckie zaczęły znów uznawać obywateli polskich za swoich. Dopiero po wojnie polscy obywatele, ale tylko Polacy i Żydzi, mogli wrócić do kraju w nowych już granicach i z nowym, komunistycznym ustrojem.

Andersowcy

Po zakończeniu II wojny światowej ok. tysiąca żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie wróciło w swoje rodzinne strony, na Kresy Wschodnie, anektowane przez Związek Sowiecki. Podjęli taką decyzję, mimo że parę lat wcześniej byli sowieckimi jeńcami, więźniami NKWD, deportowanymi. Chcieli wrócić do domu. Niedługo się nim nacieszyli. W 1951 r., jako andersowcy, zostali wysłani wraz z rodzinami na Syberię. Niektórych skazano za „antysowiecką agitację”, aż na 25 lat łagrow. Wielu z nich przyjechało w końcu lat 50. do Polski. Inni wybrali trudniejszy los – ojcowiznę w sowieckim państwie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

/ – Deportowano mnie do Kazachstanu, gdy byłam malutka. Przeszłam tam przez piekło – opowiada pani Alina Chodkowska

Przyszli po mnie 13 kwietnia 1940 r. o czwartej rano. Łomotali kolbami w drzwi. Otworzyła im Malcia, nasza służąca. Wstałam zaspana i przecierając oczy, włożyłam szlafrok.

– Dawaj! Dawaj! – krzyтели do mnie enkawudziści. – Pakuj się szybko!

Byłam jedyną deportowaną z domu, choć miałam zaledwie 10 lat. Naprawdę nie wiem, jakie zagrożenie mogłam stanowić dla wielkiego Związku Sowieckiego. Gdy zbierałam rzeczy, obie z Malcią szło chałyśmy.

Do tej pory nie mogę sobie wyobrazić, jak ja jako mała dziewczynka mogłam temu wszystkiemu podołać. Bez taty, bez mamy. Malcia zapakowała mi jakieś ubrania, trochę konfitur. Zawinęła wszystko w prześcieradło.

Ja wzięłam lalkę – miała zamykane oczy i nazywała się Iwonka – i ukochanego misia. Dostałam go w nagrodę za picie tranu. Za darmo tego paskudztwa nie wzięłabym przecież do ust.

Przewieźli nas furmanką na stację w Kołomyi. Razem z innymi Polakami i Hucułami załadowali nas tam do wagonów. Wśród deportowanych były matki z niemowlętami na rękach, dzieci i starcy. Nie wyglądaliśmy na groźnych przestępców.

Dołączyłam do znajomej rodziny pani Stencel. Składała się ona z matki mojego nauczyciela i jego ciężarnej żony, która miała jeszcze niemowlę na ręku. Razem zajęłyśmy w wagonie niższą pryczę. Wkrótce ruszyliśmy w drogę.

Na skutek fatalnych warunków synowa pani Stencel szybko straciła pokarm. Całe szczęście panie miały świeczkę, na której grały dziecku jakieś nędzne jedzenie.

Całą drogę bałam się, że to maleństwo umrze. Widziałam, jak z innego wagonu strażnicy wynosili sżywne, na wpół zamarznięte ciało niemowlęcia.

Na dolnej pryczy było bardzo duszno, dopiero po jakimś czasie panie z góry

1940 r. / Z Kresów Wschodnich do Kazachstanu

Dziecko w Sowietach



zlitowały się nade mną i zaczęły mnie w ciągu dnia brać do siebie. Wtedy mogłam pooddychać świeższym powietrzem i popatrzeć przez małe okienko.

Wśród tych pań znalazła się nawet jedna, która podkochiwała się w moim ojcu. Nietrudno było zresztą taką osobę znaleźć. Rozkochiwanie w sobie kobiet było rodzajem sportu, hobby mojego taty.

Nie wiem tylko, co te wszystkie kobiety w nim widziały.

Na pustkowiu

Po trzech tygodniach koszarnej jazdy dojechaliśmy do Semipałatyńska. Część osób, w tym panie Stencel i mnie,



Alina Chodkowska FOT. RAFAŁ GUZ/MATERIAŁY WYDAWCY

zawieźli do tak zwanej świnobazy, pozostawili rozwozili do okolicznych kołchozów. Zamieszkałyśmy w prymitywnych barakach wysypanych w środku piachem. Nie pamiętam już, czy bardzo śmierdziały, czy tylko trochę.

Roilo się tam od wszelkiego robactwa. Już pierwszej nocy coś mi włożyło do ucha. Lekarz mi to musiał wypłukać.

Wokół „świnobazy”, do której nas wwieziono, nie było nic. Sam brudny piach. Bardzo depresyjne, typowo sowieckie otoczenie. Jedyną odskocznią od tej szarości była pobliska rzeka Irtysz – dzika, piękna.

Na ogół nie byłam strachliwa, ale pamiętam, że raz idąc do pobliskiej chaty, zlekłam się wielbłąda, który stał dostoj-

nie na podwórzu. Na mój widok zdenerwował się i zaczął na mnie pluć.

Tych, którzy byli zdolni do pracy, zaganiano do odkrywkowej kopalni torfu. Ja całe szczęście byłam na to za mała. Do moich obowiązków należało chodzenie po wodę. Taszczyłam ciężki dzbanek.

Po naszym przyjeździe wśród zesłańców wybuchła epidemia. To był „panos”, ■

■ czyli krwawa biegunka. Umierały głównie dzieci.

W baraku obok mieszkał czteroletni chłopczyk. Pamiętam go dobrze, bo lubiłam się z nim bawić. Był bardzo słodki, trzymał się zawsze maminej spódnicy. Zmarł jako jeden z pierwszych. Rozpacz jego matki była niewyobrażalna. To było jej jedyne, ukochane dziecko.

Niestety, zachorowało także niemowlę żony pana Stencła. Opiekowałam się nim, odganiałam od niego muchy. Bardzo marudziło, było głodne. Potem przestało nawet płakać. Tylko kwiliło, a potem zamilkło...

Pani Stencel poradziła mi, żebym napisała list do domu. Podałam w nim mój adres, żeby mama, która również została wywieziona i korespondowała z dziadkiem, dowiedziała się, gdzie jestem. Mama od dłuższego czasu bombardowała NKWD pismami i podaniami. Umiała bowiem bardzo dobrze pisać po rosyjsku.

Nie mieściło się jej w głowie, że ktośkolwiek mógł wydać wyrok na dziesięcioletnią dziewczynkę i wysłać ją samą w siną dal. Co moja biedna mama musiała przeżywać!

W sowieckim poprawczaku

W końcu dostałam wezwanie do NKWD. Na podłodze leżał tam czerwony dywan. Myślałam, że w Związku Sowieckim nie ma takich luksusów. Przyjął mnie jakiś urzędnik i powiedział, że mam się pakować.

Ciężarówką zawieziono mnie do... poprawczaka. Tak zwanego diet prijemnika dla bezprizornych. Był to kompleks kilku budynków otoczonych drutem kolczastym. Był koniec lata 1940 r.

Usiadłam na podwórku na swoim tobołku i zaczęłam płakać. Dopiero wtedy poczułam się naprawdę samotna. Wyrwano mnie spośród innych Polaków, byłam wśród obcych.

Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że mogę już nigdy nie zobaczyć domu. Że zostanę tu na zawsze. Siedziałam na tym podwórku chyba pół dnia i nikt się mną nie interesował. Widocznie pracownicy sierocińca czekali, aż przestanę płakać. W końcu wyszli po mnie i – jeszcze pochlipując – zaprowadzili do sypialni dla dziewcząt.

Jak na sowieckie warunki nie wyglądała źle. Normalna podłoga, a nie klepisko, normalne łóżko, a nie piasek. Nie było tam natomiast szkoły, był to bowiem poprawczak przejściowy. Gdy gdzieś zwalniało się miejsce, rozwożono dzieci dalej po całym Związku Sowieckim.

Większość z nich to były sieroty, ale również młodociani przestępcy. Drobne złodziejzki, dzieci ulicy. W tym środowisku bardzo szybko nauczyłam się mówić po rosyjsku. Musiałam się przecież jakoś porozumiewać z otoczeniem, byłam tam jedyną Polką.

Jedzenie podawano w stołówce. Nie było oczywiście specjalnie wyszukane, ale nie narzekałam. Żeby dostać kromkę chleba, nie musiałam już cały dzień harować. Na obiad była „łapsza”, czyli makaron z jakimś tłuszczem. Albo zupa „szczy”, lura tylko trochę lepsza niż ta, którą nam podawali w bydłowych wagonach.



ANNA HERBICH
„DZIEWCZYNY Z SYBERII”
ZNAK

Bałam się, że sowieckie dzieci będą wobec mnie agresywne. Były jednak miłe. Starsze dziewczynki się mną opiekowały, chłopcy uczyli mnie grać w warcaby. Jeden nawet się we mnie podkochiwał. Dziewczyny, jak mi o tym powiedziały, strasznie chichotały. Nie rozumiałam, o co chodzi. Byłam za mała.

Co rano nadzorcy ustawiali nas w rzędach na podwórku i kazali śpiewać rewolucyjne pieśni. Ja jedyna nie śpiewałam. Było tam coś o „polskich panach” i wszyscy myśleli, że ja nie chcę śpiewać w akcie protestu. I mieli rację.

Pytali też mnie, czy ja jestem „krystianka”. Po rosyjsku znaczy to wieśniaczka, a mi się zdawało, że pytają, czy jestem chrześcijanką. Odpowiadałam więc, że oczywiście, jestem „krystianka”. Oni z kolei odpowiadali mi, że to niemożliwe, bo jestem inaczej ubrana. Ja wtedy na dowód pokazywałam im medalik.

Pewnego dnia odwiedziła mnie pani Stencel. Wcześniej zasyłała mi w koszuli pieniądze, które zarobiła, sprzedając jakąś rzecz zabraną przeze mnie z domu.

Teraz Stencel doszła do wniosku, że w poprawczaku ktoś tę koszulę weźmie do prania – choć nie pamiętam, żeby coś tam nam tam prali – i pieniądze się zniszczą. Poprosiła, abym jej je przekazała.

Przy okazji dowiedziałam się, że jej synowa urodziła drugie dziecko. Ale ono również, podobnie jak pierwsze, zmarło. Zaledwie po kilku dniach od przyjścia na świat. Bardzo smutne to były odwiedziny. Było mi tej pani tak bardzo żal...

W końcu wzięła pieniądze i poszła z powrotem do „swinobazy”. Niestety, wracała z pustymi rękami. Jeszcze w poprawczaku któryś z chłopców ukradł jej portmonetkę. Nigdy więcej się nie spotkałyśmy. Słuch po tych paniach zaginął. Tak jak po tysiącach innych polskich rodzin deportowanych na Sybir.

Jak już wspomniałam, ten poprawczak był tymczasowy. Nadszedł czas, że wywieźli i mnie. Trafiłam do domu dziecka w Kustanaju na północy Kazachstanu. Na miejscu od razu zauważyłam jakąś błyszczącą skrzynię. Ta skrzynia się ruszała.

Przetarłam oczy ze zdziwienia, myślałam, że mam omamy. Po chwili usłyszałam jakiś bełkot dobiegający ze środka. Okazało się, że jest to karcer dla niegrzecznych dzieci. W środku siedział chłopiec i walił w skrzynię pięściami.

Boże, gdzie ja się znalazłam.

Panią Alinę Chodkowską w Kazachstanie wreszcie odnalazła matka. Razem spędziły na wygnaniu jeszcze cztery lata. Cudem udało im się wydostać z nieludzkiej ziemi. Dojechały do Kołomyi, ale nie ryzykowały już powrotu do Słobody Rungurskiej w Galicji Wschodniej, gdzie mieszkały przed wojną. Był rok 1944, na terenach tych szalały upowskie bandy mordujące bezwzględnie Polaków.

Ziemie Wschodnie zostały przez bolszewików oderwane od Polski. Pani Alinie i jej mamie nic nie zostało, majątek przepadł, rodzina została wymordowana albo uciekła na Zachód. Jedyne, co miały, to wspomnienia ze straszliwej sowieckiej poniewierki. Głodu, chłodu, tęsknoty i bólu. Obie panie wyjechały do nowej, komunistycznej Polski. Na Kresy nie wróciły już nigdy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Anna Herbich

Opowieść pani Aliny Chodkowskiej pochodzi z książki „Dziewczyny z Syberii” Anny Herbich.



JEZIORO ŁABĘDZIE

THE ROYAL MOSCOW BALLET

JEDEN Z NAJLEPSZYCH ZESPOŁÓW BALETOWYCH NA ŚWIECIE

4 listopada - ICE Kraków
5 listopada - DMiT Zabrze
6 listopada - Hala Stulecia Wrocław
7 listopada - COS Torwar Warszawa

8 listopada - EXPO Mazury Ostróda
9 listopada - Gdynia Arena
10 listopada - Klub Wytwórnia Łódź
11 listopada - Sala Ziemi Poznań



BILETY: PRESTIGEMJM.COM

Prestige
MIM

wprost

Interia

GAZETA BANKOWA

WP

trojmiasto.pl

Multikino

STRÖER

VIXION

PRESS SERVICE

pap

SCORPIONS

CRAZY WORLD TOUR 2019

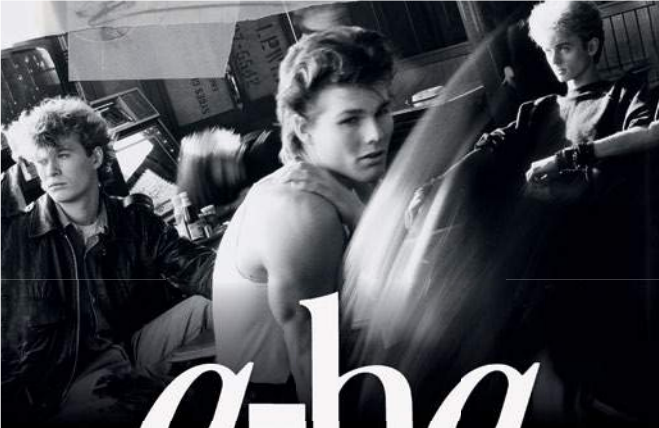


21 lipca 2019 Arena Gliwice

23 lipca 2019 ERGO ARENA Gdańsk/Sopot

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

Prestige
MIM

a-ha

play hunting high and low live

18 listopada 2019
Torwar Warszawa

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

Prestige
MIM



Deportacje / Związek Sowiecki oczami ofiar



Polacy deportowani z Nadwórnej
(woj. stanisławowskie)
do Kazachstanu FOT. OŚRODEK KARTA

Relacje z czerwonego piekła

Śmierć, głód, brud, przemoc. Tragiczne wspomnienia deportowanych przez Sowietów Polaków mrozą krew w żyłach

Mury kamienic i domów zabarwiły się od różnych plakatów. Wszystkie były prawie jednakowej treści: „Skończyły się rządy panów polskich, Czerwona Armia wyzwodziła od nich Polskę”.

Zygmunt B.

Był dzień pamiętny wszystkim. 10 lutego 1940 roku. Rano o godzinie czwartej ktoś zastukał do frontowych drzwi. Mamusia zerwała się z łóżka i odrygowała, a z zewnątrz wysunęły się dwa sztyki krasnoarmiejców. Zegnano nas wszystkich do jednego pokoju, posadzili pod ścianą na podłodze, a przed każdym stał jeden bolszewik ze sztykiem przyłożonym do piersi i poczęli rewizję. Nawet dyktę ze ścian obdarli i podłogę porąbali, a książki polskie, których było około tysiąca, wszystkie musieli przejrzeć, a potem spalili. Po całej rewizji dali nam dwadzieścia minut do spakowania.

Kazimierz S.

Mieliśmy półtorej godziny czasu do spakowania rzeczy. Podeptali nam najdroższe uczucia religijne, zdejmując obrazy ze ścian i rzucając na nie oszczerstwa.

Władysław P.

Przyszło do nas dwóch „lejtienantów” i milicjant. Każdy z nich był zaopatrzony w rewolwer. Dali nam pół godziny na spakowanie rzeczy i zrewidowali cały dom. Pognali nas na stację i wpełnęli do wagonu, gdzie już było przepełnienie. Pierwszy raz jechaliśmy w bydlęcym wagonie. Przez cały miesiąc drogi wypuszczono nas dwa razy. W wagonach często brakło wody. Na stacjach miejscowi przychodzili prosić o chleb. W czasie drogi przez okienko wagonu obserwowaliśmy, jak wygląda Rosja. Bieda wyzierała z domostw i twarzy ludzkich. Ludzie byli biednie ubrani. Domy były stare i brudne, stały czasem one przy porządnym rządowym budynkach. Bardzo rzadko widzieliśmy bydło. Lasy były wyniszczone. Dnia 8 marca 1940 roku przywieźli nas na posesiołek. Sprzedawało się ostatnie rzeczy i tak się żyło, gdyż tatuś ciężką pracę w kopalni nie mógł nawet zarobić na chleb. Mieszkaliśmy w spróchniałej chacie, gdzie zimą zamarzała woda i szron obficie skrywał ściany. Drzewo trzeba było nosić z tajgi na własnych plecach. Mama chodziła karczować tajgę pod kartofle. Jak słyszałam, w okolicy zdarzali się ludożercy.

Hanna Świdarska

Nasz transport liczył siedemdziesiąt pięć wagonów. Jechaliśmy przez cały miesiąc. Podróż ta była niedobra, bo nie było kawałek chleba. Za wodę żeśmy płacili po pięć rubli za pół litra. Jak po wodę wypuszczali, to tylko dwa wiadra na wagon, a w wagonie trzydzieści osób i każdy chce się napić. Nieraz było trzy dni bez wody w tym wagonie zamkniętym i za kratami. Było dziecko w naszym wagonie, które zachorowało. To ojciec tego dziecka zapalił prymus, zobaczył to strażnik pilnujący naszego wagonu. Wpadł do środka. Kazał on temu ojcu zgasić ogień, a ojciec tłumaczy, że jest małe dziecko i chce zagotować trochę wody. Kacpa się rozłożył i zabił z tego ojca kolbą. Cały wagon w krzyk, dzieci płaczą, żona zemgała.

Zdzisław R.

Wreszcie dojechaliśmy na Ural, do stacji Uśfa. Tam nas z wagonu wyrzucili na śnieg. Dopiero po paru godzinach przyszły sanie sowieckie, i zaczęły odwozić na posesiołek.



Mróz duży, a nam nic nie dali do ubioru, tylko to co kto miał na sobie. Małe dzieci zamarzały po drodze. Mieszkanie dostaliśmy nędzne, niezabezpieczone przed zimą, a do tego jeszcze pełna masa szczurów i pluskw. Babcia była już starsza, to leżała cały czas w łóżku. Ale było dużo pluskw, więc wysysały wszystką krew i po paru miesiącach babcia umarła.

Tadeusz M.

Mieszkańcy osiedla przeważnie Kazachowie i Rosjanie, przyjęli nas z pewną rezerwą. Propaganda zrobiła już swoje. Wmówiono wszystkim, że oto przywieziono

polskich panów i burżujów, którzy wyzyskiwali i gnębili biednych ludzi, że to są wrogowie narodu sowieckiego, którzy powinni ponieść zasłużoną karę. Dlatego wywiezieni zostali z rodzinnych stron i tu muszą nauczyć się uczciwej pracy. Istotnie Polacy różnili się znacznie ubiorem i zachowaniem. Rosjanie byli ubrani w ponure dreluchy. Drażniły więc ich te nasze estetyczne ubiory i nasze „ugrzeczzone” zachowanie. Według wielu z nich mogło to właśnie świadczyć o naszym burżuazyjnym rodowodzie. Tak myśleli ludzie młodzi, którzy nie urodzili się już w okresie stalinowskim i nie wiedzieli, jak żyli niegdyś ludzie za czasów carskich. Jan Onoszeko

Cóż to były za warunki! Nam, przybyszom z Polski, nie mieściło się w głowie, że ludzie mogą tak żyć. Spaliliśmy na barłogach rozciągniętych na ubitym klepsku. W chłupie był nawet piec, nie było jednak czym w nim palić. Dzienny przydział jedzenia wynosił parę kromek starego, czerstwego chleba. O wszechobecnym robactwie

nie muszę chyba mówić.

Zaczęliśmy pracę od budowy baraków. Dali nam narzędzia, ale zupełnie nie potrafiliśmy się nimi posługiwać. Od razu doszło do nieszczęścia. Mój brat pierwszego dnia pracy urzął sobie palec. Mama wpadła w panikę. Tam nie było przecież żadnej pomocy lekarskiej! Nie pamiętam już, jak się udało go pozaszywać. Cierpień okrutnie. Na szczęście nie wdało się żadne zakażenie. Został jednak okaleczony na całe życie. Wtedy wyznaczono nam inną pracę. Mieliśmy wyciągać z rzeki spławiane nią bale drewna. Drewno samo w sobie jest ciężkie, a co dopiero, kiedy nasiąknie wodą. Ta praca przekraczała siły nastolatki. Gdy wieczorem przywozili nas do kołchozu, byłam nieprzytomna ze zmęczenia. Ubranie wisiało na mnie w strzępach. Padałam na nasz barłóg i zasypiałam. Dlaczego oni tak nas męczą? Co im zrobiliśmy?

Danuta Hewanicka

Chodziłem do szkoły. Nauczyciel mówił, że Boga nie ma, a dzieci polskie krzyczały, że jest. Polaków za to, że mówili, że w Polsce było lepiej, zamykali w więzieniu.

Ryszard J.

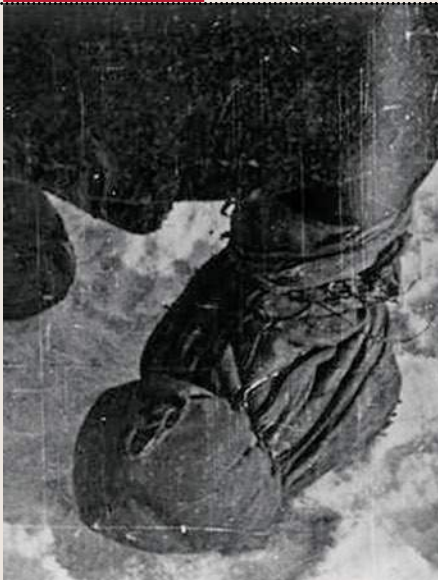
Ludzi chorych ściągnęli z łóżka i kazali iść do pracy. Ciężkie to było życie, nie dawali chleba. Ludność wymierała. Latem ludzie żyli jagodami i grzybami.

Kazimiera P.

Tatusz zaczął brzęknąć z głodu. Tatusz z żalu zaczął narzekać na Rosję. O tym donieśli komendantowi. Zasądziła tatusia na osiem lat.

Ireneusz D.

Wybrałyśmy sobie opuszczoną ziemiankę. Nasz nowy dom miał dach zrobiony ze słoneczników, patyków, słomy i błota. Po każdym deszczu trzeba było go lepić od nowa. Latem nie stanowiło to wielkiego problemu, ale jak przyszła zima, zaczęliśmy strasliwie



W takim „obuwu” przybywali polscy zesłańcy i łagiernicy do armii gen. Andersa FOT. NAC



■ marznąć. Klepisko czyściłyśmy nawozem, wierząc, że w ten sposób zdechną wszystkie pluskwy. Niestety, nie zdawało to egzaminu. Wieczorem sypały się na nas z sufitu. A na domiar złego biegały po nas jeszcze myszy i szczury. Przymieraliśmy głodem, a ja zaczęłam straszliwie chorować. To właśnie wtedy dostałam tego strasznego szkorbutu i moją twarz pokryły wielkie strupy. Boże, przez co myśmy wtedy przeszły!

Janina Kwiatkowska

Tatusz zachorował na zapalenie płuc. Lekarza nie było. Rejonowe miasteczko było oddalone o 20 kilometrów, ale szpitale były zajęte, bo panował tyfus. Leczyliśmy sami. W sobotę o godzinie 11:30 w nocy zmarł tatuś. Dzień ten będzie dla mnie dniem pamiętnym. Mamusia źle się czuła, nie poszła do pracy. Za tydzień została aresztowana. W więzieniu siedziała dwa tygodnie za to, że jeden dzień nie poszła na pracę. Chleba nam nie dawano. Modlić się nie można było. Śnieg był do pasa.

Jan A.

Nie dawali nam przez pięć dni co do jedzenia, tylko wyśmiewali się z nas i wyzywali nas „o ty mordo polska”. Ganiłi małych dzieci do roboty, znęcali się nad nimi. Pędzili nas do roboty jak psów i mordowali nas głodem. Po kilku tygodniach umarło dwoje dzieci i dwoje starszych ludzi z głodu. My mieszkaliśmy w lepiankach, w których stały owce i z których łało się z sufitu.

Stanisław P.

Nara siostra leci z płacem. I mówi, że wiozą mamusię i brata. Wtedy my wszyscy w płac. Położyli na stole całe szkodliwa ciało. Mamusię umyli, ubrali w nową sukienkę i brata w drogie ubranie. Tatusz poszedł do stolarza zrobić trumny. Tatusz najął jednego człowieka wykopać dół. Pochowaliśmy mamusię w jednym grobie z bratem, zasypaliśmy piaskiem.

Czesław B.

Kto wyrobił normę, ten dostał pięć rubli i trzysta gram chleba, za pięć rubli można było kupić dwie garści zia-

renek ze słonecznika. A który nie wyrobił normy, to dostawał sto gram chleba. I na taką pracę wypędzili moją matkę, nie dając odzieży. Pracowała przy sześćdziesięciu stopniach i zmarła. My zaś w trzech pozostaliśmy bez żadnej opieki. I musieliśmy chodzić na żebry.

Mieczysław D.

Trafiłam do tak zwanej celi ogólnej, w której na niewielkiej przestrzeni gnieździło się kilkadziesiąt więźniarek. Wszystkie byłyśmy w tak zwanych dobrych domów, a musiałyśmy siedzieć z prostytutkami, złodziejkami i morderczyniami. Zdegenerowanymi sowieckimi więźniarkami, które straszliwie kęły i zachowywały się

od pluskiew, kładłyśmy się na podłodze, a naokoło naszego legowiska rozlewałyśmy wodę. Oczywiście nic to nie pomagało, bo pluskwy spadały na nas z góry, z sufitu. Między północą a drugą miałyśmy przerwę na jedzenie. Więźniarki jadły oskrobki z garbowanych skór. Był to obrzydliwy zwierzęcy topiony tłuszcz. Do tego kawałek czerstwego chleba. Brzydziłam się tym tłuszczem strasznie, pomimo głodu, który trawił moje trzewia, nie byłam w stanie wziąć tego paskudztwa do ust. Łaziły też po nas szczury.

Barbara Litwiniuk

Umarł mi w Rosji tatuś i siostra.

Marian J.

U nas na posiołku zamykali Polaków do aresztu i wywieźli ich daleko od naszego posiołku. Za to, że dla Polski byli wierni.

Tadeusz O.

U nas na posiołku zamykali Polaków do aresztu i wywieźli ich daleko. Za to, że dla Polski byli wierni

w sposób ordynaryjny. Nie wiem, skąd brały narkotyki, ale cały czas były odurzone. Wyglądały strasznie, ludzkie wraki. prostytutki cały czas okradały nas z resztek nędznego dobytku.

Zmuszono nas do pracy w znajdującej się pod miastem garbarni nad rzeką Irtysz. Przenosiłam na głowie wysuszone, ale z grubsza tylko oczyszczone zwierzęce skóry, do wielkiego drewnianego bębna. Miały tam zmięknąć. Była to praca ciężka i straszna. Odbываła się bowiem w niebywałym smrodzie, który wydzyślał skóry.

Śmierdziało również w wielkiej, betonowej sali, w której spałyśmy. Brud był w niej wszechobecny. Aby uchronić się

Funkcjonariusz przyprowadził nas do domu, w którym mieścił się sierociniec. Pomieszczenia były ponure, ściany poobdzierane, uderzał smród z przemoczonych moczem starych sienników i ogólny nieład. Zaraz po wejściu wychowawcy otoczyli nas obdarci chłopcy różnej narodowości. Ubrani byli w brudne i obdarte, drelchowe spodnie i długie bluzy. Myny ich świadczyły o złowrogim nastawieniu do nas. Wkrótce zaczęły się słowne zaczepki. Posypały się wyzwiska: „Polskie pany, burżuje, kułaki, pomieszczyki”. W tym tonie trwały głośne przekrzykiwania i wymachiwanie pięściami. Stałyśmy jak osłupiali i wiedzieliśmy na pewno, że trafiliśmy w gniazdo os, i nie mamy dokąd uciekać. Nikt nie może stanąć w naszej obronie.

Jan Onoszeko

– wybór p.z.

Fragmenty relacji pochodzą z książek: „W czterdziestym nas Matko na Sibir zesłali...” Ireny Grudzińskiej-Gross i Jana Tomasza Grossa, „Dziewczyny z Syberii” Anny Herbich oraz „Syberia – moje dzieciństwo” Jana Onoszeko.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

HISTORIA

DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA JACKA KOMUDA

„JAKSA”

ZOBACZYĆ ZEMSTĘ I PRZEŻYĆ

**ZANURZ SIĘ W OPOWIEŚCI O ŚWIECIE,
GDZIE DZIELNI WOJOWIE STAJĄ NAPRZECIW
STRZYG I UPIORÓW.**

Gdzie walka o władzę między ludźmi toczy się równie zażarcie, co walka między starymi a nowymi Bogami. W powietrzu unosi się zapach nieprzebytych borów.

Ziemia drży, gdy zastęp koczowników rusza galopem do ataku.

Nad pobojo wisłkiem krążą kruki. Dawny świat umiera, nowy dopiero zaczyna się kształtować. Tylko krok dzieli ludzi od całkowitego, niszczycielskiego chaosu i zguby.

75 zł

oszczędność 71 zł

źródło opisu: <https://fabrykaslow.com.pl>

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:

62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o.

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.



WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 45a4ed135b

1936 r. / Tragiczne losy polskich zesłańców

Zapomniana deportacja



Piotr Zychowicz

/ W 1936 r. bolszewicy wywieźli w głąb Związku Sowieckiego 100 tys. Polaków. Pamięć o tej tragedii nie przebija się do opinii publicznej

Monotonnie postukują koła wagonów, ich stuk oddaje ból w sercu każdego, pociąg wiezie nas w otchłań niepewności od rodzinnych i bliskich miejsc.

W wagonie panuje wilgoć, smród, jest duszno: wszystko zmieszano się, i ludzie, i krowy, i produkty, i dzieci – wszystko w jednym wagonie. Każda rodzina ze swoim skarbem zajęła kąciak, krowa w drugim końcu wagonu.

Jak i ludzie, zwierzęta czują zło, wydają kolejny ryk, zmieszany z płaczem dzieci. Kobiety już nie płaczą, przez kilka dni drogi łzy wypłakane, a mężczyźni, zebrawszy się w koło, o czymś cicho rozmawiają.

Tak rozpoczęła się gehenna Stanisława Żywutskiego. Małego chłopca z Podola, który w 1936 r. został deportowany przez bolszewików z Szepetówki.

Wraz z innymi Polakami został wpakowany do bydłych wagonów i wysłany na dalekie stępy Kazachstanu. Straszliwa podróż trwała 12 dni i nocy. Pierwsi ludzie – szczególnie dzieci i starcy – umarli już w pociągu. Na

każdej stacji sanitariusze wynosili z wagonów trupy.

Po dojechaniu na miejsce okazało się, że dla przesiedleńców nie przygotowano żadnej infrastruktury. Ani domów, ani żywności, nie mówiąc już o opiece medycznej. Po prostu porzucono ich w środku pustkowia. Radźcie sobie sami!

Studnia z kołowrotem i wiadro na długim łańcuchu, a obok skup graniczny, na którym ręcznie zapisano „Punkt nr 8” – pisał Żywutski. – Wokół bezludny, dziki step. Trudno sobie teraz wyobrazić, co czuli nasi rodzice, starsze dzieci? Najpierw nastąpiła martwa cisza, po niej straszny niehumaniczny krzyk kobiet i dzieci. Wyrzucono nas w dzikim polu na stracenie, taka to władza radziecka. Ale już zrobił się wieczór, trzeba szybko stawiać namioty, chociażby dzieci schować przed chłodem. Postawiliśmy namioty, nanosiliśmy trawę, zjedliśmy to, co było, i wszyscy położyliśmy się, pierwsza noc na cudzej, zimnej ziemi. A wiatr cały czas szalał, namioty ruszały się.

Nietrudno się domyśleć, jakie były efekty. Straszliwy głód, choroby – zastrasząca śmiertelność. Polacy znaleźli się w sytuacji rozpaczliwej. I nikt nie zamierzał nawet kiwnąć palcem, aby im pomóc. Zostali skazani na śmierć głodową. Żywutskiemu i części Polaków udało się przetrwać dzięki starym, zgniłym kartoflom.

Zamrażnięte kartofle, które zostały w dołach, i kłosa pszenicy – wspominał. – I starzy, i młodzi z wiadrami rozeszli się po kołchozowym polu, szukając w dołach zamrażnięte kartofle. Pomarszczone, wodniste kartofle o zapachu skrobi i zgnilizny, czarne od zmarzniętej



RYS. KRZYSZTOF WARCZYŃSKI

skrobi były zbierane do wiadra i torby. A wieczorem w każdym domu było święto. Kartofle oczyszczali, myli, tarli na drobnym tarku i smażyli na patelni placuszki, nic smaczniejszego nie jedliśmy. Kartofle, nasze kochane kartofle, ilu ludzi uratowały od głodu. Należałoby im postawić pomnik we wszystkich wsiach przesiedleńców w Kazachstanie.

Wydane niedawno drukiem wspomnienia Żywutskiego to źródło unikalne, bo zachowało się bardzo niewiele świadectw ofiar sowieckiej deportacji Polaków z 1936 r. A była to zbrodnia kolosalna.

Według wybitnego znawcy tematu prof. Mikołaja Iwanowa w 1936 r. bolszewicy w dwóch falach deportowali do Kazachstanu i na Syberię ok. 120 tys. Polaków. Byli to Polacy z sowieckich Białorusi i Ukrainy mieszkający na terenach położonych wzdłuż granicy z II RP. Czyli z Podola, ze wschodniego Wołynia, z Mińszczyzny. Byłych ziem wschodnich Rzeczypospolitej Obojga Narodów, które po podpisaniu katastrofalnego traktatu ryskiego znalazły się poza granicami odrodzonej Polski. Bolszewikom chodziło o usunięcie z pasa nadgranicznego przedstawicieli potencjalnej



Zbudowany z glinianych wałków dom Żywutskich we wsi Krasno-Kijewka FOT. WYDAWNICTWO LTW

piątej kolumny. Stalin powoli szykował się bowiem do wojny z Polską i uważał, że w momencie jej wybuchu Polacy mieszkający w Związku Sowieckim mogliby rozpocząć antysowiecką rebelię.

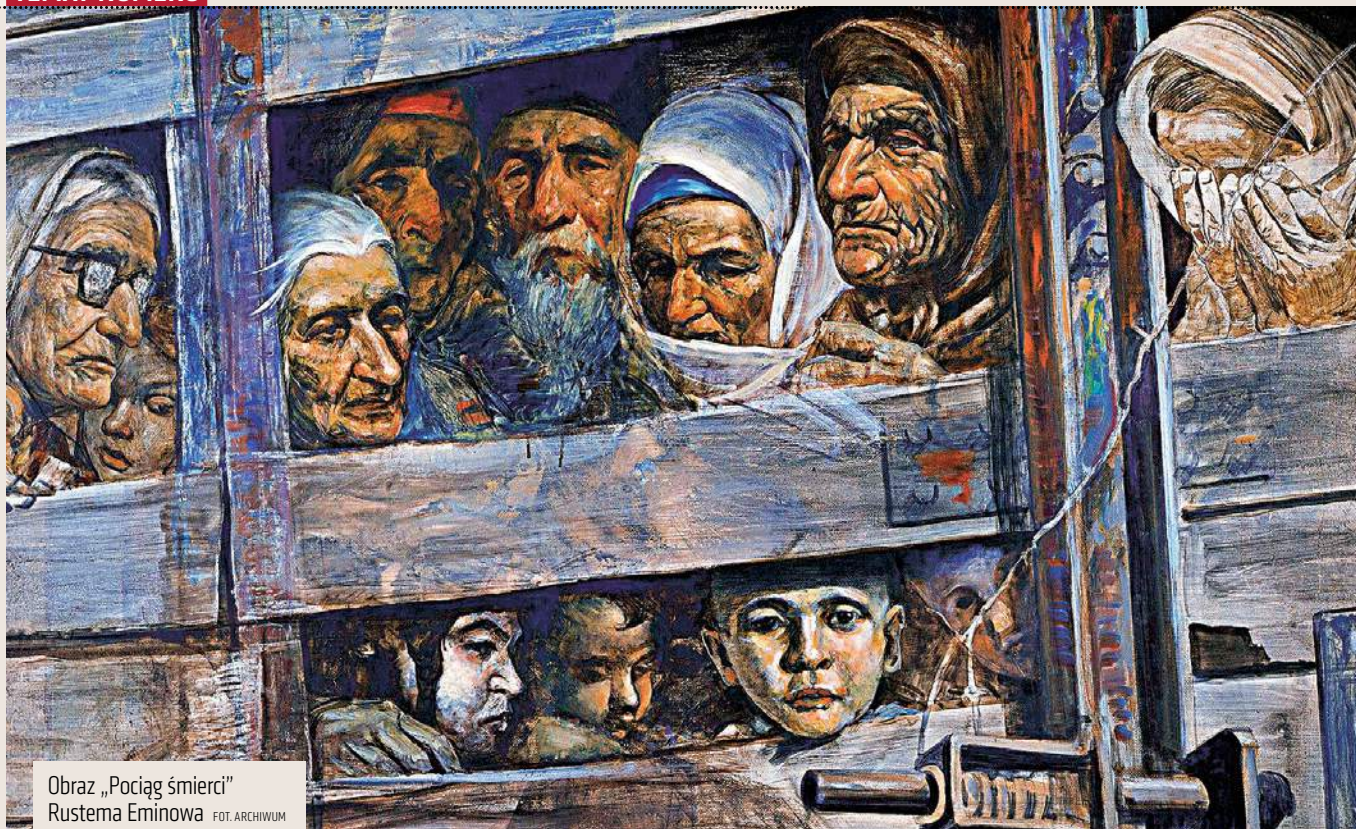
Po przybyciu na miejsce deportowani otrzymywali status tzw. Specprieselenców – pisze prof. Iwanow – co oznaczało zakaz opuszczenia miasta osiedlenia, ale nie pozbawiało praw obywatelskich, w tym prawa wyborczego. Władze w taki sposób chciały osiągnąć podwójny cel: oczyszczenie pasa przygranicznego z Polską od „elementu niepewnego” i zagospodarowanie ziem dziewiczych Kazachstanu, na których w wyniku kolektywizacji znaczna część miejscowej ludności zmarła z głodu.

Raporty konsulów

Niestety ta straszliwa zbrodnia – mimo swojej kolosalnej skali i okrucieństwa – jest w Polsce niemal zupełnie nieznana. Wiedzano o niej jednak w II RP. Świadczą o tym dokumenty z archiwów polskiej dyplomacji opublikowane niedawno przez znakomitego historyka i sowietologa prof. Roberta Kuśnierza w książce „Nas, Polaków, nie ma kto bronić”.

W książce znalazły się raporty polskich dyplomatów akredytowanych w Związku Sowieckim, do których docierały informacje o deportacjach Polaków lub byli ich naoczni świadkami. Jak wynika z dokumentów, pierwsze deportacje z terenów przygranicznych rozpoczęły się już w marcu 1935 r.

Symptomatyczny objaw to masowe wysiedlanie ludności polskiej i niemieckiej z okręgów, sąsiadujących z Polską – czytamy w raporcie z 9 marca 1935 r. przesłanym przez konsula w Kijowie Jana Karszo-Siedlewskiego. – O ile przedtem działa się to pod pretekstem usuwania elementów opornych kolektywizacji lub w jakikolwiek sposób podejrzanym politycznie, o tyle obecnie wysyła się gwałtownie z tych okolic wszystką ludność polską bez podania powodu ani nawet wskazania kierunku wysiedlenia. Według zupełnie pewnych informacji taki właśnie los spotkał niedawno kilka wsi polskich w okolicach Szepetówki, skąd całą ludność zdolną do pracy skierowano do Zagłębia Donieckiego, a nieliczną ludność niepolską pozostawiono na miejscu. Podobne wiadomości mamy z Berdyczowa i Żytomierza, gdzie masowo usuwa się z pracy wielu robotników i pracowników biurowych Polaków, którzy w czasie wszystkich dotychczasowych prześladowań pozostawiani byli w spokoju, jako osoby apolityczne. Obecnie aresztuje się ich, po czym rodziny ich są przymusowo wysiedlane poza granice Ukrainy.



Obraz „Pociąg śmierci”

Rustema Eminowa FOT. ARCHIWUM

■ Raport dyplomaty potwierdzał meldunek wywiadowczy Ekspozytury Oddziału II we Lwowie z 16 marca 1935 r. Ta placówka prowadziła wywiad „na Sowiety”, gdzie posiadała siatkę informatorów. Jeden z nich na stacji Szepetówka widział pociąg składający się z wagonów towarowych, w których znajdowała się ludność cywilna ze sprzętem domowym. W środku znajdowali się Polacy deportowani ze Sławuty w głąb czerwonego imperium.

Uważam za swój obowiązek – alarmował w kolejnym raporcie Karszo-Siedlewski – raz jeszcze zwrócić uwagę Pana Ambasadora na fakty masowych prześladowań i aresztowań ludności polskiej, zamieszkałej w graniczących z Polską okręgach kijowskim i winnickim. Aresztowania kończą się przeważnie masową wysyłką całych rodzin poza granice Ukrainy. Wsie i miasteczka okręgów, graniczących z Polską, ogałane są systematycznie z resztek ludności polskiej, którą wysyła się w niewiadomym kierunku i nieraz rozdzielając rodziców od dzieci, męża od żony itd. Dzieje się to zarówno pod pretekstem kolektywizacji, która znów zrobiła w ostatnich tygodniach gwałtowne postępy, szczególnie w okręgu winnickim, czy też pod pretekstem udziału w akcji szpiegowskiej, za którą niejednokrotnie uważany jest sam fakt starań o wyjazd do Polski lub wizyty w konsulacie polskim, czy też w ogóle bez żadnego pretekstu.

Jak wynika z kolejnych raportów polskich dyplomatów, ludność polską NKWD usuwało z pasa przygranicznego

o szerokości ok. 50 km. W początkowym okresie część Polaków nie jechała daleko, bo do wschodniej Ukrainy. Do kopalń i terenów przemysłowych. Z czasem jednak wszystkich kierowano na „białe niedźwiedzie”, czyli tereny azjatyckie, na których nie było choćby minimalnej infrastruktury i panowały ekstremalne warunki atmosferyczne.

W pierwszej fazie deportacji na wschodnią Ukrainę wywieziono blisko 9,5 tys. polskich rodzin. Po dotarciu na miejsce lokalne władze bezpieczeństwa starały się Polaków rozproszyć małymi grupami w rozmaitych miejscowościach. Tak aby nie mogli trzymać się razem i aby stopniowo ulegali wynarodowieniu. NKWD cały czas poddawało ich ścisłej obserwacji. Za najmniejszą antysowiecką uwagę – np. wyrażenie niezadowolenia ze swojego losu – groziły drakońskie represje. Wydaje się jednak, że zesańcom najbardziej dokuczały dramatyczne, prymitywne warunki bytowe.

Oto fragmenty kilku – odnalezionych i opublikowanych przez prof. Kuśnierza – listów wysłanych z zesłania przez Polaków [pisownia oryginalna – przyp. red.].

Lasu niema. Niebo i ziemia i dużo domów stoi próżnych. Palić niema czym oprócz słomy. Matka nie bardzo zdrowa a ojciec zupełnie zachorował wszystko boli i kolki kołą. Na roboty nie chodzimy, zarobku żadnego nie mamy bo niema ani fabryk i blisko nie ma

miasta. Nikt nie zarobi ani jednego grosza. Ci co wzięli ze sobą krowe i prosiaka małego i wzięli kartofli to wszystka zmarła a tutaj kupić bardzo trudno bo niema pieniędzy i bardzo drogo. Wiadro kartofli 18 rubli na rynku. W tym posiołku były nieurodzące bo była bardzo posucha.

Nastąpił los rujnacji miliony ludu, w tej liczbie i ja z całą moją rodziną, miałbym prawo żorzyć i narzekać na los, że taki mnie spotkał, lecz nie tylko mnie ale w ogóle 70 nas rodzin z Mispola, polskich rodzin. 1 marca wyzwali nas na plenum i objawili nam, gdzie nasz przesiedlają. Do 8 go marca my mieliśmy być spakowani i wywiezieni i każdego dnia stali nam nad karkiem komuniści i napędzali nas, ażeby prędzej pakować i 9-go wszystko spakowali w wagony, pociąg wyruszył Tutaj bezkoniczny step. Trudno się przyzwyczaić, taka rujnacja naszego życia kosztuje wiele utraty zdrowia działa to na ludzi młodych i zdrowych, a o starych i chorych takich jak my nie ma co i mówić. Ja prawie całą zimę leżałem chory na nogi, i dziś nie mogę powiedzieć że jestem zdrow, klimat dla nas nieznośny.

Mnie tu żyć bardzo źle. Żyje w lesie nie mam rodziny prawie nikogo żeby mnie kto w czymkolwiek dopomagał. My tu bardzo pracujemy na kawałek chleba pieniędzy nam nic nie dają za robotę. A tylko bardzo marne jedzenie. Ja już nie tak martwi się za siebie jak za swoją biedną żonę że tak ciężko pracuje o głódzie i o chłódzie tu taj jeszcze leży śniegu ogromna moc prawie meter śniegu. Kochany Ojciec nikogo tak nie skrzywdził jak mnie.

Będę wielce rad otrzymać paczkę, ponieważ teraz nic nie mam. Czasami nawet chleba nie starcza. Nie

mam nic przyzwoitego do ubrania. Nie zapominajcie o mnie! Teraz jestem bardzo mały i bezradny, bardzo potrzebuję pomocy, zarówno materialnej jak i moralnej, ponieważ pracuję przy pracach wspólnych. Ach, jak mi ciężko, że nie mogę być razem z Wami...

Depolonizacja

Jak wynika z zachowanych raportów, sowieckie władze z deportowanymi Polakami obchodziły się bardzo brutalnie. Do opuszczonych przez nich wiosek sprowadzały zaś rosyjskich osadników z Kubania i Donu. Chodziło więc nie tylko o depolonizację byłych ziem wschodnich Rzeczypospolitej, lecz także o zasiedlenie jej ludnością z głębi Związku Sowieckiego. Ludnością, której bolszewicy byli bardziej pewni.

W ostatnich miesiącach przesiedlono do rejonu kupiańskiego obwodu charkowskiego 800 osób ludności polskiej, pochodzącej z okolic Gródka i Kamieńca Podolskiego – pisał 2 sierpnia 1935 r. konsul RP w Charkowie Stanisław Sośnicki. – Ludność ta była przewieziona pięcioma transportami kolejowymi i rozmieszczona w poszczególnych wioskach, opustoszałych po miejscowej ludności, wymarłej z głodu, względnie zesłanej do innych części Związku. Przesiedlonej ludności polskiej zezwolono wziąć ze sobą jedynie najniezbędniejsze rzeczy i równocześnie zabroniono jej wszelkiej korespondencji z opuszczonymi miejscowościami i zagranicą, siłą faktu odcinając ją zupełnie od świata. Część osób z liczby przesiedlonych uciekła z powrotem do swych dawnych miejsc, jaki ich jednak spotkał los nie wiadomo.

Apogeum deportacji przypadło na rok 1936. Wiosną i jesienią tego roku deportowano dziesiątki tysięcy osób. Wywieziono nawet sporą część ludności polskich autonomicznych regionów – Dzierżyńszczyzny i Marchlewszczyzny. Były to polskie minirepubliki mające stać się laboratorium, w którym Sowietci hodowali przyszłe kadry czerwonej Polski. W połowie lat 30. Stalin zmienił jednak zdanie i postanowił oba polskie regiony rozpedzić, jako... „gniazda szpiegostwa i kontrrewolucji”.

Wywózki nie dotknęły jednak polskich bolszewików, ale w przytłaczającej większości zwykłych Polaków. Mieszkańców miasteczek, chłopów i robotników. Nielicznych ocalałych z fali poprzednich represji i terroru przedstawicieli tradycyjnych (czyli niekomunistycznych) polskich elit.

Ludzi przywiązanych do wiary katolickiej i deklarujących polski patriotyzm. A więc – z perspektywy Sowietów – groźnych wrogów ludu.

Działania te przybrały jednoznaczny charakter czystki etnicznej – pisał dr Robert Wyszyński. – Dążono do całkowitego usunięcia ludności polskiej i niemieckiej z pasa przygranicznego. Podobnie jak było podczas przesiedleń przeprowadzanych w 1935 roku, do opuszczanych przez specjeresielańców gospodarstw sprowadzani byli Ukraińcy.

Zgodnie z założeniami instrukcji dotyczącej wiosennych przesiedleń wywózki ludności polskiej i niemieckiej nie ograniczały się tylko do pasa przygranicznego, lecz objęły również duże miasta w obwodzie kijowskim i winnickim, m.in. Żytomierz, Nowogród Wołyński oraz Płoskirów.

Wbrew propagandowym zapewnieniom nie zapewniono tym osobom odpowiednich warunków do osiedlenia. Znaczna część przesiedlonych musiała budować dla siebie prymitywne ziemianki. Władze nie zgromadziły wystarczającej liczby narzędzi oraz ilości materiałów budowlanych potrzebnych do założenia nowych kołchozów i sowchozów.

Co ciekawe, podczas deportacji roku 1936 część doprowadzonych do rozpaczy Polaków próbowała się bronić. Bronić siebie, swoich domów, ziemi i majątków. Jak pisze dr Wyszyński, polskie rodziny podejmowały otwartą walkę z Ukraińcami zajmującymi ich gospodarstwa. Dochodziło również

wysiedleńczej. Polaków wywozili właściwie aż do rozpoczęcia wojny.

Z różnych źródeł – czytamy w raporcie konsularnym z 25 kwietnia 1938 r. – potwierdzają się wiadomości o silnej kampanii, prowadzonej w ostatnich czasach przez władze sowieckie przeciwko ludności polskiej na tutejszym terenie. W więzieniach ZSRS przebywało ostatnio mnóstwo Polaków, aresztowanych w Leningradzie i na prowincji, których skazywano zazwyczaj na pracę w obozach robót przymusowych do lat 15. Wysiedlano też znaczną ilość Polaków z miasta i obwodu. Odbываяc podróż do Polski w połowie kwietnia, miałem możliwość stwierdzić masowe wysiedlania ludności z terenów białoruskich. Pociąg, w którym odbywałem podróż, spotkał się w okolicy Orszy z dwoma transportami wysiedleńców, których oddziały NKWD ładowały właśnie do wagonów. Transporty te liczyły po kilkaset osób każdy.

A oto fragment raportu kontrwywiadowczego z lipca 1938 r.:

Dalsza akcja wysiedlania ludności stałej z pogranicza, mająca wszystkie cechy dążenia do ostatecznego i gruntownego rozładowania pogranicza białoruskiego i ukraińskiego z wszelkiego elementu, mającego choćby najmniejszy związek z Polską lub polskością. Szczególnie ostry kurs polityki w stosunku do obywateli sowieckich narodowości polskiej i komunistów-zbiegów pochodzenia polskiego, zamieszkujących na pograniczu zachodnim, znajdował jaskrawy wyraz w propagandzie prasy sowieckiej, nawołującej do „bezlitosnego gromienia i wykarczowania do końca polskich szpiegów i trockistowsko-bucharinowskich oraz szowinistyczno-faszystowskich agentów Polski na Białorusi i Ukrainie.

Niestety, mimo kolosalnej skali tych wysiedleń i ogromu polskiego cierpienia zdecydowana większość Polaków nie ma pojęcia o sowieckich deportacjach z lat 30. Gehenna naszych rodaków, którym przyszło żyć w Związku Sowieckim, znajduje się poza nawiasem pamięci historycznej narodu polskiego.

Tak było również w dwudziestoleciu międzywojennym. Mimo że polskie władze doskonale zdawały sobie sprawę z tego, co się dzieje, informacje o deportacjach nie docierały do opinii publicznej. W efekcie, gdy w latach 1939–1941 do Kazachstanu zaczęły napływać masy Polaków deportowanych z okupowanej przez bolszewików wschodniej połowy Polski, ze zdumieniem zastali oni na miejscu świeże polskie cmentarze. I polskich niedobitków, nielicznych ocalałych z deportacji roku 1936.

– Kim jesteście? Skąd się tu wzięliście – pytali zaskoczeni.

Gehenna naszych rodaków żyjących w czasach Stalina w Związku Sowieckim znajduje się poza nawiasem pamięci historycznej Polaków

do aktów odwetu w postaci napadów na aktywnych w trakcie akcji deportacyjnych komsomolców i aktywistów partyjnych.

Do końca

Mimo że to właśnie w 1936 r. doszło do największej fali wysiedleń, z dokumentów opublikowanych przez prof. Kuśnierza wynika, iż w kolejnych latach bolszewicy wcale nie wstrzymali akcji

Powstanie kościuszkowskie / Garnizon wroga rozbity



Wojciech Kossak „Jan Kiliński prowadzi jeńców rosyjskich przez ulice Warszawy”

FOT. MUZEUM ŚLĄSKA OPOLSKIEGO

Victoria warszawska



Marek Gałęzowski

Oddziały Jana Kilińskiego wykazały się agresją, bohaterstwem i wolą walki. W Warszawie Rosjanie zostali pobici i stracili 4,4 tys. żołnierzy

Wieści o rozpoczęciu przez Tadeusza Kościuszkę powstania przeciw Moskwie i jego rychłym zwycięstwie pod Raclawicami szybko dotarły do Warszawy. Okupujący stolicę Polski ambasador Katarzyny II, bezwzględny Osip Igelski, zdawał sobie sprawę zarówno z tego, że naczelnik powstania będzie dążył do oswobodzenia miasta, jak i ze spisku, który zawiązali mieszkańcy Warszawy, by zrzucić rosyjską niewolę. Niektórych przywódców udało się Rosjanom aresztować. Żeby jednak całkowicie

rozbić powstańcze sprzysiężenie, namiestnik carycy zdecydował się dokonać pacyfikacji niepokornego miasta w dniu rezurekcji, czyli 19 kwietnia 1794 r.

Jeden z przywódców, dowiedziawszy się o tych zamiarach, natychmiast zwołał tajne zebranie spiskowców. „Więc czegoż więcej spodziewać się nam potrzeba, jak tylko haniebnej śmierci: a ma ona być dla nas zgótowana, to lepiej zgotujmy ją dla tych najezdźników ziemi naszej, którzy ją na trzy części rozszarpali i jeszcze pragną naszych łupów i ostatniej krwi naszej”. Tak przemawiał Jan Kiliński, liczący sobie 34 lata warszawski

szewc, jak się miało okazać – naj-słynniejszy bohater nadchodzących wydarzeń.

Nieprzyjaciół nie żałować

„Po wystrzale armatnim, który został uznany za sygnał do ataku na arsenał warszawski, zaczął się gromadzić rozwścieczony tłum. Już o godzinie 6 rano biły na alarm wszystkie dzwony, około godziny 7 widziano uzbrojonych ludzi pochodzących z niższych warstw społecznych, biegnących rozmaitymi ulicami” – pisał poseł austriacki Benedikt de Caché o wypadkach z 17 kwietnia 1794 r. w Warszawie (cyt. za: Henryk Kocój, „Powstanie kościuszkowskie w świetle korespondencji posła austriackiego w Warszawie”).

Jednym z najczynniejszych przywódców rozpoczętej w ten sposób insurekcji

warszawskiej był Kiliński. Wróciwszy ze wspomnianego zebrania, spisał testament, zdrzemnął się, po czym przed świtem 17 kwietnia nakazał zacząć walkę; on również wysłał ludzi, aby bili w dzwony kościelne. Kiedy wrócił ponownie do domu po broń, czekał tam nań oficer rosyjski, który przyszedł go aresztować. Już z jego domu nie wyszedł. „Ja, wzięwszy kordelas, w tej chwili na nim początek zrobiłem i zaraz krzyknąłem na ludzi, aby poszli za moim przykładem i nieprzyjaciół naszych nie żalowali” – pisał w pamiętnikach staromiejski szewc.

Potem ruszył ponownie do miasta. „Przebiegał Warszawę wzdłuż i wszerz, zagrzewając do boju lub nawet bezpośrednio włączając się do akcji. Dzięki niezwyklej popularności wezwania jego spotykały się zawsze z najwyższym odzewem” – pisał Piotr Łossowski. Najpierw był na Muranowie, gdzie przy jego udziale insurgenci zdobyli dziewięć moskiewskich dział. Potem ruszył na ul. Miodową, gdzie zaczęły się ciężkie walki o gmach carskiej ambasady w Pałacu Rzeczypospolitej, jak nazywano od 1765 r. Pałac Krasieńskich. Później był na Grzybowie, znów na Miodowej i na Krakowskim Przedmieściu.

Szczerze pisał potem w swoim pamiętniku, że umęczony się bardzo, ponieważ nie spał dwie noce, nie jadł, a od tego szybkiego, pieszego w końcu przemierzania się po Warszawie porobiły mu się na nogach pęcherze. Zamierzał więc iść do domu odpocząć, ale wdzięczni warszawiacy, nie wiedząc rzecz jasna o jego zmęczeniu, chwycili go i na rękach ponieśli do ratusza miejskiego, wiwatując na jego cześć, co szewc skomentował później, że złościło go to. Był bowiem bardzo głodny, a tymczasem wielbiciele nakarmili go jedynie wiatami.

Tymczasem o odpoczynku nie było mowy, gdyż na ratuszu mianowano Kilińskiego dowódcą straży pałacowej dla ochrony, a w rzeczywistości pilnowania króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, którego podejrzewano o niechęć do powstania. Monarcha przyjął Kilińskiego z wyraźnym niezadowoleniem, a kiedy dowiedział się, że ten jest szewcem, odwrócił się doń plecami, okazując swoje lekceważenie. Ten nie pozostał dłużny. Głośno wypił zdrowie Kościuszki, po czym w obecności króla wystrzelił z pistoletu na cześć powstańczego wodza.



Osip Igelski, dowódca wojskami rosyjskimi podczas powstania kościuszkowskiego

FOT. WIKIPEDIA

Dzielni działacze

17 kwietnia walka wrzała od wczesnych godzin rannych głównie na Krakowskim Przedmieściu i Starym Mieście. Pisał poseł de Caché: „Gwardyjski pułk konny opanował częściowo wytoczone przeciwko niemu armaty rosyjskie. Pułk Działyńskiego, który pośpieszył mu z pomocą, zaatakował Rosjan na jednej z większych ulic [Krakowskim Przedmieściu przy zbiegu z Nowym Światem] i rozbił ich, przy czym książę Gagarin poniósł śmierć [...]. Do Rosjan strzelano również z okien, także wielu z nich musiało zginąć”.

Ci działacze, chluba polskiej armii, dzielnie bijący się z Rosjanami dwa lata wcześniej w czasie wojny w obronie konstytucji, wyszli dość późno z koszar ujazdowskich, kiedy walka już trwała. Szli pod komendą ppor. Jana Sypniewskiego Alejami Ujazdowskimi i Nowym Światem. „Byli to przeważnie młodzi chłopcy, ubrani w zielone mundury i okrągłe kapelusze z kitkami, uzbrojeni w wyborne sztucery wyrobu kozienickiego, o strzale całkowicie pewnym na odległość 400 kroków. [...] Była to największa siła zwarta, jaką wyprowadził w tym dniu przeciwko nieprzyjacielowi garnizon polski Warszawy; wynikało stąd jasno, że jej zadaniem będzie dokonanie rzeczy najcięższych i najdonioślejszych” (Wacław Tokarz, „Insurekcja warszawska”).

Około godz. 9 działacze byli na Krakowskim Przedmieściu. Rosjanie odmówili im dalszego przejścia i ok. godziny później doszło do walki, początkowo niepomyślnie dla Polaków, którzy ławo widoczni dla rosyjskich kanonierów, ponieśli znaczne straty od pierwszej salwy armatniej. Działacze cofnęli się jednak do okolicznych domów, skąd razili nieprzyjaciela z okien, a także z wieży

klasztora Dominikanów, na cel biorąc właśnie owych kanonierów. Co ciekawe, by zająć stanowiska przy oknach, wchodzili do domów przez te okna właśnie, gdyż mieszkańcy ochoczo dostarczyli im drabin. To właśnie wtedy Rosjanie doznali ogromnych strat – poległ wspomniany już Gagarin, a dowodzący nimi gen. Miłaszewicz został ranny.

Od wczesnego ranka walki toczyły się także w pobliżu pl. Bankowego – na Lesznie i przy ul. Senatorskiej, gdzie do boju z Moskalami włączyli się warszawscy Żydzi (na Lesznie zdobyli rosyjskie działo). Wyróżnili się wśród nich: Całek Abrahamow, Josek Ickowicz i Abraham Fiszel, handlarz. Ten ostatni, wzięty do niewoli, wydostał się z niej i później służył w pułku formowanym przez Berka Joselewicza. O udziale Żydów w kwietniowej insurekcji pisał wspomniany już poseł austriacki w Warszawie, relacjonujący na gorąco wydarzenia, lecz przede wszystkim dostrzegający wysiłek Naczelnik Kościuszko: „Gdy Warszawa krwawą bitwą z najeźdźcami Moskalami stoczyła, Żydzi, mieszkający w tym mieście, rzucili się do oręża, zwarli się mężnie z nieprzyjacielem i dowiedli świata, iż tam, gdzie ludzkość zyskać może, życia swego ochraniać nie umieją”.

Bitwa na Królewskiej ratuje powstanie

W zażartej walce plebs warszawski nie dawał pardonu – bratanek ambasadora Igelskiego, oficer rosyjski, jak stwierdzał znany pamiętnikarz Jędrzej Kitowicz (mylnie podając, że to syn), „nie dosyć, że został zabity, ale też od rozjuszonego pospólstwa na drobne sztuczki rozszarpany”. Nic dziwnego, że Rosjanie bronili się z wielką determinacją. Głównymi punktami ich oporu poza ambasadą był pałac Żańskich przy ul. Miodowej, w pobliżu Krakowskiego Przedmieścia – siedziba Igelskiego.

Jednym z bohaterów, który umożliwił jej zdobycie, był kpt. Hiacynt Drozdowski. Ten absolwent korpusu kadetów, od czasów pierwszego rozbioru służył w artylerii koronnej. W 1790 r. został mianowany kapitanem i adiutantem generała artylerii litewskiej. Dwa lata później walczył w obronie Konstytucji

■ 3 maja. Kiedy władzę nad strzępem Rzeczypospolitej, który pozostał po drugim rozbiórce Polski, przejęli targowiczy zdrajcy, został usunięty z wojska. Nie był członkiem sprzysiężenia, ale kiedy mieszkańcy Warszawy uderzyli kwietniowym świtem na Moskali, 40-letni oficer stanął na czele jednego z licznych improwizowanych oddziałów i poprowadził go na pałac Żałuskich. Atakował tyły gmachu od strony ul. Podwale i nie ustąpił, mimo otrzymanej rany.

Około godz. 15 okazało się, że ul. Marszałkowską idzie na pomoc Igelströmowi bardzo liczny oddział rosyjski. Drozdowski przeszedł więc z Miodowej na nieodległą ul. Królewską, dokąd weszły pierwsze szeregi Rosjan i gdzie wrzał już bój. Pomoc kapita- na była więc bardzo potrzebna, tym bardziej że przezornie zabrał ze sobą nie- wielką armatę. Ustawwszy ją w bramie nieistniejącego dziś Pałacu Saskiego, „do strzału wytaczał ją naprzód, a później, za każdym razem chował za zamyka- jącą się bramą. Było to konieczne, gdyż otwały przeciw niemu ogień półpudo- wy jednoróg i 12-funtowa armata. Tak nierówny pojedynek artyleryjski trwał półtorej godziny. Podczas niego poległa większość obsługi polskiego działka, lecz mimo to nie przestawało ono strzelać, paraliżując ruch wroga w wąskiej ulicy” (Piotr Łossowski).

Rosjanie nacierali jednak dalej i w końcu opanowali prawie skrzydło Pałacu Saskiego. Drozdowski wycofał więc swoją jednodziałową artylerię do sąsiedniego pałacu Brühla i stamtąd nie dał się wyprzeć, chociaż wspierało go już tylko kilkunastu ludzi z pospólstwa, bez żadnego żołnierza. Kiedy zaś stracił ostatniego ze swoich kanonierów, sam nabijał działko i strzelał. Generał Stanisław Mokronowski, który w tym czasie znalazł się przy Królewskiej, zadziwiony bohaterstwem kapitana obiecał mu pomoc. Wkrótce też nadeszły polskie oddziały regularne, które zatrzymały Rosjan.

Ci rozpoczęli odwrót ku Alejom Jerozolimskim, a następnie w kierunku Karczewa. „Był to niebywały sukces. Oto sam lud, dowodzony przez przygodnych przywódców, młodych oficerów, odniósł ważne zwycięstwo. Przesądził on zarazem o powodzeniu całej insurekcji warszawskiej” – pisał Andrzej Zahorski



Walki na Krakowskim Przedmieściu. Szkic Juliusza Kossaka FOT. WIKIPEDIA

w pracy poświęconej dziejom Warszawy w dobie powstania kościuszkowskiego. A Drozdowski mimo rany i wyczerpania trzygodzinną bitwą wrócił na Miodową i wkrótce był wśród tych, którzy zajęli opuszczony przez Rosjan pałac.

Moskale zwyciężeni

Porażka wojsk rosyjskich spieszących na pomoc oblężonej ambasadzie sprawiła, że od tego momentu jej położenie, jak stwierdza Tokarz, stało się rozpaczliwe. Około godz. 14 Polacy opanowali dziedziniec i wpadli do jednej z oficyn pałacu, skąd zaczęli strzelać w okna pozostałych jego pomieszczeń. „Ale Rosjanie bronili się zacięcie dalej, strzelając z okien i piwnic frontu i dwóch oficyn, i po godzinie



Tadeusz Kościuszko FOT. WIKIPEDIA

zdołali wyprzeć powstańców całkowicie, zadając im ciężkie straty” [Tokarz]. Polacy nacierali dalej, teraz na bramę zatarasowaną końskimi trupami. Obustronnej strzelaniny nie przerwało nawet zapadnięcie nocy.

Następnego dnia, 18 kwietnia 1794 r., zwycięstwo Warszawy było już pewne. Mocno pokiereszowany garnizon rosyjski został otoczony w kilku izolowanych punktach oporu, z nadal niezdobytą ambasadą na czele. Zgromadzeni tam oficerowie zdecydowali się nie poddawać i przebić się ul. Świętojerską i Freta ku rogatkom marymonckim. Na dziedzińcu Pałacu Rzeczypospolitej utworzyli kolumnę, która ruszyła naprzód. „Natychmiast po wyjściu z bramy Rosjanie dostali się pod ogień działowy z dwóch stron, któremu towarzyszył karabinowy z okien. Toteż przy pierwszym dziale, które zdołali wyprowadzić, wybito im natychmiast obsługę” – pisał Tokarz.

Nastąpił moment wahania, ale oficerowie opanowali sytuację i stopniowo ruszyli w kierunku ul. Freta, cały czas gęsto ostrzeliwani z okien oraz dział od strony Nalewek i Freta. Ogień był tak silny, że „garść szwoleżerów achtyrskich wsiała wtedy na koń i usiłowała szarżować na działo od ulicy Freta, ale waleczny kanonier Podwysocki strzelał wciąż z działka, a kpt. Witkowski uratował go, zabijając dwóch szwoleżerów. W końcu silny ogień z okien załamał tę szarżę, jedyną w bitwie warszawskiej”.

Odwrót ten, jakkolwiek wykonany przez żołnierzy rosyjskich z wielką odwagą, kosztował wielu poległych. Nie jest też wcale pewne, czy mimo okazanego bohaterstwa tych kilkuset żołnierzy z Igelströmem na czele wyszłoby cało z Warszawy, gdyby... Oddajmy głos Andrzejowi Zahorskiemu: „Na rogu Świętojerskiej i Freta znaleźli się w tak trudnej sytuacji, że nie jest wykluczone, że swe ocalenie zawdzięczali umyślnemu niedopatrzaniu [gen. Stanisława] Mokronowskiego”. Był to człowiek króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Ostatni Rosjanie, którzy bronili się przy Miodowej, kapitulowali o godz. 17. Ci, którzy ukrywali się w kamienicach przy Mazowieckiej i Franciszkańskiej, zostali odkryci przez warszawiaków następnego dnia. W obu bronili się bardzo dzielnie. Na Mazowieckiej prawie cały dzień i dopiero wieczorem, jak pisał Bartłomiej Szyndler,

kiedy wokół kamienicy podpalono wilgotną słomę, dym zmusił ich do poddania się. Natychmiast zostali jednak wymordowani przez oblegające ich pospólstwo miejskie. Usiłujący temu przeciwdziałać nieznany oficer z pułku Działyńskich, którego mundury były wszak doskonale znane warszawiakom, nie tylko nie zdołał zapobiec zbrodni, lecz także sam został poturbowany. Z kolei kamienicę przy ul. Franciszkańskiej ostrzelano z dział i wzięto szturmem, w którym również nie dano pardonu oblężonym żołnierzom carscy.

Taki był koniec największego zwycięstwa polskiego w czasie insurekcji kościuszkowskiej, przyćmionego przez spektakularny sukces niewielkiej i militarnie nieodcydującej o niczym batalii racławickiej. Garnizon rosyjski został bowiem rozbity, straciwszy z 7,5 tys. żołnierzy blisko 4,4 tys. zabitych, rannych, zaginionych i jeńców; samych poległych było aż 2265, co jest dobitnym dowodem zaciętości walk od pierwszego do ostatniego dnia tego kwietniowego powstania. Powstańcy zdobyli również znaczną ilość broni oraz rosyjskie magazyny

z ekwipunkiem i żywnością. Przydały się one do przetrzymania nadchodzącego oblężenia Warszawy przez Rosjan i sprzymierzonych z nimi Prusaków. Polacy utracili przeszło 500 żołnierzy i nie mniej niż 300 cywilnych powstańców, chociaż historyk tej insurekcji Wacław Tokarz uważał, że straty wśród tych ostatnich mogły być nawet dwukrotnie większe.

Jakie zaś były dalsze losy dwóch wspomnianych w naszej opowieści bohaterów kwietniowej insurekcji w Warszawie? Jan Kiliński został członkiem Rady Najwyższej Narodowej, a następnie mianowany pułkownikiem. Samodzielnie formując pułk piechoty złożony z warszawskiego mieszczaństwa, ponosząc znaczną część koniecznych kosztów, cały czas kształcił się w nowym dla siebie rzemiośle wojskowym, nie chcąc być dowódcą jedynie tytularnym. Bardzo zasłużył się w czasie oblężenia Warszawy przez Rosjan i Prusaków latem 1794 r., osobiście prowadząc swoich żołnierzy do walki, w której został dwukrotnie ranny. Po upadku powstania, obawiając się zemsty Rosjan, udał się do wielkopolskiego Trzemeszna,

skąd pochodził. Zawsze gorliwie współpracujący z Moskwą Prusacy aresztowali go jednak i wydali w ręce Katarzyny II. Dwa lata spędził w Twierdzy Pietropawłowskiej. Po zwolnieniu zatrzymał się w Wilnie, przystąpił do antyrosyjskiego sprzysiężenia i ponownie został uwięziony. Wrócił do Warszawy w 1798 r., gdzie otoczony wielkim szacunkiem zmarł 19 lat później.

Kapitan Hiacynt Drozdowski ponownie został przydzielony do służby w artylerii litewskiej. Walczył dzielnie z Rosjanami na Wileńszczyźnie, a później wraz z resztkami wojsk z Litwy w końcu października dotarł do Warszawy. Osiem dni później był widziany na szancach Pragi, w przededniu szturmów wojsk feldmarszałka Aleksandra Suworowa. Zginął zapewne w czasie zdobywania prawobrzeżnej części Warszawy przez Rosjan, być może w dokonanej przez nich osławionej rzezi żołnierzy i mieszkańców. Po dziś dzień nie ma w Warszawie swojej ulicy.

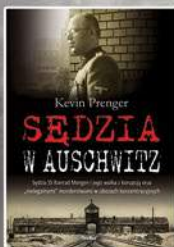
© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, profesorem Uczelni Łazarskiego.

UNIKATOWE WSPOMNIENIA Z NIEMIECKIEGO OBOZU ŚMIERCI. CZTERY LATA PIEKŁA W RELACJI NAOCZNEGO ŚWIADKA.

MROK I MGŁA NAD AUSCHWITZ

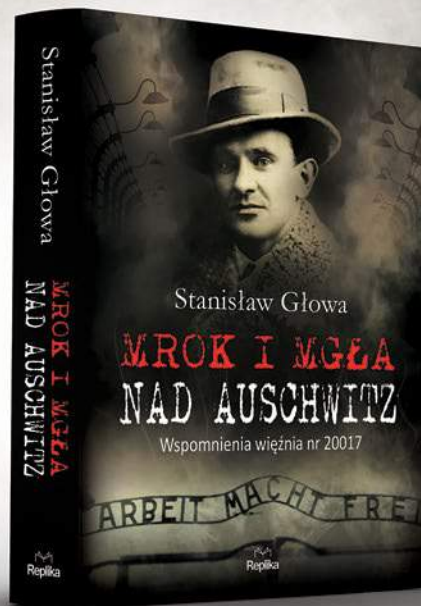
POLECAMY TAKŻE:



Replika

www.replika.eu

Tel. 61 868 25 37
Tel. 515 339 739



Patroni medialni:

HISTORIA HISTORIA OLETTA MHB NIEZŁOMNI

Świadek historii

/ Z Hershelem W. Williamsem, weteranem marines odznaczonym Medalem Honoru



rozmawia Piotr Włoczyk

Jak zdobyłem Iwō-jimę

/ – Japończycy wyskoczyli z bunkra i biegli na mnie z bagnietami. Gdy dzielilo mnie od nich kilkanaście metrów, nacisnąłem spust miotacza ognia. Żołnierze zamienili się w kule ognia, ale biegli dalej, płonąc – opowiada Hershel W. Williams

PIOTR WŁOCZYK: Cztery dni po lądowaniu na Iwō-jimie na szczycie górującego nad wyspą wulkanu Suribachi załopotała amerykańska flaga. Gdzie pan wtedy był?

HERSHEL W. WILLIAMS: Byłem jakiś kilometr dalej. Nie widziałem samego momentu podnoszenia flagi, bo byłem

Jedno z najsłynniejszych zdjęć z lat II wojny światowej: wzniesienie sztandaru nad Iwō-jimā

FOT. WIKIPEDIA

Nikt dookoła mnie nie został wtedy trafiony, ale zastanawiam się, czy gdzieś dalej ktoś nie zginął w głupi sposób podczas tego krótkiego wybuchu radości, kiedy zamiast strzelać do Japończyków, strzelaliśmy w niebo.

Tego samego dnia, 23 lutego 1945 r., dokonał pan rzeczy, za którą dostał pan najwyższe amerykańskie odznaczenie wojskowe – Medal Honoru.

Flaga nad Suribachi została wzniesiona rano, a moja misja odbyła się po południu. Niestety, nie pamiętam wszystkiego, co się wtedy działo. Ale to przypadek wielu żołnierzy. Tak już bywa w ogniu walki. Być może mój mózg nie chciał zapamiętać wszystkich obrazów, które widziałem przez tamte piekielne cztery godziny, a może to wszystko było winą nieprawdopodobnie wielkiego stresu.

Czwartego dnia walk o Iwō-jimę pański oddział napotkał olbrzymi problem w postaci sieci bunkrów, z którymi nawet wasze czołgi nie za bardzo sobie radziły. Japończycy, którzy dodatkowo zaminowali teren, zasypywali was stamtąd gradem pocisków. Kto poszedł z panem w tę – wydawałoby się – straceńczą misję?

Kiedy mój dowódca zapytał, czy dam radę coś zrobić z tymi bunkrami, powiedział, żebym wziął ze sobą czterech chłopaków. Kiedy zbliżałem się z miotaczem ognia do kolejnego bunkra, oni strzelali w jego kierunku i starali się odciągnąć ode mnie ogień Japończyków. Ci chłopcy byli moimi aniołami stróżami. Dwóch z nich dobrze znałem.

Oni też mieli nad sobą aniołów stróżów?

Niestety, dwóch z nich poświęciło tego dnia swoje życie... Kiedy wspominam tamte chwile, nie sposób nie widzieć nade mną bożej opieki, tyle razy mogłem zginąć, tyle razy w ciągu tych czterech godzin kule świsnęły obok mojej głowy.

W uzasadnieniu decyzji o przyznaniu mi Medalu Honoru mowa jest o tym, jak Japończycy wyskoczyli z bunkra i biegli na mnie z bagnietami. To akurat pamiętam doskonale, bo wyglądało to naprawdę groźnie. Leżałem na ziemi i miałem ich przed sobą. Byli coraz bliżej. Gdy dzieliło ich ode mnie dosłownie kilkanaście metrów, naciśnąłem spust miotacza ognia. Żołnierze zamienili się w kule ognia, ale biegli dalej, płonąc. Po chwili jednak zwolnili i w końcu upadli. Potworny smród, coś okropnego. Jak



Hershel W. Williams
z miotaczem ognia FOT. US NAVY

nam tłumaczono, płonący człowiek upada na ziemię nie tyle z powodu oparzeń ciała, ile dlatego, że brakuje mu tlenu (ogień pochłania wokół płonącego cały tlen) i wciąga do płuc płonące powietrze. Miotacz ognia to bardzo skuteczna broń, ale zadaje niezwykle bolesną śmierć.

W końcowym raporcie, który został przygotowany przez Pentagon, zaliczono panu zniszczenie siedmiu bunkrów. W dokumencie tym można przeczytać, że pan „śmiało wspiął się na bunkier, aby wsadzić końcówkę miotacza ognia do kanału wentylacyjnego, zabić załogę i uciszyć karabin maszynowy”. Jak duże były załogi tych bunkrów?

Jeden z marines powiedział mi potem, że zajrzał do jednego z tych bunkrów. W środku było 17 ciał... Ja nie miałem ochoty tam zaglądać, zajmowałem się kolejnymi zadaniami i nie patrzyłem wstecz.

Tak wyglądał tylko jeden dzień z 34, które spędził pan, walcząc na tej wyspie. Jak było później?

Co ciekawe, po wyeliminowaniu tych bunkrów już nie używałem miotacza ognia. Nie było takiej potrzeby. Byłem zwykłym strzelcem, tak samo jak reszta kolegów. Czołgałem się między skałami, wykopywałem zagłębienia ochronne i po prostu starałem się nie dać zabić, równocześnie zadając jak największe straty wrogowi.

zajęty walką. Nagle wszyscy marines dookoła mnie zaczynają krzyczeć z radości i strzelać w powietrze. Kiedy odwróciłem się w kierunku góry Suribachi, zobaczyłem nad nią powiewającą flagę. I zacząłem strzelać w powietrze jak reszta kolegów. Ależ to była radocha!

■ Jaki to był wróg?

Japończycy byli bardzo twardymi wojownikami. Ich filozofia życia była kompletnie inna od naszej. Dla nas życie było bardzo cenne, więc robiliśmy wszystko, by je zachować. Oni z kolei uważali, że jeżeli zginą w walce, to ich dusze dostaną się w specjalne miejsce. Nigdy do końca nie rozumiałem, co to za miejsce, w każdym razie to coś innego niż nasze niebo.

Dla nas śmierć była ostatnią rzeczą, o której marzyliśmy. No, chyba że w grę wchodziło oddanie życia w jakiejś niesamowicie ważnej sprawie, takiej jak np. uratowanie swojej drużyny. Japończycy – w swoim mniemaniu – wygrywali w każdym przypadku: zarówno gdy zwyciężali w bitwie, jak i wtedy, gdy w niej ginęli.

Niestety, ten wróg nie zawsze walczył honorowo. Nasz sierżant, zaprawiony w bojach marines, mówił nam wprost, że jeżeli Japończyk chce się poddać, to powinniśmy się spodziewać najgorszego. Japończycy udawali, że są ranni, i wzywali po angielsku pomocy. Gdy sanitariusz podbiegał, oni wysadzali się w powietrze albo strzelali do naszych chłopców. Było wiele takich przypadków.

Twardzi wojownicy, a do tego doskonale okopani. Mieli w końcu kilka miesięcy, by przygotować się do obrony pierwszego skrawka rdzennie japońskiego terytorium, któremu groziła inwazja.

Pierwszą rzeczą, jaka przychodzi mi na myśl, gdy wspominał Iwō-jimę, to bunkry. Jeden obok drugiego, świetnie przygotowane umocnienia, z których zasypywali nas gradem pocisków. Dowódca japońskiego garnizonu na Iwō-jimie, gen. Tadamichi Kuribayashi, miał sporo czasu, żeby dobrze zaplanować obronę wyspy i doskonale się z tego zadania wywiązał. Nawiasem mówiąc, ten wojskowy spędził w USA kilka lat i dużo o nas wiedział.

Ile ta bitwa miała trwać?

Cała operacja opanowania wyspy miała zająć trzy-pięć dni. Tak nam mówili przełożeni, gdy płynęliśmy z Guam

na Iwō-jimę. Problemem było jednak to, że nie mieliśmy dobrych danych wywiadowczych o sytuacji na wyspie.

Było to o tyle trudne, że Japończycy kilka miesięcy wcześniej wysiedlili całą ludność cywilną. Na Iwō-jimie zostali sami żołnierze.

Dlatego nie było jak wysłać tam szpiega, który dobrze rozeznałby się w sytuacji. Co najwyżej do brzegów podpływali frogmeni, jak w moich czasach nazywano komandosów, którzy później stali się Navy SEALs. Sprawdzali, czy plaże są bezpieczne dla desantu, usuwali wszelkie ukryte w piachu miny. Frogmeni zrobili wtedy kawał dobrej roboty, ale nie byli nam w stanie podać informacji o tym, co nas czekało na wyspie.



Amerykański miotacz ognia M2

FOT. ARCHIWUM

Nie mieliśmy pojęcia, że Japończycy mieli tam 22 tys. żołnierzy, mnóstwo bunkrów i wiele kilometrów tuneli. Większość ich bunkrów była świetnie wtopiona w krajobraz, z daleka bardzo ciężko było je wypatrzeć. Dzięki labiryntowi kryjówek i głębokich schronów bardzo ciężkie bombardowania, które poprzedziły inwazję, robiły im niewielkie szkody. Nasze marynarka wojenna i lotnictwo dosłownie roznieśli w drob-

ny mak wszystko, co było na powierzchni, ale ukryci głęboko pod ziemią Japończycy zapewne ledwo odczuwali skutki takiego ostrzału.

Zdjęcia z pola bitwy pokazują krajobraz niemal księżycowy.

Zgadza się. Na skutek bombardowania wyspy niemal cała roślinność była spalona. Mało było miejsc, za którymi można się było schować, dlatego walka na Iwō-jimie była dla mnie dużo bardziej obciążająca niż na Guam, gdzie walczyliśmy w gęstej dżungli. Zawsze można było się tam schować za drzewem. Dopiero w północnej części Iwō-jimy trafiliśmy na wiele skał, ale wcześniej walczyliśmy na otwartej przestrzeni.

Jak wyglądało lądowanie na wyspie?

Strategia gen. Kuribayashiego zakładała pozwolenie nam na spokojne wylądowanie na wyspie. Oczywiście obrońcy strzelali do naszych chłopców, ale gdyby od razu chcieli nie dopuścić do lądowania, to ogień byłby dużo cięższy. Japończycy chcieli, żebyśmy wszyscy spokojnie wylądowali, nasze łodzie odpłynęły i wtedy nie mielibyśmy odwrotu.

40 tys. marines wylądowało w ciągu pierwszego dnia. Dwie dywizje. Nasi żołnierze byli jeden obok drugiego. Ogień moździerzy był zabójczy i jedno tranienie mogło zabić od razu kilku naszych. Nie dało się wykopać schronienia, bo piasek na plaży był sypki. Lądowanie przebiegało więc w piekielnych warunkach.

Ja byłem w trzeciej, rezerwowej dywizji marines. Wylądowałem na wyspie dwa dni po inwazji. Mieliśmy się tam dostać dzień wcześniej, ale okazało się, że wciąż nie ma dla nas miejsca. Tak ciasno było na przyczółku.

Co pan zastał na plaży?

Wspomnienia pierwszych chwil na wyspie nigdy nie odejdą. Moim oczom ukazała się plaża, która była kompletnie zawałona wszelkiego rodzaju sprzętem. Zniszczona broń, wysadzone w powietrze jeepy, a nawet zniszczone łodzie desantowe. Dookoła wały się broń rannych i zabitych żołnierzy, ich plecaki. Totalny chaos.

Nie było co zrobić z ciałami zabitych. Zawijano je więc w peleryny przeciwdeszczowe i ustawiano w stosach jedno na drugim. Te stosy ciał były dla mnie jednym z pierwszych widoków.

To była niezwykle krwawa bitwa. Z ponad 60 tys. marines co 10. został zabity. Mielście też 19 tys. rannych, czyli niemal tyłu, ilu zginęło Japończyków. Do niewoli wzięliście tylko kilkuset żołnierzy wroga...

Dla nich niewola była jak zdrada. Stawali się tym samym zhańbieni w oczach narodu japońskiego. Walczyli więc do końca.

Dlaczego właściwie wasze dowództwo postanowiło zdobyć Iwō-jimę? Nie można było jej po prostu obejść?

Patrząc na mapę, faktycznie można się zastanawiać, dlaczego rozkazano nam zdobyć tę wyspę. Japończycy byli na niej odcięci, nie mogli liczyć na dostawy żywności, nie mogli pić tamtejszej wody, bo była ona bardzo zsiarczona. Musieli czekać na deszcz.

Najważniejszą kwestią były B-29. Lecąc z Guam, Saipan i Tinian w misje bombowe nad Japonię, nasze B-29 mijały Iwō-jimę, która była niemal dokładnie w połowie drogi. Jeżeli maszyny zostały w czasie misji uszkodzone na skutek ostrzału albo przydarzył im się defekt mechaniczny, to czekało ich lądowanie na oceanie. Załogę B-29 stanowiło 11 bardzo dobrze wyszkolonych lotników. W takim przypadku byli oni skazani na śmierć. Japończycy zbudowali na Iwō-jimie lotnisko, drugie mieli niemal gotowe, a nawet zaczęli budować trzecie. Z uwagi na olbrzymie odległości nasze myśliwce nie były w stanie eskortować naszych bombowców, którym po drodze zagrażały maszyny japońskie. Nie można więc było ominąć wyspy.

Pierwszy B-29 lądował awaryjnie na Iwō-jimie jeszcze przed zakończeniem walk o wyspę, a w sumie między marcem a wrześniem 1945 r. wasze bombowce lądowały awaryjnie na tej wyspie ponad 2,2 tys. razy. Na ich pokładach było prawie 25 tys. lotników.

I dlatego krew naszych żołnierzy nie poszła na marne.

Często się mówi, że Medal Honoru zmienia życie. W pana przypadku też tak było?

Tak, każdy to panu powie. Nie da się już być tym samym człowiekiem.

Społeczeństwo już na to nie pozwoli. Odznaczony automatycznie staje się osobą publiczną, dostaje mnóstwo zaproszeń od wielu szanownych organizacji, by zostać ich członkiem. Trudno sprostać wszystkim zaproszeniom, jakie dostaje.

Byłem na każdej uroczystości inauguracyjnej nowego prezydenta USA, od Kennedy'ego aż do Donalda Trumpa. To wspaniałe uroczystości, które kształtują ducha naszego narodu. Z największą przyjemnością jeżdżę na nie z całą rodziną. Bez Medalu Honoru nigdy nie miałbym na to szansy – dorastałem przecież w prostej farmerskiej rodzinie z Wirginii Zachodniej.

Czy to prawda, że nawet generał powinien zasalutować jako pierwszy młodszemu stopniem żołnierzowi udekorowanemu Medalem Honoru?

Taki jest zwyczaj. Ale ja mam tu swoją interpretację: oni nie salutują mnie, jako kapralowi, tylko medalowi, który przedstawia w naszych siłach zbrojnych niezwykłą wartość.

Podkreśla pan, że nie jest pan właścicielem medalu, który został panu przyznany, lecz tylko opiekuje się pan nim.

Tak, często powtarzam, że jestem jego opiekunem. Wielokrotnie pytałem bowiem samego siebie: „Dlaczego to ja zostałem wybrany, a nie ludzie, którzy oddali życie?”. Oni oddali przecież dla ojczyzny dużo więcej niż ja.

Po niezapomnianej uroczystości, podczas której prezydent Harry Truman udekorował mnie Medalem Honoru, odbyłem rozmowę z dowódcą Korpusu Piechoty Morskiej, gen. Alexandrem Vandegriftem, który notabene sam został odznaczony tym medalem. Generał Vandegrift powiedział mi coś, czego nigdy nie zapomnę: „Ten medal nie należy do ciebie. Należy do wszystkich marines, którym nie dane było wrócić do domu”. Te słowa cały czas dźwięczą mi w uszach. Generał Vandegrift przestrzegał nas, że od tej pory musimy się w życiu bardzo pilnować, bo nie wolno nam zrobić niczego, co byłoby skazą na honorze medalu.

Nie był pan jedynym, który dostał Medal Honoru za walkę na Iwō-jimie. Która z tych mocnych historii szczególnie zasługuje na opowiedzenie?

Nie mam żadnych wątpliwości, że powinienem opowiedzieć o pewnym młodym chłopaku z Karoliny Północnej. Jego ojciec zmarł, gdy miał dziewięć lat.

Matka nie mogła sobie potem z nim poradzić, sprawiał jej mnóstwo problemów. Matka wysłała go więc do szkoły wojskowej, żeby nauczył się dyscypliny i stał się odpowiedzialnym młodzieńcem. Jack Lucas miał 14 lat, gdy Japończycy zaatakowali Pearl Harbor. Wiadomość o ataku wstrząsnęła nim, tak samo zresztą jak mną. Obaj nie mieliśmy wtedy jeszcze pojęcia, że istnieją jacyś Japończycy, którzy marzą o podboju połowy świata.

Jack chciał bronić ojczyzny, więc poszedł do punktu rekrutacyjnego i powiedział, że chce się zapisać do marines.

Czternastolatek, który chce iść na wojnę? Wyobrażam sobie minę członka komisji rekrutacyjnej...

Tak, to musiała być piękna scena. Jack usłyszał oczywiście, że musi jeszcze poczekać. Żeby wstąpić w szeregi marines, trzeba było mieć minimum 17 lat, ale w takim przypadku potrzebna była jeszcze zgoda rodziców. Jack wyciągnął z urzędu certyfikat urodzenia i zmienił na nim datę. Sfałszował też list od matki. Poszedł następnie do innego punktu rekrutacyjnego i... dostał się do marines!

Gdy lądował na Iwō-jimie, dopiero co skończył 17. rok życia. Drugiego dnia walk Jack znalazł się z kilkoma kolegami pod ciężkim ostrzałem wroga. Nagle pomiędzy żołnierzy wleciał japoński granat. Jack nie namyślał się zbyt długo i rzucił się na niego, przykrywając go swoim ciałem. Był ciężko ranny, w szpitalu na Hawajach spędził osiem miesięcy. Przeszedł wiele operacji i nie mógł już walczyć. Jego dowódca zarekomendował go do Medalu Honoru. Otrzymaliśmy nasze odznaczenia na tej samej uroczystości w październiku 1945 r. Stojący obok mnie Jack był 17-letnim chłopakiem! Ja miałem wówczas 22 lata i czułem się przy nim stary (śmiech). Jack to prawdziwy bohater.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Hershel W. Williams

(ur. 1923 r.) jest weteranem Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych z czasów II wojny światowej, ostatnim żyjącym żołnierzem, który dostał Medal Honoru (najwyższe amerykańskie odznaczenie wojskowe) za udział w wojnie na Pacyfiku.



Piotr Zychowicz

/ Szapsel Rotholc w latach 30. był idolem żydowskiej młodzieży. W trakcie wojny zaciągnął się do policji w getcie warszawskim

Mało kto o tym wie, ale po zakończeniu II wojny światowej społeczność żydowska starała się rozliczyć tych swoich członków, którzy podjęli współpracę z III Rzeszą. Odbyły się wówczas liczne procesy sądowe żydowskich policjantów, konfidentów, członków Judenratów i obozowych kapo. Zarówno przed żydowskimi sądami honorowymi w krajach Europy, jak i sądami karnymi w Izraelu.

Nas oczywiście najbardziej interesuje komunistyczna Polska. W październiku 1946 r. przy Centralnym Komitecie Żydów Polskich utworzony został specjalny Sąd Społeczny. Zadaniem tej instytucji było rozliczenie się z żydowskimi „zdrajcami narodu”. Czyli ludźmi, którzy podczas wojny podjęli kolaborację z Niemcami i szkodzili swoim współbraciom.

„Musimy mieć odwagę się przyznać – napisano na łamach żydowskiej gazety »Dos Naje Lebn« (»Nowe Życie«) – że nasz naród nie składa się wyłącznie z niewinnych ofiar”.

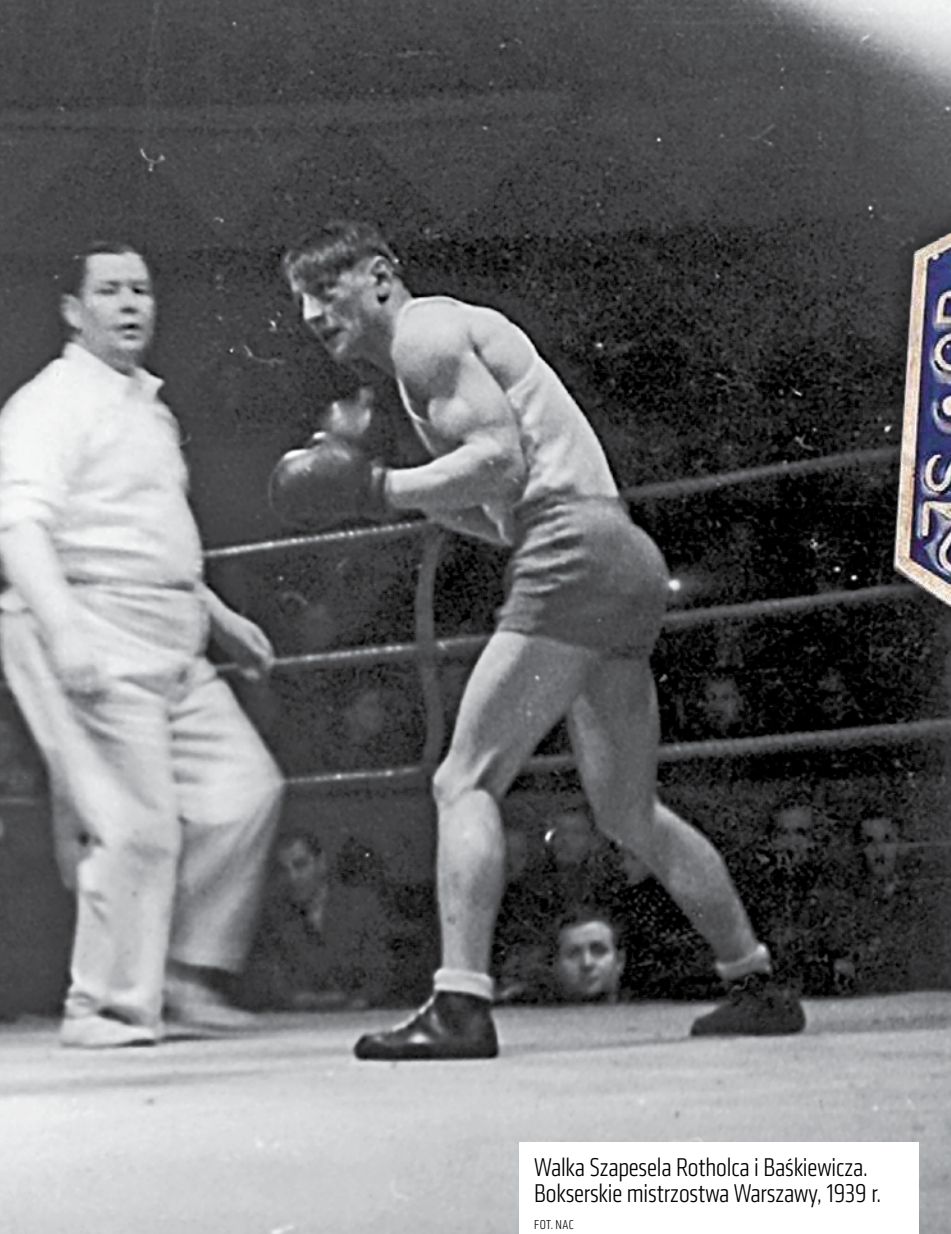
Według prof. Andrzeja Żbikowskiego, autora monografii „Sąd społeczny przy CKŻP”, powojenny trybunał prowadził w sumie ok. 160 spraw. Wywoływały one olbrzymie emocje wśród ocalałych z Holocaustu. Największym zainteresowaniem cieszyły się procesy gettowych policjantów, których było kilkanaście. Najgłośniejszym z nich był proces Szapsla Rotholca.

Kim był Rotholc? Żydowskim idolem. Znakomitym przedwojennym bokse-rem, który na ringach całego świata prał na kwaśne jabłko pięściarzy z Polski, Niemiec i ze Stanów Zjednoczonych. W swojej karierze wygrał ponad 100 walk, z czego kilkanaście jako reprezentant Polski. Reprezentujący barwy



Holokaust / Żydowskie rozliczenia

Bokser z gwiazdą Dawida



Walka Szczesnego Rotholca i Bańkiewicza.
Bokserkie mistrzostwa Warszawy, 1939 r.

FOT. NAC

syjonistyczno-robotniczego klubu Gwiazda Warszawa cieszył się – nawet jak na dzisiejsze standardy – szaloną sławą. Regularnie wygrywał plebiscyty na najpopularniejszego żydowskiego sportowca Polski.

„W latach 30. Rotholc stał się bohaterem kultury żydowskiej – pisał Gabriel N. Finder w artykule poświęconym bokserowi (»Zagłada Żydów« 2/2006). – Zwycięstwa, które odnosił nad Polakami, nie mówiąc o bokserach z nazistowskich Niemiec, i jego służba w Wojsku Polskim rehabilitowały Żydów. Pozornie obalając poglądy o ich niższości rasowej i pasywności, głoszone wytrwale przez antysemitów. Jego sukcesy były dowodem tężyzny fizycznej i gotowości Żydów do jej demonstrowania, co służyło polskiej dumie narodowej i budowaniu poczucia godności Żydów. Po jego pierwszym zwy-

cięstwie nad zawodnikiem niemieckim w Poznaniu na pierwszej stronie »Sportcajtung« ukazał się nagłówek: »Rotholc triumfuje nad swastyką«.

Pozycję Rotholca w oczach żydowskich kibiców wzmocniło zapewne to, że pod koniec lat 30. – gdy w Polsce do głosu doszedł radykalny nacjonalizm – na pięściarza spadły rozmaite szykany. Przestano powoływać go do reprezentacji kraju, odsunięto od obozów szkoleniowych. Arbitrzy sędziujący jego walki podejmowali niesprawiedliwe decyzje. W efekcie w 1939 r. Rotholc porzucił karierę sportową.

Czyż można sobie wyobrazić bardziej modelową, hollywoodzką historię? Wrednym antysemitom nie udało się pokonać walecznego żydowskiego boksera. Nie mogąc sobie z nim poradzić na ringu, postanowili go zniszczyć zakulisowymi



intrygami. W Hollywood film o Rotholcu nigdy jednak nie powstanie. Podczas okupacji pięściarz zaciągnął się bowiem do Służby Porządkowej w getcie warszawskim.

Bił gorliwie...

Po wojnie Rotholc sam zgłosił się do Centralnego Komitetu Żydów Polskich z wnioskiem o oczyszczenie jego nazwiska z oskarżenia o kolaborację. Chciał bowiem wznowić karierę sportową, tym razem w reprezentacji nowej, komunistycznej Polski. Władze związku bokserkiego nie chciały go jednak przyjąć bez wyjaśnienia ciężących na nim zarzutów.

Proces pięściarza ruszył w listopadzie 1946 r. Sala Sądu Społecznego była tak nabita publicznością, że nie dałoby się na nią wepchnąć nawet szpilki. W rozprawach uczestniczyło ok. 600 osób, a więc jedna czwarta warszawskich Żydów!

Linia obrony Rotholca była następująca: do policji wstąpił, by chronić żonę i dziecko. Nigdy nikomu nie zaszkodził, nigdy nikogo nie pobił. Mało tego, udało mu się uratować bliskich przed wywiezieniem do Treblinki. Właśnie w tym celu kilka razy brał udział w łapankach i transportowaniu ludzi na Umschlagplatz.

Jako wytrawny „grajek” Rotholc miał zajmować się głównie ułatwianiem szmuglu między dwiema podzielonymi murem stronami miasta – żydowską i aryjską. A co za tym idzie, pomagał w aprowizacji getta. Innymi słowy,

■ Rotholc uważał się niemal za bohatera.

Proces przybrał jednak nieoczekiwany dla pięściarza obrót. Część świadków potwierdziła jego zeznania, zapewniając, że był „dobrym policjantem”. Inni mieli jednak w tej sprawie diametralnie inne zdanie. Twierdzili, że na własne oczy widzieli, jak Rotholc bił i terroryzował Żydów. Był wedle nich wyjątkowo brutalny, a jeżeli komukolwiek pomagał, to za grubą łapówkę.

Władysław Staszewski zeznał, że widział, jak pięściarz skatował nieszczęśnika, który próbował się wymknąć z „parówki”. „Wyróżniał się szczególną gorliwością w biciu tego Żyda – twierdził Staszewski. – Bił go po głowie i gdzie popadło”. Inny świadek, Icek Szloser, utrzymywał zaś, że Rotholc nie chciał wyciągnąć jego brata z blokady. W efekcie brat Szlosera został zgładzony.

Oddajmy głos prof. Andrzejowi Żbikowskiemu:

„Lucjan Bursztyn miał widzieć oskarżonego z okna AHG na ul. Zamenhofa, gdy Rotholc prowadził 50 Żydów na Umschlagplatz. Świadek Franciszek Stanecki widział go przy obławie na ul. Nowolipki, a niejaka Brzeźnicka zeznała, że Rotholc uderzył ją w twarz, gdy prosiła, by wypuścić jej siostrę z blokady na ul. Wołyńskiej. Znała go z wachy, gdyż regularnie chodziła na stronę aryjską. Wspomniana Flamowa miała jej powiedzieć w czasie pobytu na Majdanku, że jej dzieci zabrano na Umschlagplatz, gdyż »nie miała wystarczającej ilości pieniędzy, by je wykupić«”.

Proces Szapsla Rotholca zamienił się w symboliczny proces całej gettovej policji. Kolejni świadkowie wygłaszali płomienne mowy, w których opisywali okrucieństwa i bezwzględność odemianów. Jak powiedział jeden ze świadków, Służba Porządkowa była „bandą zwy-

rodnialców”. Inny nazwał ją „wrzodem wyrosłym na żydowskim organizmie”.

„Być może najbardziej dramatyczne zeznanie złożyła Ruta Kirszenblat – pisała Gabriel Finder. – Opisywała, jak w czasie łapanek w getcie została wraz z przyjaciółką złapana w pułapkę. Zdesperowana szukała wzrokiem Rotholca, swego znajomego sprzed wojny, i zwróciła jego uwagę. Ale on okazał się głuchy na jej prośby o pomoc. Zeznała też, że podczas tej samej łapanek natknęła się na swojego przyjaciela Maksa Fajnglasa, również policjanta. Fajnglas uratował Kirszenblat i swoją siostrę przed Umschlagplatz, ale w trakcie obławy gonił Żydówkę uciekającą z dzieckiem, wyrwał jej dziecko z rąk i wyrzucił je przez okno. Dziecko zginęło. Według reportera »Dos Naje Lebn« po tych słowach przez salę przeszedł szmer przerażenia. Na koniec powiedziała, że policjanci żydowscy w getcie »byli gorsi od Niemców«. Mimo że jej zeznania nie obciążały Rotholca bezpośrednio, posta-

wiły go w niekorzystnym świetle”.

44 przed sądem

Trudno się dziwić, że w tej atmosferze zapadł wyrok skazujący. Rotholc został uznany za winnego. Ukarano go dwuletnim wykluczeniem ze społeczności żydowskiej i odebraniem prawa wyborczego na trzy lata. Przez cały ten czas nie mógł uprawiać zawodu sportu. Rotholc był zdumiony. Podczas rozpraw rąbał pięścią w stół i krzyczał. Nie mógł zrozumieć, czego od niego chce cała ta zgraja prawnych gryziopiórków.

Po wyroku do sprawy wchodziły się władze komunistyczne. Rotholc został aresztowany przez UB. Sprawie jednak szybko ukręcono łeb, bo działacze sportowi nowej Polski chcieli, aby znakomity bokser wrócił

na ring. W 1948 r. – pod naciskiem władz – Sąd Społeczny uchylił swój poprzedni wyrok.

Chociaż pięściarz mógł teraz wznowić karierę, to wyciął komunistom numer. Wyjechał do Kanady, gdzie zajął się... kuśnierstwem. Zmarł w Montrealu w roku 1996. Był to bez wątpienia najbardziej znany spośród żydowskich policjantów. Postać, która czeka na swojego historyka biografę, a być może na wielkiego pisarza.

Procesy żydowskich policjantów, konfidentów i obozowych kapo toczyły się nie tylko przed żydowskim Sądem Społecznym. Także przed sądami karnymi komunistycznej Polski. Tak, to nie pomyłka – „żydokomunistyczny reżim” w latach 40. i 50. sądził żydowskich kolaborantów. To już były procesy na poważnie. Zapadające w nich wyroki były znacznie poważniejsze niż kara infamii.

Z badań prof. Andrzeja Żbikowskiego wynika, że przed sądami Polski Ludowej



Szapsel Rotholc (z prawej) i niemiecki bokser Graf, 1935 r. FOT.NAC

stanęło co najmniej 44 Żydów oskarżonych o współpracę z organami bezpieczeństwa III Rzeszy. W 30 proc. zapadły wyroki skazujące, w tym 10 wyroków śmierci. Co najmniej dwa z nich zostały wykonane. A świadkami oskarżenia zawsze byli inni Żydzi.

Seria takich procesów odbyła się między innymi w Krakowie, gdzie policja gettowa wyjątkowo dała się we znaki swym rodakom. Jak pisze historyk Alicja Jarkowska-Natkaniec, straceni zostali Leon Gross i Majer Kerner. W czerwcu 1946 r. wyrok śmierci usłyszał zaś Maks Zimmermann. Były odeman prosił o ocalenie życia Bolesława Bieruta, ale „prezydent” nie skorzystał z prawa łaski.

Warto przytoczyć fragment uzasadnienia wyroku śmierci wydanego na Leona Lidermana, policjanta z obozu w Płaszowie:

„Sąd doszedł do przekonania, że oskarżony bijąc, kopiąc i ubliżając, znęcał się nad więźniami-Żydami w Płaszowie i Częstochowie. Znęcał się nad nimi fizycznie, bo ofiary jego musiały bite i kopane odczuwać ból, znęcał się nad nimi moralnie, bo jego ofiary czuły się poniżane, upokarzane, upośledzone, bezradne, gdyż wiedziały, że ich nikt nie obroni w obozie przed oskarżonym – zaufanym Niemców, ich kompanem w pijatykach, zbrojnym w pejcz, harap czy pałkę gumową”.

„Ruda Loba”

W sentencji wyroku wydanego na Aleksandra Eintrachta napisano z kolei: „Sąd wziął również pod uwagę, że oskarżony jest Żydem, który znęcał się nad swoimi współwięźniami Żydami w okresie najtragiczniejszym dla tego narodu i że cios zadany maltretowanemu Żydowi przez Żyda był bardziej bolesny od ciosu Niemca, bo zadawał i ból moralny”.

Wydaje się, że sędzia trafił w sedno. O ile niemiecki oprawca był dla Żydów abstrakcją – człowiekiem z zewnątrz, bez twarzy i nazwiska – o tyle funkcjonariusz Służby Porządkowej był znajomym, sąsiadem, a czasami nawet krewnym. Dlatego brutalne czyny dokonywane przez Żydów były znacznie bardziej szokujące i trudniejsze do wybaczenia.

Rozliczeń z kolaborantami dokonywało również państwo żydowskie. Według

ustaleń izraelskiego historyka Boaza Tala przed izraelskimi sądami stanęło 40 ocalałych z Holocaustu oskarżonych o współpracę z III Rzeszą. Ludzi tych osądzono i skazano na mocy przyjętej przez Kneset w 1950 r. specjalnej Ustawy o sądzie nazistów i ich współpracowników.

Przed sądem stanął m.in. zastępca policji getta w Ostrowcu Świętokrzyskim, oskarżony o grabież żydowskiego mienia i wydanie w łapska Niemców 200 współbraci. A także młodociana blokowa z Auschwitz, która biła podległe jej żydowskie więźniarki tak dotkliwie, że u pięciu spowodowała trwałe uszkodzenia zdrowia.

Niemal wszyscy świadkowie zeznawali, nie szczędząc drastycznych szczegółów niegodnych czynów kapo. Musiało to zrobić piorunujące wrażenie na sędziach, bo mężczyzna został skazany na śmierć. Wyrok ten wstrząsnął izraelską opinią publiczną. Ostatecznie karę złagodniono, ale Izrael jeszcze przez wiele miesięcy żył tą sprawą.

Rozliczenia kolaborantów w Izraelu miały zaskakujące zakończenie. W sierpniu 1971 r. na wycieczkę do Izraela przyjechała niemiecka turystka pochodzenia żydowskiego. Na ulicy w mieście Rishon le-Cijon przypadkowo spotkała ją pewna ocalała z Holocaustu. Kobieta nie mogła uwierzyć własnym



Żydowski policjant i niemiecki żołnierz w warszawskim getcie. FOT. ARCHIWUM

Najsurowszy wyrok zapadł jednak w sprawie kapo, który kierował grupą żydowskich robotników na Górnym Śląsku.

„Był złym człowiekiem – zeznał jeden z ocalałych. – Bił i okaleczał wszystkich. Jeśli kogoś bił, robił to z całej siły. Dla niego uderzyć kogoś to jak dla mnie powiedzieć jedno słowo. Nie było dnia, żeby kogoś nie pobił, nie mógł żyć bez bicia”.



PIOTR ZYCHOWICZ
„ŻYDZI 2”

REBIS

oczom. Mimo upływu kilkunastu lat nie miała żadnych wątpliwości – niemiecka turystka była osławioną „Rudą Lobą”. Słynącą ze znęcania się nad współwięźniarkami żydowską kapo z obozu w Landsbergu.

Kobieta natychmiast pobiegła na policję. Loba Meschkup-Gricmacher została aresztowana. Wytoczono jej proces, ale że sprawa była delikatna – „Ruda Loba” miała obywatelstwo zaprzyjaźnionych Niemiec – zapadł w nim niezwykle łagodny wyrok. Kobiecie udowodniono jedynie napaść i złamanie palca żydowskiej współwięźniarki. „Ruda Loba” została skazana na trzy miesiące więzienia. Był to ostatni izraelski proces Żyda podejrzanego o kolaborowanie z III Rzeszą.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

ZSRS / Tajemnica wielkiego terroru

Teczka Stalina



Mikołaj Iwanow

/ Czy sowiecki dyktator wymordował czołowych bolszewików, bo wiedzieli, że w młodości był agentem carskiej ochrony?

Historia Rosji na tle historii reszty Europy stanowi swoisty unikat. Spotyka się opinie, że w tym kraju prawie od zawsze trwała wojna domowa. Od Iwana Groźnego poczynając, na Stalinie kończąc, historia wewnętrzna przypomina niekończącą się taśmę domowych konfliktów zbrojnych, zdrad, krwi, różnorodnych represji i nawet ludobójstwa na własnym narodzie. Ta historia niszczenia własnego narodu osiągnęła swe apogeum w XX w., w okresie tzw. eksperymentu komunistycznego. Był to czas bezprecedensowego zmuszenia narodów imperium sowieckiego do przyswajania komunistycznej ideologii opartej przede wszystkim na terrorze.

Historycy do dziś szukają jakiegoś wytłumaczenia tych okrutnych, nielogicznych, wręcz głupich zbrodni przeciwko własnemu narodowi. Czy tak potworne puszczenie krwi własnym poddanym jedynie osłabiało to państwo? Czy gdyby nie represje stalinowskie, nie doszłoby do tak spektakularnych porażek Armii Czerwonej na początku wojny sowiecko-niemieckiej i może nie trzeba by było płacić tak ogromnej daniny krwi i spustoszenia kraju na rzecz zwycięstwa nad III Rzeszą? A może terror stalinowski wzmocnił to państwo przed wojną

i pomógł zjednoczyć naród w okresie wielkiej próby?

Częściową odpowiedź na te trudne pytania można odnaleźć w jednym stosunkowo mało znanym wydarzeniu sprzed lat. Informacja o tym kontrowersyjnym zdarzeniu dotarła do nas w postaci wspomnień Aleksandra Orłowa (Lejby Feldbina), generała NKWD, któremu udało się przeżyć czystki wielkiego terroru i spokojnie zakończyć swój żywot na solidnej kapitalistycznej emeryturze w Stanach Zjednoczonych.

Kacnelson mówi

Według Orłowa rzeczywistą przyczyną wielkiego terroru był strach Stalina przed wykryciem jego działalności agenturalnej na rzecz carskiej tajnej policji (ochrony) w szeregach własnej partii. Stalin, jak twierdzi Orłow, był płatnym agentem ochrony w latach 1902–1905 i prawie cała jego działalność polityczna w następnych latach była przesiąknięta walką o ukrycie tego faktu. Orłow jest pewny, że w czasie wielkiego terroru zamordowano wszystkich, którzy cokolwiek wiedzieli na ten temat.

Sam Orłow dowiedział się o zdradzie Stalina w sposób następujący. W lutym 1937 r., w przededniu rozpoczęcia wielkiego terroru, Orłow – pełniący obowiązki szefa sowieckiego wywiadu w Europie Zachodniej i zamieszkały w Paryżu – ciężko zachorował i trafił do francuskiego szpitala. Tutaj na szpitalnym łóżku odwiedził go cioteczny brat Zinowij Kacnelson, również piastujący bardzo wysokie stanowisko w NKWD. To, co usłyszał Orłow od swego brata, każdego mogło wprawić w osłupienie.

Kacnelson przyjechał do Paryżu w celu powiadomienia Orłowa, że w Związku Radzieckim szykują się poważne zmiany polityczne. Dni Stalina, jak twierdził, na czele ZSRS są policzone.

W partii dojrzewa potężny spisek przeciwko Stalinowi, w który są zaangażowani przywódcy armii i NKWD. Kacnelson wprowadził swego krewnego w szczególności szykującego się starcia.

Cały spisek zawiązał się podczas przygotowywania w NKWD szeregu procesów pokazowych roku 1935. W toku tych działań kierownik wydziału archiwalnego leningradzkiego NKWD (GPU) Wilhelm Szejn otrzymał od ówczesnego szefa NKWD Gienricha Jagody zadanie: znaleźć materiały kompromitujące działaczy opozycyjnych w partii. W toku poszukiwań Szejn znalazł w archiwum ochrony teczkę osobową Stalina. Stalin, jak wiadomo, w tym czasie już sprawował całkowitą kontrolę nad partią i Związkiem Radzieckim. Mógł na pewno już wcześniej zniszczyć wszystkie ślady swej działalności agenturalnej. Nie zrobił tego tylko dlatego, żeteczka znajdowała się nie w ogólnym archiwum ochrony, lecz trafiła do NKWD później, razem z osobistym archiwum zastępcy szefa ochrony Sergieja Wissarjonowa. Zawierała ona jego zdjęcie, a także własnoręcznie pisane raporty o sytuacji w partii i donosy na poszczególnych jej liderów. Wissarjonow proroczo usunął „teczkę Stalina” z ogólnego archiwum jako własne zabezpieczenie na wypadek dostania się w ręce NKWD.

Według słów Kacnelsona przerażenie Wilhelma Szejna było tak ogromne, że początkowo powiadomił o jej istnieniu jedynie swego bliskiego przyjaciela w szeregach NKWD, szefa tej zbrodniczej struktury na Ukrainie, organizatora „hołodomoru” Wsiewołoda Balickiego. Ten zdecydował się naradzić się w tej sprawie ze swym pierwszym zastępcą Kacnelsonem. Razem zdecydowali oni podzielić się tą wybuchową informacją z kierownictwem Armii Czerwonej. Pierwszy dowiedział się o istnieniu „teczki Stalina” dowódca Kijowskiego Okręgu Wojskowego Iona Jakir. Ten bohater wojny



Wiedział o znalezieniu „teczki Stalina” i sam szef NKWD Gienrich Jagoda, który zachował tę informację w tajemnicy. Prawdopodobnie chciał ją wykorzystać jako swą tajną broń w walce o przeżycie w razie konfliktu ze Stalinem. Nie zdążył i nawet nie spróbował jej użyć. Aresztowano go 28 marca 1937 r., niespełna miesiąc po rozmowie Orłowa z Kacnelsonem.

Nie przeżył wielkiego terroru także sam Kacnelson, stracony jako zdrajca ojczyzny w 1938 r. Jednak przed aresztowaniem zdążył wprowadzić Orłowa we wszystkie szczegóły antystalinowskiego spisku.

Dokumenty ochrony
dotyczące Józefa
Długaszewskiego (Stalina)

W Armii Czerwonej w drugiej połowie lat 30. był tylko jeden człowiek zdolny rzucić wyzwa-

ОПИСАНІЕ ПРИМѢТЪ

nie Stalinowi i partii, mający niezaprzeczalny autorytet w wojsku – marszałek Michaił Tuchaczewski. Do niego do Moskwy niezwłocznie udał się Jakir i podzielił się z nim informacją od ukraińskiego NKWD. Tuchaczewski po zapoznaniu się z dokumentami „teczki Stalina” bez wahania przystąpił do spisku i rozpoczął konkretne przygotowania do konfrontacji ze Stalinem. W Moskwie odbyła się tajna narada najbardziej bliskich Tuchaczewskiemu sowieckich wyższych dowódców wojskowych. Wkrótce się okazało, że owa bliskość nie była aż tak bliska, aby zachować całą sprawę w tajemnicy. Kto zdradził – nie wiemy i prawdopodobnie już nigdy się nie dowiemy.

Nastąpiła bezprecedensowa czystka w Armii Czerwonej. NKWD z inicjatywy Stalina zdecydowało się oskarżyć marszałka Tuchaczewskiego, Ionę Jakira i innych generałów z najbliższego otoczenia marszałka o spisek przeciwko partii i państwu, o próbę zamachu stanu i wprowadzenie w ZSRS dyktatury wojskowej zamiast dyktatury proletariatu (w rzeczywistości partii). Jako dodatkowego argumentu w celu oczernienia marszałka i jego towarzyszy użyto oskarżenia o szpiegostwo na rzecz Niemiec i Polski. Pierwsze z tych oskarżeń ze względu na wyjątkowo szeroką współpracę między Wehrmachem i Armią Czerwoną w latach 20. i na początku lat 30. ubiegłego wieku było stosunkowo nietrudne do udowodnienia. Tuchaczewski kilkakrotnie odwiedzał Niemcy, brał udział w licznych manewrach Wehrmachtu, miał osobiste kontakty z niektórymi przedstawicielami generalicji niemieckiej.

Natomiast drugie oskarżenie – o szpiegostwo na rzecz Polski – udowodnić marszałkowi nie było tak łatwo. Zdecydowano przyłączyć do sprawy znanego polskiego komunistę, byłego posła na Sejm II RP Tomasza Dąbala, którego z marszałkiem łączyła dość luźna znajomość. W chwili aresztowania Tuchaczewskiego Tomasz Dąbał już prawie od pół roku znajdował się w areszcie na Łubiance, powoli załamywał i zaczynał składać zeznania o swoim

rzekomym udziale w działalności nielegalnej polskiej siatki szpiegowskiej, tzw. Polskiej Organizacji Wojskowej, a także obciążające innych, w tym marszałka Tuchaczewskiego.

Represje wobec dowódców Armii Czerwonej w ramach zwalczania rzekomego spisku Tuchaczewskiego, ochrzczonego w prasie sowieckiej mianem „spisku wojskowo-faszystowskiego”, rozkręcały się latem 1937 r. w wyjątkowo szybkim tempie. Już do 23 czerwca 1937 r. aresztowano 981 osób, wśród nich marszałka i 120 „komandarmów, komkorów, komdiwów i kombrigów, komisarzy armii, korpusów, dywizji i brygad” (wszystkie odpowiedniki stopni generalskich).

Zaskakujące, że istnienie „teczki Stalina” nie jest czymś nowym, odkrywczym. Po raz pierwszy informacja o niej pojawiła się nie na stronach jakiegoś małego naukowego specjalistycznego czasopisma, lecz na łamach jednego z najbardziej poczytnych czasopism na świecie – amerykańskiego tygodnika „Life” – jeszcze w 1956 r. Inna sprawa, że dowodem na jej istnienie są jedy-

nie oświadczenia pośrednich świadków. Stalin na pewno zadbał o to, aby zniszczyć samą teczkę i wszystkie pośrednie dokumenty świadczące o jej istnieniu. Orłow nie ujawnił informacji o „teczce Stalina” za życia dyktatora. Musiał doczekać się jego śmierci i dopiero wtedy pozwolił sobie mówić.

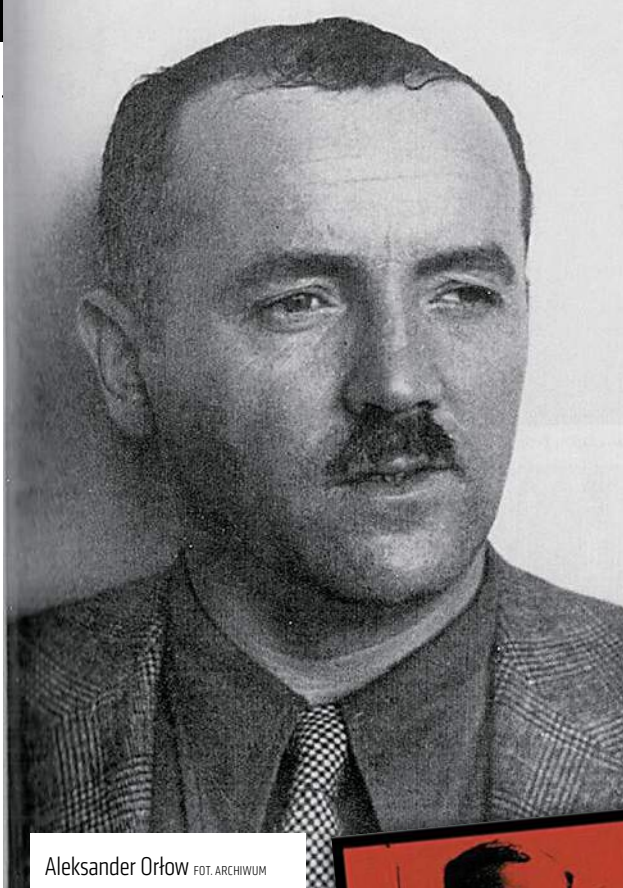
W książce „Tajna historia stalinowskich zbrodni” wydanej na Zachodzie czytamy: „Kiedy będą wiadome prawdziwe fakty związane ze sprawą Tuchaczewskiego, świat się dowie: Stalin wiedział, co robił. Mówię o tym ze stuprocentowym przekonaniem, bo wiem ze źródeł niepodważalnych, że sprawa Tuchaczewskiego była związana z najbardziej przerażającą tajemnicą, która będąc ujawniona, rzuci światło na to wszystko, co wydaje się niezrozumiałym w zachowaniu Stalina”. Orłow jest przekonany, że głównym źródłem okrucieństw Stalina był strach przed ujawnieniem jego przeszłości agenturalnej. Dlatego tak okrutnie, nielogicznie i rzekomo bezsensownie zniszczył on prawie całe dowództwo Armii Czerwonej, pozbawiając ją doświadczonych kadr wojskowych, niezbęd-

nych w wojnie z III Rzeszą.

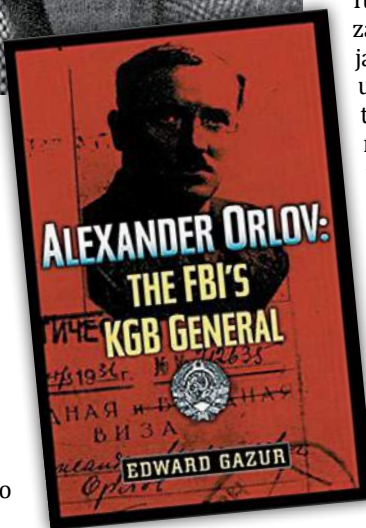
Dlatego tak doszczętnie zniszczył on gwardię Lenina, starych bolszewików, mogących cokolwiek wiedzieć o jego zdradzie.

Azyl w USA

Grigorij Orłow poznał prawdę o przyczynie stalinowskich zbrodni jako jeden z pierwszych. Wiedział również, że jego przyjaźń i pokrewieństwo z człowiekiem, który jako jeden z pierwszych dowiedział się o istnieniu „teczki Stalina”, oznacza dla niego i jego rodziny wyrok śmierci. Dlatego zdecydował się na ucieczkę na Zachód. Dodatkowym argumentem za niewracaniem do kraju była narodowość żony Orłowa – Maria



Aleksander Orłow FOT. ARCHIWUM



Różniecka była bowiem Polką. Był to okres szczególnego nasilenia antypolskiego terroru w Związku Sowieckim, kiedy tzw. operacja polska osiągnęła swe apogeum. Prawie każdy Polak piastujący mniej więcej odpowiedzialne stanowisko był oskarżany o szpiegostwo na rzecz II RP. Wracać do Moskwy w tej sytuacji dla trzyosobowej rodziny Orłowów było równoznaczne z samobójstwem.

Orłów zdecydował się również na krok bez precedensu. Napisał do Stalina osobisty list, w którym przyrzekł, że będzie milczał o wszystkich tajnych operacjach NKWD na zachodzie Europy, a także o tym, co wiedział na temat sytuacji wewnątrz ZSRS. Wiedział zaś Orłów wyjątkowo dużo. Znał osobiście wielu agentów sowieckich po obu stronach Atlantyku. Wiedział nawet o pracy słynnej „piątki z Cambridge”, sowieckich agentów kontrolujących brytyjskie służby specjalne. Danego słowa Orłów dotrzymał. Zaczął mówić dopiero po śmierci Stalina.

Latem 1938 r. Orłów otrzymał z Moskwy rozkaz, aby zjawić się w belgijskiej Antwerpii w celu spotkania z emisariu-

szem NKWD na pokładzie sowieckiego statku. Zamiast sowieckiego statku Orłów z żoną i córką znaleźli się na pokładzie innego statku we francuskim porcie Cherbourg, płynącego do Kanady. Jako materialne zabezpieczenie Orłów zabrał ze sobą w podróż ponad 90 tys. dol., znajdujących się w kasie sowieckiego centrum szpiegowskiego na Zachodzie. Według kursu porównawczego było to co najmniej 1,5 mln dol. w cenach dzisiejszych. Pieniądze te znajdowały się w sejfie sowieckiego konsulatu w Barcelonie i były przeznaczone na zabezpieczenie operacji specjalnych. Klucz od sejfu miał tylko Orłów.

Z Kanady Orłów po miesiącu przeprowadził się do Stanów Zjednoczonych, gdzie mógł się czuć o wiele bezpieczniej. Jako doświadczony szpieg początkowo ukrywał się zarówno przed władzami sowieckimi, jak i amerykańskimi. Orłowie mieszkali w Nowym Jorku pod imionami i nazwiskiem Leo, Maria i Wera Kurnik. Później w ciągu prawie 15 lat mieszkali w różnych miejscowościach w USA jako Leo i Maria Berg. Ich córka zmarła śmiercią naturalną w 1940 r.

Podczas II wojny światowej, w okresie istnienia koalicji antyhitlerowskiej, rząd ZSRS zwrócił się do swych amerykańskich sojuszników z prośbą o odnalezienie Orłowów. FBI odpowiedziało na prośbę swych sojuszników pozytywnie, ale odnaleźć ich się nie udało. Dopiero w kwietniu 1955 r. Kongres Stanów Zjednoczonych przyjął ustawę pozwalającą nadać Orłowowi i jego żonie status uchodźców politycznych i legalizować ich pobyt w Stanach Zjednoczonych.

Od tego czasu Orłów był zatrudniony jako konsultant Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA). Brał udział w kształceniu amerykańskich dyplomatów i pracowników służb specjalnych. W 1963 r. w Stanach Zjednoczonych wydano podręcznik szpiegowski autorstwa Orłowa pt. „Poradnik w działalności wywiadowczej i prowadzeniu wojny partyzanczej”. W tym samym czasie Orłów został zatrudniony na uniwersytecie stanowym w Michigan jako Senior Research Fellow. Orłów dożył 78 lat. Zmarł w 1973 r. w amerykańskim mieście Cleveland.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

MIĘDZYUCZELNIANY KOMITET OBCHODÓW 100-LECIA UNIWERSYTETU POZNAŃSKIEGO,
AGENCJA PRESTIGE MJM ORAZ MARCELIN MANAGEMENT
WE WSPÓŁPRACY Z KLASSICS MUSIC MANAGEMENT ZAPRASZAJĄ NA KONCERT

ANDREA BOCELLI

THE WORLD'S MOST BELOVED TENOR

11 MAJA 2019
STADION POZNAŃ

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL, EMPIK, www.andreabocelli.com/tickets

andreabocelli.com



Prestige
MJM

MARCELIN

100
UNIWERSYTETU POZNAŃSKIEGO 100 LAT

POZnań

TEATR
MUSY
CZNY

TVPI 3
POZNAN

SKOS
WIELKOPOLSKI

Rzecz

GAZETA BANKOWA

VIVA

URODA

pap

cgm.pl

WP

multikino

empik

cross service

VIXON

ams



Arkadiusz Karbowski

/ Komandor Borghese w imieniu Mussoliniego bezpardonowo tępił komunistów. W 1970 r. chciał przeprowadzić we Włoszech neofaszystowski pucz

Włochy jeszcze przed wybuchem I wojny światowej były krajem zdecydowanie przodującym w projektach łodzi torpedowych. Kiedy latem 1914 r. rozpoczęła się wielka wojna, ich tempo uległo zdecydowanemu przyspieszeniu. Już w 1915 r. ówczesny rząd zlecił weneckiej firmie SVAN budowę pierwszego egzemplarza Motobarca Armata (uzbrojona łódź motorowa). Wkrótce na masową skalę zaczęły je produkować także firmy Isotta Fraschini i Fiat. Wtedy też zmieniono jej nazwę na Motoscafo Armato Silurante MAS (uzbrojona motorowa łódź torpedowa). Do momentu zakończenia konfliktu udało się zbudować 419 egzemplarzy tych łodzi.

Pokojowy okres dwudziestolecia międzywojennego zahamował postęp prac nad unowocześnianiem tej broni. Sytuację zmieniła nieco inwazja Włoch na Abisynię w październiku 1935 r. Wtedy to kapitanowie Teseo Tesei i Elios Toschi skonstruowali włoską żywą torpedę SLC (Siluro Lenta Corsa), nazywaną powszechnie „maiale” – świnią. Parę lat później pojawiły się nowe generacje owej broni: Seria 100 i Seria 200. „Świnie” miały długość 6,7–7,3 m i ważyły 1,3–1,4 t. Napęd stanowiły silniki elektryczne o mocy 1,6 KM, co dawało możliwość rozwinięcia prędkości od 2–3 węzłów przy zanurzeniu na głębokości od 15 do 30 m. Dwóch członków załogi podpływało do celu i podczepiało na nim 1,8-metrową zegarową głowicę torpedy, która zawierała ładunek wybuchowy o ciężarze 230–260 kg.

Obok „świń” w walce z flotą aliancką na Morzu Śródziemnym Włosi zasto-

II wojna / Od „żywych torped” do walk z komunistami

Czarny Księżę



FOT. ARCHIWUM

sowali środki bojowe znajdujące się na wyposażeniu Mezzi Navali d'Assalto (Morskie Jednostki Szturmowe) w postaci motorówek znanych pod ironiczną nazwą Motoscafo Turismo, a potem Motoscafo Turismo Modificato (MTM). Zawierały one w sobie 350 kg ładunków wybuchowych. Ustawione na kurs kolizyjny dosłownie wbiły się we wrogie okręty, powodując olbrzymie zniszczenia. Zarówno „świnie”, jak i motorówki podlegały powołanej w 1939 r. Sekcji Broni Specjalnych, mającej swą bazę w miejscowości La Spezia. 15 marca 1941 r. ową sekcję przemianowano na 10. Flotyllę MAS. Nazwa miała maskować rzeczywisty charakter jednostki, która co prawda posiadała na swym wyposażeniu 50 kutrów torpedowych, ale de facto była jednostką specjalistyczną prowadzącą działania za pomocą nowoczesnych rodzajów broni, tak nawodnych, jak i podwodnych.

Pierwszą udaną, przeprowadzoną z użyciem MTM akcją bojową był atak dokonany w zatoce Suda na Krecie. 25 marca 1941 r. sześć motorówek szturmowych przywieziono w pobliże miejsca akcji na pokładach dwóch niszczycieli „Crispi” i „Sella”, po czym zwodowano w dużej odległości od zatoki. Aby się do niej dostać, MTM-y musiały przepłynąć kilka kilometrów po otwartej przestrzeni morza. Ta sztuka szczęśliwie się Włochom udała. Po dotarciu do pierwszych rzędów barier ochronnych motorówki zmniejszyły prędkość. Ich załogi ustawiły silniki na niskie obroty. Po ominięciu barier łodzie gwałtownie przyspieszyły, kierując się w stronę brytyjskich statków. Dwie z nich, dowodzone przez por. Angelo Cabriniego i por. Tullio Tedeschiego, obrały kurs na 10-tonowy ciężki krążownik HMS „York”. W chwili, gdy odległość od celu wynosiła 75 m, obaj Włosi wyskoczyli do wody i po chwili obie motorówki uderzyły się w burtę krążownika, powodując eksplozję. HMS „York” zaczął tonąć. Wtedy na pomoc ruszył mu niszczyciel „Hasty”. Tylko wzięcie na hol i odprowadzenie do brzegu zapobiegło zatonięciu i spowodowało, że osiadł on na mieliźnie. Poza „Yorkiem” ofiarą włoskiego ataku padł tankowiec „Pericles” początkowo uszkodzony (potem zatonął w drodze do Aleksandrii) przez motorówkę Lino Beccatięgo.

Pół roku później, 20 września 1941 r. w Gibraltarze, sześciu pętwonurków z Decimy zatopiło, operując na łodziach



Żołnierze Włoskiej Republiki Socjalnej

FOT. WIKIPEDIA/BUNDESARCHIV BILD

SCL, tankowiec „Fiona Shell”, uszkodziło tankowiec „Denbydale” oraz frachtowiec „Durham”. Najbardziej spektakularną akcją była operacja, której nadano kryptonim GA-3. Przeprowadzono ją w porcie Aleksandrii. 3 grudnia 1941 r. z La Spezii wypłynął ku afrykańskim brzegom okręt podwodny „Sciere” dowodzony przez Junia Borghese. Sciere przewoził trzy miniaturowe torpedy typu SLC. Brytyjczycy dzięki dekryptażowi włoskich depesz wiedzieli o zbliżającym się ataku, dlatego adm. Curhingham ogłosił w bazie alarm. Wydawało mu się, że podjęte przygotowania do odparcia szturm są wystarczające. Admirał nie miał świadomości, że Włosi znają rozmieszczenie pól minowych wokół Aleksandrii, co ułatwiło marynarzom z Decimy wykonanie zadania.

19 grudnia 1941 r. zostały zwodowane trzy „świnie”. Ich załogi dopłynęły do zamkniętych wrót portu. Te otworzyły się w momencie, gdy nadpłynęły trzy brytyjskie niszczyciele. Za nimi podążyły łodzie SLC. Wkrótce potężne eksplozje wstrząsnęły pancernikami HMS „Valiant” i HMS „Queen Elizabeth” (oba zostały poważnie uszkodzone). Wybuch nastąpił także na tankowcu „Sagona”, który poszedł na dno, uszkadzając stojący obok na redzie niszczyciel „Jervis”. Wszyscy członkowie zespołu atakującego dostali się do niewoli.

8 września 1943 r., kiedy rząd Królestwa Włoch ogłosił rozejm, wielu

Włochom pomysł wystąpienia przeciwko Niemcom wydał się nie do zaakceptowania. 17-letni Antonio Cucciati wspominał: „Dla nas 8 września był czarnym dniem w historii kraju. Kiedy człowiek honoru bierze udział wojnie, powinien pozostać po tej stronie, po której ją zaczął”. Podobnie myślał dowodzący od 1 maja 1943 r. X MAS kmdr ppor. Junio Valerio Borghese. Oficer ten, nie mogąc pogodzić się z decyzjami władz królewskich, nawiązał kontakt z kpt. Maxem Berninghaussem, podporządkowując Decimę jako formację sojuszniczą niemieckiej Kriegsmarine. Tym samym jeszcze przed powstaniem Republiki Salò Borghese i jego 1,3 tys. ludzi przeszło na stronę Niemców i kontynuowało u ich boku walkę rozpoczętą 10 czerwca 1940 r.

Niemiecki sojusznik

Kim był człowiek, który podjął tak brzemienną w skutki decyzję. Urodzony w 1906 r. „Czarny Książę”, jak go potem nazywano, pochodził ze starego arystokratycznego rodu włoskiego. Jednym z bardziej znanych przodków „Czarnego Księcia” był papież Paweł V, czyli Camillo Borghese, panujący w latach 1605–1621. W XIX w. kolejny reprezentant rodu Camillo Borghese poślubił ulubioną siostrę Napoleona Paulinę. Ojciec Junio



był dyplomata, co spowodowało, że on sam swe młodzińcze lata spędził w Wielkiej Brytanii i Portugalii. Kiedy Mussolini rozpoczął swój sławny marsz na Rzym, Junio Borghese wstąpił do Akademii Marynarki Wojennej w Livorno. Ukończył ją w 1928 r., zdobywając patent oficerski. Potem przyszedł komandor podporucznik dowodził okrętami podwodnymi „Iride”, „Vittor Pisani” i „Scire”.

Po 8 września 1943 r. stanął na czele cieszącej się dużą autonomią X MAS. Szczególne relacje z Niemcami, niezależność, dystans wobec władz i ideologii propagowanej przez liderów Republiki Salò nacechowane wyraźnie myślą lewicową (trwał wtedy powrót do pierwotnych założeń ruchu faszystowskiego) spowodowały, że Borghese był postrzegany przez Mussoliniego jako poważny konkurent w walce o władzę w Republice Salò. Duce nakazał nawet aresztowanie „Czarnego Księcia”, co nastąpiło 13 stycznia 1944 r. Borghese trafił do więzienia w Brescii. Na wieść o tym oficerowie Decima MAS zaczęli snuć plany jego odbicia. On sam napisał do Mussoliniego list z prośbą o zwolnienie. Ostatecznie Duce, uwierzywszy, że Borghese nie zamierza odsunąć go od władzy, nakazał jego uwolnienie. 25 stycznia „Czarny Książę” znalazł się na wolności. Obaj charyzmatyczni przywódcy przeszli do porządku dziennego nad osobistymi antypatiami.

Tym bardziej że sytuacja, jaka wytworzyła się na obszarach północnych Włoch, gdzie coraz aktywniej prowadziła swą działalność partyzantka głównie komunistycznej proveniencji, raczej skazywała obu panów na współpracę. Mussolini miał świadomość, że żołnierze z Decima MAS stanowili najbardziej bojowy i pewny element sił antypartyzanckich. Co prawda w połowie 1944 r. władze republikańskie takie formacje jak GNR (Gwardia Narodowa Republikańska) czy Czarne Brygady (Brigade Nere), ale ich członkowie, choć często pełni ideowego zapału, poziomem wykształcenia i doświadczenia nie dorównywali żołnierzom z X MAS. Ta zaś rozrastała się w szybkim tempie, wchłaniając do swych szeregów coraz większe rzesze ochotników.

Wspomniany już Antonio Cuccati tak opisywał zaciągnięcie się do jednego z batalionów Decimy: „Wstąpiłem do batalionu Nuotatori e Paracadutisti. Czekano mnie długie szkolenie, ale podobało mi się, że zostanę spadochroniarzem i będę skakał z samolotu”.

Wojna partyzancka tocząca się we Włoszech nabierała coraz bardziej brutalnego charakteru. Komuniści, i nie tylko oni, nie mieli litości dla swoich przeciwników. Mnożyły się zamachy, zabójstwa, porwania, egzekucje. Na łaskę nie mogli liczyć nawet jeńcy. Przykładem jest los gwardzistów z koszar GNR położonych niedaleko La Quercia. 30 czerwca 1944 r. członkowie brygady „Stella Rossa” zaatakowali je, biorąc do niewoli kilkudziesięciu funkcjonariuszy. Jeńcom dano do wyboru: albo wejście do partyzantki, albo egzekucja. Ci, którzy odmówili, zostali zarżnięci nożami.

Czerwony terror

Żołnierze z Decimy nie pozostawiali „czerwonym” dłużni. Ujętych partyzantów przesłuchiowano, najczęściej z użyciem tortur, a następnie likwidowano. Pododdziały Decima MAS walczyły z komunistami wszędzie, gdzie wymagały tego włoskie interesy narodowe. Dość niewralgicznym w tym względzie obszarem była Wenecja Julijska. Chęć jej anektowania już od dłuższego czasu wykazywali jugosłowiańscy komuniści. Po

kapitulacji Włoch we wrześniu 1943 r. Wenecję Julijską ogarnęła fala mordów. Ofiarami czerwonego terrorku padło wtedy ok. 700 osób, urzędników, nauczycieli, księży, policjantów, karabinierów, członków partii i milicji faszystowskiej. Ich ciała wrzucano do jaskiń powstałych po dawnych kopalniach boksytu, tzw. foibe.

Dramat mordowanych unaoczniają losy Normy Cosseto – 23-letniej kobiety pochodzącej ze wsi Santa Dominica Visinada. Jej ojciec był ziemskim właścicielem oraz działaczem partii faszystowskiej i członkiem milicji. 26 września 1943 r. Normę zatrzymali członkowie komunistycznego komanda śmierci. Umieszczono ją początkowo w dawnych koszarach karabinierów w Visinadzie, a potem, gdy odmówiła przyłączenia się do partyzantów, w więzieniu Antignana. Tam była torturowana i wielokrotnie zgwałcona. W mieście Santa Dominica tzw. Trybunał Ludowy skazał ją na śmierć. Wraz z 26 innymi osobami zamordowano ją i wrzucono do „foibe” w Villa Suria.

Orgię komunistycznych zbrodni przerwali na krótko Niemcy, wkraczając do Wenecji Julijskiej. Po ich odejściu zbrodnicze dzieło kontynuowano. Szacuje się, że w latach 1943–1947 komuniści zamordowali tam ok. 10 tys. ludzi. Chcąc obronić włoskich mieszkańców przed komunistycznym terrorem w Wenecji Julijskiej, w listopadzie 1944 r. pojawili się żołnierze z X MAS. Przybył tam także „Czarny Książę”, wizytując swoje oddziały. Ponieważ obszar ten znajdował się w utworzonej przez Niemców Strefie Operacyjnej Wybrzeża Adriatyku, część uprawnień dotyczących administracji cywilnej znajdowała się w kompetencjach gauleitera Karyntii Friedricha Rainera. Nie zamierzał on jakoś szczególnie zadbać się o utrzymanie włoskiego stanu posiadania na tych terenach, więc dość szybko doszło do sporu między nim a Borghese. Gauleiter wydał nawet nakaz aresztowania Włocha, oskarżając jego oddziały o plądrowanie. Ostatecznie do zatrzymania dowódcy X MAS nie doszło.

On sam nawiązał kontakty z monarchistyczną partyzantką Brygadą Osoppo, z którą Decimę łączyła chęć obrony włoskich interesów w regionie zagrożonych przez aneksjonistyczne dążenia jugosłowiańskich komunistów. Ci ostatni walczyli w IX Słoweńskim Korpusie zdecydowanie wrogo odnosili się do kró-

/ Normę zatrzymali członkowie komunistycznego komanda śmierci... Była torturowana i wielokrotnie zgwałcona... Wraz z 26 innymi osobami zamordowano ją i wrzucono do „foibe” w Villa Suria

lewskiej Brygady Osoppo od chwili, gdy jej dowództwo odmówiło podporządkowania się partyzantom spod znaku „czerwonej gwiazdy”. „Czerwoni” nie zamierzali tolerować na swym obszarze żadnych niezależnych sił, dlatego postanowili monarchistów zlikwidować.

Sztab brygady Osoppo znajdował się w miejscowości Porzus koło Udine. 7 lutego 1945 r. oddział komunistyczny dowodzony przez byłego pospolitego przestępcę Mario Toffanina „Giacca” wkroczył ze swymi ludźmi do obozu brygady. Początkowo „Giacca” sugerował, że chce się przyłączyć do rojalistów, jednak po chwili, kiedy pojawił się przed nimi dowódca, weteran strzelców alpejskich Francesco de Gregori zarządził rzeź „białych” partyzantów. Zamordowano 22 osoby w tym 21-letniego Guido Passoliniego, brata późniejszego znanego włoskiego reżysera Paolo Pasoliniego, oraz młodą kobietę Eldę Turchetti.

Po tym wydarzeniu nastąpiła intensyfikacja kontaktów między Junio Borgehse a przedstawicielami królewskiego rządu włoskiego. Zainicjowano je jeszcze jesienią 1944 r. Władze włoskie nie były zainteresowane tym, aby Wenecja Julijska wpadła w ręce komunistycznych oprawców. Wiedząc, że X MAS jest jedynym włoskim związkiem bojowym mogącym podjąć walkę o włoskie interesy w czasie trwania niemieckiej okupacji, postanowiły to wykorzystać, nawiązując kontakt z Borgehse. Na północ Włoch do Republiki Salò skierowani zostali wysłannicy: Giorgio Zinardi, Julio De Giorgis i Antonio Marcegaglia. Ten ostatni przebrany w mundur oficera X MAS zorganizował spotkanie przy udziale Junio Borgehse z oficerami włoskiego ruchu oporu spod znaku Komitetu Wyzwolenia Narodowego (CLN – Comitato di Liberazione Nazionale).

O tych nieformalnych relacjach Borgehse z przeciwnikami wiedział zarówno Mussolini, jak i Niemcy. Wyższy dowódca SS i policji we Włoszech SS-Obergruppenführer Karl Wolff ich nawiązywaniu nie przeszkadzał, bo z jednej strony miał zapewnienie „Czarnego Księcia”, że o przebiegu rozmów będzie informowany, a z drugiej dlatego, że sam prowadził negocjacje w Szwajcarii z szefem amerykańskiego wywiadu OSS w Europie Allenem Dullem. Rozmowy z CLN nie przerywały stanu wojny X MAS z komunistyczną guerillą.

19 stycznia 1945 r. dwie dywizje Jugosłowiańskiej Armii Narodowo-wzwolęnczej liczące 1,3 tys. partyzantów zaatakowały stacjonującą w mieście Tarnava della Selva 214-osobową załogę posterunku, będącą częścią składową batalionu Fulmine. Zasadniczy trzon jednostki stanowili żołnierze 3. kompanii złożonej z „francuskich ochotników”, będących potomkami mieszkających od lat we Francji włoskich emigrantów. Po dwóch dniach walk do otoczonych żołnierzy X MAS przebili się policjanci z 15. Pułku SS i policji. Straty obrońców były poważne oraz sięgały 86 zabitych i 56 rannych.

Jednak nawet największe poświęcenie żołnierzy Decimy nie było w stanie zapobiec temu, co nieuchronnie musiało nadejść, czyli upadkowi Republiki Salò. Dowódca X MAS 26 kwietnia 1945 r.

tajemnicę i taktykę, zatem zaczęliśmy opracowywać pierwsze zasady zwalczania partyzantki [...] i Chcieli wiedzieć, jak prowadziliśmy antykomunistyczną wojnę”.

W październiku 1945 r. alianci uwolnili „Czarnego Księcia” i trafił on do włoskiego więzienia. Zgodnie z postanowieniami procesu skazany został na karę 12 lat za kolaborację z Niemcami. Gdy wyszedł na wolność, angażował się – podobnie jak marszałek Rudolfo Graziani – w działalność neofaszystowskiego ruchu Movimento Sociale Italiano. W latach 60. zniechęcony do chadeckiej republiki założył swoją antyestablishmentową partię polityczną Front Narodowy. Stojąc na jej czele, próbował zorganizować 7 grudnia 1970 r. zamach stanu. Niepoczekanie przedsięwzięcia doprowadziło do konieczności wyjazdu na emigrację



Benito Mussolini podczas inspekcji oddziału Czarnych Brygad, paramilitarnej organizacji faszystowskiej FOT. ARCHIWUM

o godz. 17 poddał się w Mediolanie socjalistycznym partyzantom. 8 maja 1945 r. spotkał się z wysłannikiem OSS we Włoszech Jamesem Angletonem, późniejszym szefem kontrwywiadu CIA. 11 dni później Amerykanie aresztowali Borgehse, ratując go przed prawdopodobną egzekucją. On sam później skonstatował: „Dla aliantów byliśmy ważni, ponieważ przenikaliśmy do komunistycznych oddziałów, znałem ich

do Hiszpanii. Mieszkając tam, prowadził ożywioną działalność polityczną. Jeszcze 29 kwietnia 1974 r. wraz ze znanym działaczem neofaszystowskim Delle Chiaie spotkał się na audiencji z szefem chilijskiej junty wojskowej gen. Augusto Pinochetem. Zmarł 26 sierpnia 1974 r. w Kadyksie w wieku 68 lat. Pochowano go w krypcie bazyliki watykańskiej Santa Maria Della Maggiore.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Hollywood

Geronimo



— amerykańska legenda





Jakub Ostromecki

Tragiczna historia wojennego wodza Apaczów jest tłem dla gorzkiej opowieści o bezwzględności białych Amerykanów

Wbrew tytułowi „Geronimo: amerykańska legenda” film Waltera Hilla nie ma charakteru biograficznego. Skupia się na ostatnich latach epopei najbardziej znanego, choć wcale nie największego Apacza. Historię tę relacjonuje Britton Davis, młody amerykański oficer 6. Pułku Kawalerii. Przybywa on do Arizony w samym środku kampanii gen. Crooka mającej zapędzić Apaczów z powrotem do rezerwatów. Kampania idzie nieźle – widzimy kolumny Indian kierujące się pod eskortą Niebieskich Kurtek ku wyznaczonym przez rząd terenom. Hill wybrał piękne plenery – film kręcono pośród tarasowych kanionów Parku Stanowego Dead Horse Point w stanie Utah.

Davis zostaje przydzielony do pododdziału por. Charlesa B. Gatewooda. Ma jechać na granicę z Meksykiem, gdzie ostatni z buntowników – Geronimo – obiecał się poddać. Indiani wodz dotrzymuje słowa i Gatewood przyprowadza Apacza do rezerwatu nad Indyczym Potokiem. Hardy Indianin długo jednak tutaj miejsca nie zagrzeje. Frustracja spowodowana lichymi glebami, jakie biali przyznali Indianom, przeradza się w bunt. Ze strony wojska padają strzały. Ginie powszechnie wielbiony szaman, a Geronimo, którego od jakiegoś czasu ciągnęło ku górą i pustkowiom, ucieka. Znowu jest wojownikiem i mścicielem. Łupi i morduje białych podróżnych oraz górników. Ostatecznie wytopiony przez Gatewooda, zachęcony obietnicą Crooka o przydziale ziemi, wyniszczony głodem i ciągłymi pościgami decyduje się ponownie poddać. Nowy dowódca tego teatru działań – gen. Miles – nie zamierza jednak dotrzymać słowa danego przez Crooka. Geronimo i Apacze



zostają wsadzeni do pociągu i deportowani na Florydę.

Skąd ta wojna?

Poza rzuconym gdzieś zdaniem „o białych chcących więcej ziemi” i „spekulantach” widz nie dowie się z filmu za wiele na temat genezy konfliktu Apaczów z białymi. Została ona barwnie opisana przez Edwina R. Sweeneya w biografii wodza Apaczów – Cochise. Konflikt narastał od końca lat 50. Przez tereny, na których żyli Apacze, biali poprowadzili szlak dyliżansów pocztowych. Gdzieniegdzie śmiałkowicie budowali rancza. W zamian za dostawę żywności Apacze obiecali nie wyrządzać krzywdy pracującym tu ludziom. Dla Apacza jednak napad na far-

mę, kradzież koni, mułów i bydła to nie żadna krzywda, ale sposób zdobywania pożywienia i dobra okazja do pochwalenia się odwagą i zręcznością. Jeśli Amerykanie chcieliby odzyskać swoje konie, to również powinni wykazać się podobnymi cnotami. Osadnicy wywodzący się z cywilizacji rolniczo-przemysłowej nie chcieli o tym słyszeć. Własność prywatna była dla nich rzeczą świętą. Kto na nią dybie, temu należy się stryczek lub kula.

Spory do pewnego momentu załatwiano się na poziomie lokalnym i wielka w tym zasługa Cochise oraz kpt. Richarda Ewella. Polityka ta nie wszystkim się podobała. Dziennikarze grzmieli, że Ewell „wdaje się z Indianami w rozmowy, zamiast do nich strzelać”. W 1860 r. jeden z amerykańskich dowódców zdiagnozował szczerze: „Radą na kradzieże była



Robert Duvall (jako Al Sieber) i Gene Hackman (jako gen. Crook) w filmie „Geronimo”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ wodzem i opiekunem swojego ludu. Tobie chodzi tylko o zabijanie”. „Myślę, że zabijania było tyle samo po obu stronach” – potwierdził po wielu latach w swoich wspomnieniach Geronimo.

Ludzie pogranicza

Na tle potężnych skalnych urwisk Hill rozstawił cały wachlarz postaw ówczesnego społeczeństwa amerykańskiego pogranicza. Gatewood jest ewidentnie zafascynowany Indianami, choć gdy trzeba, staje do strzeleckiego pojedynku na śmierć i życie z wojownikiem Apaczów. Mniej entuzjastyczny, choć pełen zrozumienia, jest gen. Crook, który stara się przekonać Indian, że „życie takie jak dawniej” w realiach wieku pary i elektryczności jest niemożliwe. „Armia jest jedyną nadzieją Apaczów”. „Nauczcie się uprawiać ziemię. To wasza jedyna szansa”. „Spekulanci, osadnicy i właściciele kopalń najchętniej widzieliby Apaczów martwych” – szczerze martwi się Crook zwany przez Apaczów „Szarym Wilkiem”.

Gdzieś pośrodku stoi Al Sieber. Tropiciel, dowódca zwiadowców 17 razy ranny w walkach z Indianami. Jak sam o sobie mówi – „najemnik”. Realista. Uważa, że Indianie i biali nie mogą żyć koło siebie. Zarzuca Gatewoodowi, że „bardziej lubi wrogów niż przyjaciół”, aczkolwiek do Apaczów żywi niejaki szacunek, jakim

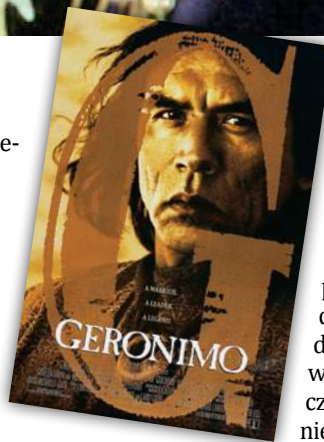
dziś nawzajem darzą się profesjonalni zawodnicy sportów walki lub żołnierze-weterani wrogich armii. „Gdybym był Apaczem, robiłbym to samo co oni”. Jak na ironię ginie w obronie... Apacza w strzelaninie z teksańskimi lumpami po południowej stronie granicy.

Na drugim biegu nie przeży się obłudny i nadęty gen. Miles. Byłby z niego dobry polityk – nie zamierza dotrzymać obietnicy złożonej Geronimo, a jedyne, co go interesuje, to wygrana jak najmniejszym kosztem oraz „honor armii i rządu”. Są też w filmie prawdziwi indianożercy. Ludzie szeryfa z Tombstone zamierzają powiesić Geronima, choć ten jest jeńcem armii. Wódz pospołu z Gatewoodem dadzą im zresztą należyty odpawę.

Gatewood, Davis, Crook, Sieber i Miles to postaci historyczne. Hill starannie dobrał aktorów. Podobieństwo do pierwowzorów jest czasem uderzające. Pamiętajmy jednak, że Hill ukrył kilka faktów z ich życia niepasujących do fabuły.

Gatewood

Ludzi pokroju Gatewooda na Dzikim Zachodzie było wcale niemało. Do zwolen-



ników sprawy indiańskiej można zaliczyć znanego działacza społecznego Samuela F. Tappana i jednorożkowego gen. Olivera Howarda. Prawdziwy Gatewood w czasie kampanii przeciw Geronimo podupał na zdrowiu. Na skutek długotrwałego przebywania w dziczy reumatyzm dokuczał mu tak mocno, że czasami nie mógł ruszyć rękoma.

Inaczej wyglądało też spotkanie, które doprowadziło do ostatecznego poddania się Geronimo. Gatewood rzeczywiście wyruszył w dzicz tylko z kilkoma ludźmi – dwoma żołnierzami, dwoma indiańskimi zwiadowcami i dwoma tłumaczami. Spotkanie nie odbyło się jednak pośród turni, ale na brzegu rzeki Bavispe już w Meksyku. Gatewood mający mir u Indian przekonał Geronimo do poddania się i eskortował go do stacjonującego nieopodal 4. Pułku Armii USA (US Army w myśl umowy międzyrządowej mogła zapuszczać się na teren Meksyku w poszukiwaniu zbiegłych Indian).

Tam doszło do dramatycznych scen, które dla Hilla stały się inspiracją do fikcyjnego wątku przepędzenia ludzi szeryfa. Otóż dwóch oficerów zamierzało rozbroić wodza, ale Gatewood wprost zagroził im śmiercią, wiedząc, że zastępca dowódcy pułku Smith zamierza po cichu

zabić Geronimo. Jedną z niedoszłych ofiar tego spięcia był felczer Leonard Wood, późniejszy szef sztabu US Army w latach 1910–1914. Oddziałek Geronimo poddał się Milesowi w Kanionie Szkieletów, nie zaś w Forcie San Carlos.

Crook i Miles

„Jego umysł, wygląd i edukacja są czysto indiańskie” – napisał dziennikarz „Arizona Citizen” o generale, chwalać jego znajomość przeciwnika. Crook, co w filmie przemilczano, nie był żadnym indianofilem. Wyznawał zasadę, że z wrogiem rozmawia się dopiero po pokonaniu go, a przeciwników swoich poglądów nazywał „indiańską kliką” i „nieodpowiedzialnymi pacyfistycznymi maniakami”. Poza tym zdanie reżysera i historyków w kwestii Crooka jest dość zgodne. „Szary Wilk” przestrzegał umów z indiańskimi wodzami. W innym przypadku Geronimo nigdy nie zgodziłby się na negocjacje pośród pustkowi ani wspólne zdjęcie – scenę tę odtworzono w filmie dość wiernie.

Milesa poznajemy przez pryzmat jego stosunku do Gatewooda i Indian. Wbrew temu, co pokazuje film, poddanie Geronimo nie było końcem frustrującej służby porucznika w Arizonie. Miles go nie lubił i uważał za „człowieka Crooka”. Zamiast nagrodzić, zbesztął go za „nierégulaminowy sposób podejścia do indiańskiego obozu w 6 osób zamiast w 25”! Nie dopuścił go również na galę zorganizowaną z okazji schwytania wodza, choć porucz-

nik był na nią zaproszony. Trzymał go przez pewien czas jako adiutanta, chcąc mieć pewność, że Gatewood nie zacznie z powrotem spotykać się z Apaczami. Mając jednak resztki honoru, po 10 latach rekomendował porucznika do Medalu Honoru. Trzeba przyznać Milesowi, że odesłanie Geronimo daleko na Florydę uchroniło go od linczu, jaki byli gotowi sprawić mu mieszkańcy Arizony.

Al Sieber

Losy owego twardziela z pogranicza znamy dzięki pracy Dana L. Thrappa – „Al Sieber. Chief of Scouts”. Był on z pochodzenia Niemcem, który choć trafił do USA jako pięciolatek, do końca życia nie pozbył się twardego akcentu, a pisząc, robił koszarne byki. Szkoda, że Hill pominął ów rys postaci, przez co Sieber stał się niestety bardziej anonimowy i syntetyczny. Chcąc schlebować publiczności, musiał pominąć również inny fakt z życia zwiadowcy. W kwietniu 1874 r. Sieber złapał w czasie walki Apacza. Miał jednak tego dnia wyraźne rozkazy, aby nie przyprawiać żadnych jeńców. Przez kilka dni marszu wyciągał więc od schwytanego niezbędne informacje. Opowiadał potem, co zrobił w czasie ostatniego popasu: „Wziąłem mój karabin i strzeliłem Indianinowi w tył głowy, gdy akurat wgrzyzał się w kawałek chleba. Przewrócił się do tyłu, a jego stopy powędrowały ku górze”. O swoim stosunku do Apaczów mówił wprost: „Nigdy ich nie zwodzę i zawsze

mówię im prawdę. Gdy mówię, że ich pozbijam, to robię to. Gdy mówię, że jestem przyjacielem, wiedzą, że to prawda”.

Geronimo wspominał o nim w swoich relacjach: „Sibi nie był człowiekiem, z którym można by przestawać, gdyż był facetem z żelaza i nic nie było w stanie go wzruszyć. Nie lubił za dużo gadać. Ale jego słowa płynęły prosto z serca. Był szanowany przez Indian, bo choć był jak żelazo, to palce przez niego wzniesione były gwarancją wierności czy to w walce, czy w czasie narady”.

Całkowitą zagadką pozostają jednak słowa filmowego Siebera wypowiedziane na temat łowców nagród, którzy terroryzują Indian po obu stronach granicy. „To musieli być Teksańczycy. Najniższy rodzaj białego człowieka”. Z punktu widzenia logiki fabuły jest to wpadka. Wszak jakiś czas wcześniej Britton Davis, którego z Sieberem łączą dobre stosunki, mówi, że jest z Teksasu. Literatura milczy na temat domniemanego ówczesnego „antagonizmu arizońsko-tekkańskiego”. Być może Hill, w typowy dla świata Hollywood sposób, chciał dopieć najbardziej republikańskiemu ze stanów, skąd wywodzi się klan Bushów.

Chociaż Sieber spędził kawał życia na walkach z Indianami, to w scenach, które zekranizował Hill, nie było go już na pograniczu z Meksykiem. Nie zginął też w czasie pościgu za Geronimo, ale wiele lat później, przygnieciony głazem, gdy nadzorował budowę drogi. Budowanej zresztą przez Apaczów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Turystyka handlowa w PRL

Są tylko dwie niezwykłe rzeczy na świecie – Armia Czerwona i polski turysta

patron: media.pl

BELLONA

V Komenda WiN / Ludzie Bieruta kontra CIA

Wielka prowokacja UB



Marcin Bartnicki

**/ Amerykanie
zamiast
konspiracji
niepodległościowej
utrzymywali ekipę
ubowców. Ofiarami
padli polscy patrioci**

Po miesiącu trwania II wojny światowej do akcji wkracza polskie podziemie niepodległościowe. Kilkadziesiąt tysięcy uzbrojonych po zęby ludzi, podporządkowanych jednemu dowództwu, wysadza w powietrze mosty i dokonuje serii ataków dywersyjnych. Ma to zatrzymać przerzucanie sowieckich rezerw na front i zapobiec konieczności użycia bomb atomowych na terenie Polski. Po rozbiciu Armii Czerwonej w Niemczech Amerykanie i Brytyjczycy przechodzą do ofensywy w Polsce i wyzwalamy nasz kraj. Tak wyglądał zatwierdzony w 1951 r. plan wykorzystania żołnierzy zrzeszenia Wolność i Niezawisłość w wojnie między Sowietami a Zachodem,



FOT. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

zatwierdzony w porozumieniu zawartym między V Komendą tej organizacji i Amerykanami. CIA poświęciła na przygotowanie operacji kilka lat, przekazując w tym czasie Polsce ponad 1 mln dol.

Lep na muchy

W listopadzie i grudniu 1947 r., po aresztowaniu przywódców IV Komendy zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, delegatura w Londynie straciła kontakt ze strukturami podziemia w kraju. W ręce komunistów trafił m.in. prezes IV Komendy Łukasz Ciepliński. Przebywający w tym czasie w Polsce kurier z Londynu Adam Boryczko spotkał się z pozostającymi na wolności Stefanem Sieńką, szefem Biura Studiów Wydziału Informacji, a następnie dzięki jego pomocy z Mieczysławem Kawalcem, kierownikiem Wydziału Informacji organizacji.

Boryczko od 1943 r. był dowódcą Kedywu wileńskiego okręgu AK, a następnie zastępcą dowódcy i dowódcą 6. Wileńskiej Brygady AK. Należał do awangardy polskiego podziemia, był doskonale przeszkolonym cichociemnym. Spotkania z przywódcami WiN, którzy

uniknęli aresztowań, przekonali go, że organizacja przetrwa i uda się utworzyć V Komendę. Po



Henryk Wendrowski FOT. IPN

powrocie do Anglii zapewnił Delegaturę Zagraniczną WiN, że zrzeszenie nadal działa. Tworząca się V Komenda

zyskała zaufanie ppłk. Józefa Macioł-

ka, który teraz

kierował Delegaturą Zagraniczną. Sieńko był jego podwładnym jeszcze w czasie wojny i najbardziej zaufanym człowiekiem w powojennej konspiracji.

Mimo że po kolejnych aresztowaniach i amnestii z 1947 r. szeregi organizacji topniały, próbowano stopniowo ją odtwarzać. Nigdy nie powróciła jednak do dawnej siły. W kwietniu 1948 r. Boryczko przywiózł nowe instrukcje i 35 tys. dol. Teraz najważniejsze były: przetrwanie WiN, zjednoczenie działających w Polsce grup podziemia niepodległościowego pod jej szyldem, zapewnienie finansowania i ustanowienie stałej łączności

z Londynem – zarówno radiowej, jak i przez kurierów.

W 1950 r. Delegatura Zagraniczna nawiązała współpracę z CIA, co zapewniło środki finansowe na dalszą działalność. W zamian WiN zobowiązał się do realizacji planu „X”, zakładającego prowadzenie wywiadu gospodarczego i wojskowego podczas konfliktu. W 1951 r. zastąpił go plan „Wulkan”, uwzględniający już działania zbrojne na szeroką skalę. Nowej strukturze podporządkowało się kilkuset ludzi z antykomunistycznego podziemia. Frank Lindsay, który kierował operacją po stronie CIA, był przekonany, że pod dowództwem V Komendy WiN po wybuchu wojny znajdzie się kilkadziesiąt tysięcy uzbrojonych partyzantów. Dzięki wsparciu amerykańskiego i brytyjskiego wywiadu do Polski przerzucono pieśniadze, złoto i broń warte ponad milion dolarów.

Człowiekiem, z którym Boryczko spotkał się w kwietniu 1948 r., był dawny

■ żołnierz AK z Białostoczczyzny Henryk Wendrowski. Kurier z Londynu nie wiedział, że Wendrowski, który faktycznie odpowiadał za utworzenie V Komendy WiN, nie był wyłącznie dawnym AK-owcem. W 1944 r. trafił w ręce Sowieci i zgodził się na współpracę. To otworzyło przed nim nową drogę. We wrześniu rozpoczął pracę w terenowych strukturach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, a niespełna rok później trafił do centrali w Warszawie. Zrobił błyskawiczną karierę. Kolejne awanse zawdzięczał likwidacji oddziałów podziemia niepodległościowego. Dowodził m.in. akcją „Lawina”, w wyniku której w 1946 r. wymordowano 160–200 żołnierzy Henryka Flamego. Wendrowski przekonał Flamego, że jest przedstawicielem Okręgu Śląskiego Narodowych Sił Zbrojnych. Jednostka ta została stworzona i była kontrolowana przez MBP. Flameg zgodził się na transport swoich ludzi na Śląsk, skąd mieli trafić do amerykańskiej strefy okupacyjnej. Nigdy tam nie dotarli. Zaginęli bez śladu.

Powtórzenie podobnej mistyfikacji w odniesieniu do całego zrzeszenia Wolność i Niezawisłość było znacznie bardziej wymagające. Aby nakłonić rozproszone struktury organizacji i Delegaturę Zagraniczną, że mają do czynienia z prawdziwym dowództwem WiN, do współpracy przekonano Stefana Sienkę, którego Boryczko już znał. Rola pozostałych członków kierownictwa zrzeszenia odegrali funkcjonariusze i agenci MBP. W uwiarygodnieniu organizacji pomogli też niezdarzy sobie sprawy z trwającej gry operacyjnej członkowie prawdziwego podziemia antykomunistycznego. Na czele V Komendy stać miał Józef Kowalski „Kos”, w rzeczywistości jego rolę odgrywał Stanisław Rybicki, agent MBP.

Wszyscy, którzy trafiali pod skrzydła kierowanej faktycznie przez Wendrowskiego, a następnie przez płk. Leona Andrzejewskiego, V Komendy WiN, wpadali w pułapkę zastawioną przez MBP. Byli werbowani pod fałszywą flagą w ramach operacji „Cezary”.

„Pozorując istnienie tajnej organizacji, która scala wysiłki niepodległościowe, MBP »ustalało« osoby ukrywające się, rozszyfrowywało »dwulicową« agenturę, zdobywało informacje o poprzedniej



działalności pozyskiwanych do »WiN« osób, uzyskiwało dane o niepewnych politycznie funkcjonariuszach UB i innych instytucjach reżimu, przejmowało archiwa konspiracyjne, broń, radiostacje i inny sprzęt – pisze dr Wojciech Frazik w »Biuletynie IPN«. – Była to znacznie skuteczniejsza metoda niż proste werbowanie współpracowników. Niejednokrotnie w toku operacji okazywało się, że agent czy informator UB pozyskany do pracy w »WiN« nie informował o tym swojego oficera prowadzącego, a swojemu zwierzchnikowi z »konspiracji« przekazywał triumfalnie to, co udało mu się zataić przed aparatem bezpieczeństwa. Pozyskani do »konspiracji« wskazywali kolejnych potencjalnych konspiratorów, nie mieli jednak prawa sami nikogo wciągać do pracy podziemnej”.

W tak zastawioną pułapkę wpadł m.in. dowódca partyzantki z Białostoczczyzny kpt. Kazimierz Kamieński „Huzar”. Opuścił swój rejon działania i został zatrzymany w Warszawie. Podobny los spotkał ponad setkę działaczy WiN prześladowanych, że biorą udział w antykomunistycznej konspiracji.

Jądro ciemności

Po 1950 r. opór antykomunistów był coraz słabszy, a likwidacja podziemia

była już tylko kwestią czasu. Głównym celem operacji „Cezary” było więc podjęcie gry z Amerykanami i Brytyjczykami. Sukces operacji był całkowity. MBP nie tylko przechwyciło środki CIA na wspieranie podziemia w Polsce, lecz także karmiło amerykański wywiad nieprawdziwymi informacjami. Stosunkowo niewielka grupa funkcjonariuszy i agentów przekonała Amerykanów, że dysponują w Polsce armią gotową podjąć walkę zbrojną.

CIA angażowała we współpracę z fałszywą komendą WiN coraz więcej sił i środków. Lindsay dołączał do operacji kolejnych ludzi, jednym z nich był prawnik John Bross, który wstąpił do CIA w 1951 r. „Podobnie jak inni Bross został kompletnie oszukany – raz na spotkaniu rzucił 37 tys. jako liczbę polskich żołnierzy podziemia walczących z Sowietami miesiąc po rozpoczęciu wojny w Europie” – pisze dr John Prados w książce „Safe for Democracy: The Secret Wars of the CIA”. W odpowiedzi na dezinformację komunistów z Zachodu płynęły do Polski bardzo wartościowe informacje. Na prośbę WiN Amerykanie przekazali listę celów na terenie Polski, które miały zostać zbombardowane po rozpoczęciu wojny. Pewni siebie funkcjonariusze MBP dali się ponieść fantazji, stawiając Amerykanom absurdalne żądania w imieniu fikcyjnego WiN. Jak pisze John Prados, WiN miało poprosić o zrzućenie na spadochronie... amerykańskiego generała, co miało poprawić morale żołnierzy. To sprowadziło CIA na ziemię.



Ze spadochronami skoczyli za to Dionizy Sosnowski i Stefan Skrzyszowski, których przerzucono wcześniej do Monachium, gdzie przeszli szkolenie dla radiotelegrafistów i kurs podstaw dywersji. Amerykański samolot zrzucił ich w nocy z 4 na 5 listopada w województwie koszalińskim. Zostali odebrani przez podziemie i przewiezieni do kryjó-



Aresztowani członkowie WiN FOT. IPN

wiek w Warszawie i Radości. Dokładnie zrelacjonowali przebieg szkolenia. Zostali aresztowani miesiąc po zrzuceniu.

Amerykanie stracili zaufanie do V Komendy, dlatego operacja „Cezary” musiała zostać zakończona, zanim CIA zorientuje się, z jaką grą ma do czynienia. Komuniści przygotowywali spektakularny finał. Józef Kowalski „Kos” i Stefan

stów. Jednocześnie zatrzymano ponad setkę ludzi przekonanych, że służą polskiej organizacji niepodległościowej. Pięćdziesięciu pięciu z nich skazano na długoletnie więzienie, kilkanaście innych otrzymało karę śmierci, z czego sześć wyroków wykonano.

nia sprzed afery. Sukces propagandowy komunistów był niepodważalny.

Epilog

Kierujący operacją po stronie CIA Frank Lindsay po ujawnieniu się V Komendy WiN podał się do dymisji. Dionizemu Sosnowskiemu i Stefanowi Skrzyszowskiemu po aresztowaniu urządzono pokazowy proces i skazano na karę śmierci. Wyroki wykonano. Henryk Wendrowski, pomysłodawca operacji „Cezary”, awansował w strukturach resortu, zajmował się m.in. wywiadem na kierunku niemieckim i austriackim. W 1968 r. został ambasadorem PRL w Kopenhadze. Zmarł w 1997 r. Adam Bodnar wrócił do Polski w 1954 r., aby sprawdzić, co się stało z V Komendą WiN. Delegatura Zagraniczna nadal nie wiedziała, że V Komenda od początku była wytworem MBP. Został zatrzymany wkrótce po przekroczeniu granicy. Skazano go na karę śmierci, zamienioną ostatecznie na więzienie. Wyszedł w 1967 r. Stefan Sieńko, który odegrał kluczową rolę w uwiarygodnieniu V Komendy przed Delegaturą Zagraniczną WiN, po zakończeniu operacji zmienił nazwisko. Jako Andrzej Kazimierowicz został dziennikarzem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Sieńko „Wiktor” ujawnili się jako przywódcy WiN, deklarując likwidację organizacji i przekazując władzom ponad 1 mln dol. oraz sprzęt otrzymany od Brytyjczyków i Amerykanów. W oświadczeniu stwierdzili, że nie mogą kontynuować walki, gdy kraj tak wspaniale się rozwija. Propaganda wykorzystywała aferę do zdyskredytowania podziemia niepodległościowego. Zarzucono mu dążenie do wywołania wojny i pozostawanie na usługach amerykańskich i brytyjskich imperiali-

Operacja „Cezary” była nadzorowana przez Sowietów, to oni zyskali najczęściej na kompromitacji CIA i SIS, weszli w posiadanie planów „X” i „Wulkan”, otrzymali listę amerykańskich celów bombardowań w Polsce i przez kilka lat wykorzystywali WiN jako doskonały kanał dezinformacji. W ujawnionej w tym samym czasie aferze Bergu skompromitowano również wielu emigracyjnych polityków, udowadniając, że Rada Polityczna była finansowana przez Amerykanów i Brytyjczyków w zamian za prowadzenie wywiadu w Polsce, narażając życie oddanych sprawie ludzi. Doprowadziło to do rozbitcia środowiska emigracyjnego, które już nigdy nie osiągnęło znacze-

1971 r. / Prawda i legenda o wybuchu w Opolu

Aula opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu po wybuchu bomby
FOT. RYSZARD OKOŃSKI/PAP

Zamach braci Kowalczyków



Sławomir Koper

/ Do wysadzenia auli WSP bracia użyli trotylu, który podłożyli w kanałach rur centralnego ogrzewania

To, co wydarzyło się po północy z 5 na 6 października 1971 r. w Opolu, nie miało precedensu w dziejach Polski. Wysadzono w powietrze aulę miejscowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, gdzie następnego dnia miała się odbyć uroczysta akademii z okazji święta MO i SB. Zaszczycić miał ją swoją obecnością Julian Urantówka, były komendant milicji w Szczecinie, jeden z odpowiedzialnych za krwawą pacyfikację robotników w grudniu 1970 r. Od kilku miesięcy sprawował podobną funkcję w Opolu, a udział w wydarzeniach na Wybrzeżu nie był tajemnicą dla mieszkańców.

Władze natychmiast nałożyły embargo na informacje o wybuchu, wiadomość

podały tylko lokalne media, i to w bardzo lakoniczny sposób. Ekipie towarzysza Gierka nie zależało na rozprzestrzenianiu się wieści o eksplozji w kraju, tym bardziej że niemal od razu wykluczono przypadkową jej przyczynę.

Podczas śledztwa rozważano też przyczyny kryminalne zamachu, zemstę z powodów osobistych czy próbę ukrycia popełnionego wcześniej przestępstwa. Zgodnie z obyczajowością tamtych lat całkiem poważnie brano pod uwagę możliwość, że sprawca, niszcząc aulę, chciał ukryć dowody nadużyć w bibliotece WSP lub niedobory w bufecie!

Ekipę dochodzeniową z Opola niebawem wzmocnili funkcjonariusze SB z Katowic i Wrocławia, śledztwo zataczało coraz szersze kręgi, ustalono nawet nazwiska ponad 200 osób, które w tym czasie przebywały czasowo w Opolu, i kolejno je przesłuchiowano w miejscach stałego zamieszkania. Wytapowano listę najbardziej aktywnych uczestników wydarzeń marcowych 1968 r. w mieście, nie zapomniano też o osobach niemieckiego pochodzenia lub deklarujących sympatię dla RFN. Przy okazji sprawdzano pracowników zewnętrznych firm wykonujących różne prace na terenie WSP.

O desperacji służb najlepiej świadczy to, że pod koniec listopada wydano polecenie typowania osób „chorych na paranoję i psychopatię zarejestrowanych w Poradni Zdrowia Psychicznego w Opolu”.

Na tropie

Jerzego Kowalczyka po raz pierwszy przesłuchano 27 października. Potwierdził, że pracuje w warsztatach Katedry Fizyki Doświadczalnej, a jego brat jest pracownikiem naukowym tego wydziału. Szybko też okazało się, że może on odpowiadać jednemu z profili zamachowca. „[...] Dla mnie Jerzy Kowalczyk przedstawiał typ człowieka z kompleksami – zeznał fizyk z WSP, Jan Heffner – z poczuciem mniejszej wartości [...]. Były też z Jerzym Kowalczykiem trudności w zakresie jego współżycia z pracownikami warsztatu i nawet niestosownego zachowania w stosunku do pracowników naukowych naszej uczelni”.

Pojawiały się też informacje, że był on człowiekiem o niezwykłym talencie do majsterkowania, a do tego zafascynowanym pirotechniką. Chociaż miał tylko zawodowe wykształcenie i pracował jako ślusarz, to stale poszerzał swoją wiedzę

i umiejętności. Dodatkowo mieszkał u swojego starszego brata, Ryszarda, pracownika naukowego Katedry Fizyki Doświadczalnej WSP, który uchodził za jednego z najbardziej obiecujących naukowców uczelni.

Dalszych poszlak dostarczył wywiad na temat pozostałych członków rodziny. Kowalczykowie pochodzili z Rzęsnika w powiecie wyszkowskim i uchodzili za „zjadłych piromanów”. Ojciec jeszcze przed wojną stracił trzy palce w efekcie jakiegoś wybuchu, natomiast brat o imieniu Narcyz zginął podczas okupacji po eksplozji miny. Ryszard Kowalczyk został ranny w 1955 r. na podwórku rodziców na skutek wybuchu materiału wybuchowego. Jerzy uchodził natomiast w rodzinnych okolicach za człowieka zafascynowanego eksplozjami, okoliczni mieszkańcy podkreślali, że zawsze interesowały go pociski i bomby, potrafił też rozbrajać niewypały i pozyskiwać z nich trotyl.

Funkcjonariusze SB uznali, że Kowalczyk może być sprawcą zamachu. Tym bardziej że jego rodzinne koneksje potwierdzały nienawiść do ustroju komunistycznego. Jeden z członków rodziny – Stanisław Kowalczyk – był członkiem grupy partyzanckiej Narodowego Zjednoczenia Wojskowego pod dowództwem Jana Kmiołka i wraz z nim został stracony w sierpniu 1952 r. Stryja Kowalczyka skazano zaś na osiem lat więzienia za pomoc partyzantom.

W mieszkaniu braci założono podsłuch, a do ich śledzenia poza funkcjonariuszami SB zaangażowano także pięciu tajnych współpracowników. Jednak najważniejszą rolę przypisano Katarzynie Łachecie o ps. Kasia, 22-letniej urodzivej manikiurzystce z Wrocławia zatrudnionej w tamtejszej Estradzie. Błyskawicznie dostała przeniesienie do Opola, miała wykorzystać to, że Jerzy „był nieśmiały wobec kobiet, ale lubił przebywać w ich towarzystwie”.

Intryga się powiodła, Kowalczyk zainteresował się Łachetą. SB patronowała znajomości, dziewczyna dysponowała finansami na przyjazdy do Opola i noclegi w hotelach. Wspólnie wyjechali też do Karpacza, znajomość przerodziła się w romans. Wyciągnięcie informacji od Jerzego nie było specjalnie trudne, chociaż był osobnikiem małomównym, chciał jednak zrobić na dziewczynie wrażenie. Wyznał jej, że „był niedawno

bliski śmierci”, a na pytania odpowiadał, że „podkładał i montował materiał wybuchowy”. Nie podał jednak żadnych bliższych szczegółów, ale podczas spacerów w pobliżu WSP wyjaśnił, że do wysadzenia auli użyto trotylu, który podłożono „w kanałach rur centralnego ogrzewania”.

„W zasadzie spotykaliśmy się w hotelu – zeznawała »Kasia« – i w czasie tych spotkań stwierdziłam, że Jerzy Kowalczyk jest dziwnym mężczyzną, o swoistej mentalności, dla mnie dość zagadkowej. [...] Zawarłam z nim bliższą znajomość, po prostu by go poznać, a w szczególności miałam na uwadze cechy jego charakteru i sposób bycia. [...] Z czasem zaczęłam go darzyć coraz większą sympatią i liczyłam na dłuższą znajomość”.

Pani Katarzyna nie kłamała, podczas jednego z przesłuchań przerwała zeznanie, wstała, rzuciła torebkę na podłogę i zaczęła płakać. Jednocześnie wykrzykiwała, żeby dano jej spokój, że woli więzienie niż zeznania przeciwko Kowalczykowi. Następnie wyrwała maszynistce protokół przesłuchania, podarła go na strzępy i rozrzucała wokół siebie. Wreszcie, płacząc, położyła się na podłodze i krzyczała: „Dlaczego mnie nie zamykacie?”. Uznano to za atak hysterii i wezwano pogotowie ratunkowe.

Ryszard Kowalczyk był o pięć lat starszy od Jerzego. Po ukończeniu fizyki w opolskiej WSP został tam asystentem, potem starszym asystentem. Wstąpił też do PZPR. Jego praca doktorska została wysoko oceniona, a zawodowo był człowiekiem „niezwykle konkretnym, bardzo zdyscyplinowanym”. Z Bogusławą Perdą, z zawodu nauczycielką, ożenił się w kwietniu 1962 r. Niebawem małżonkowie doczekali się córeczki. Tworzyli bardzo udane małżeństwo.

Jednak do tego sielankowego obrazu nie pasuje zdecydowanie pewne jego ze-

znanie złożone w śledztwie. Trudno w to uwierzyć, ale Kowalczyk z rozmysłem i na zimno zaplanował spalenie zabudowań jednego z sąsiadów w rodzinnym Rzęsniku. Co więcej, nie był to wybryk niezrównoważonego nastolatka, ale świadoma decyzja dorosłego mężczyzny, zbliżał się bowiem już do 30. roku życia.

Kowalczykowie byli od lat skłóceni z mieszkającą po sąsiedzku rodziną Łachów. Zarzucali jej kradzieże i oszustwa, podobno dzieci Łachów prześladowały Ryszarda i jego rodzeństwo. „Działo się to w czasie wakacji w połowie lat 60. – zeznawał Ryszard Kowalczyk. – Podjąłem wówczas decyzję podpalenia budynku mieszkalnego, który stanowił własność Aleksandra Łacha. O swoim zamiarze poinformowałem brata Jerzego, który zgodził się z moim pomysłem. Szmata przygotowaną uprzednio pozostawiłem w szopie, w której spał mój brat. Umówiliśmy się, że około północy, gdy zaśnie moja żona, z którą spałem na sianie w stodole, przyjdę obudzić Jerzego i wspólnie pójdziemy podpalić dom Aleksandra Łacha”. Kryta słomą chałupa Łachów spaliła się całkowicie, na szczęście nikt nie zginął.

Wprawdzie domowy podsłuch nie przyniósł większych rezultatów, ale 29 lutego zatrzymano braci na 48 godzin. Zastosowano wobec nich trzymiesięczny areszt i po miesiącu przesłuchań Jerzy Kowalczyk przyznał się do wysadzenia auli WSP. Wkrótce złamano Ryszarda, który przyznał, że wiedział o zamiarach brata, pomagał mu w obliczeniach oraz użyczał pomieszczeń służbowych oraz własnej piwnicy do przygotowań.

Jerzy Kowalczyk wziął udział w rejestrowanych wizjach lokalnych, gdzie opisywał, jak pozyskiwał materiał wybuchowy. Zbierał go z niewypałów w okolicach rodzinnego Rzęsnika, po czym przewoził (autobusem i koleją) do Opola (łącznie 120 kg!). Na początku grudnia 1970 r. (jeszcze przed wydarzeniami na Wybrzeżu) przeniósł materiał wybuchowy do kanału pod aulą. Nie chciał ryzykować przypadkowych ofiar, dlatego do wybuchu miało dojść w nocy, a impet eksplozji miał być skierowany do góry. Datę wybuchu ustalił na początek października, dlatego przez kolejne pół roku trotyl leżał pod podłogą opolskiej uczelni.

Proces starannie przygotowywano, na salę dopuszczono dziennikarzy



Jerzy Kowalczyk (w środku) i Ryszard Kowalczyk (z lewej) podczas odsłonięcia poświęconej im tablicy w Gdańsku. FOT. WIKIPEDIA/POMUCHELSKOPP

■ wyłącznie z prasy lokalnej, każdy artykuł przed skierowaniem do druku musiał uzyskać akceptację SB. Obecna miała też być starannie wyselekcjonowana grupa aktywistów z WSP i miejscowych zakładów pracy.

Pierwsza rozprawa odbyła się 28 sierpnia 1972 r., prasa podkreślała do znudzenia, że tylko przez przypadek wybuch nie spowodował ofiar w ludziach. Działania propagandowe okazały się bardzo skuteczne, część mieszkańców Opola oczekiwała surowych wyroków. To zresztą planowano od początku, prokurator zażądał dla obu oskarżonych kary śmierci. 8 września sąd przychylił się do wniosku oskarżenia w przypadku Jerzego, natomiast Ryszarda skazano na 25 lat pozbawienia wolności. Przy okazji zarządzono konfiskatę mienia obu skazańców w całości, a wobec Ryszarda jeszcze 10 tys. zł grzywny oraz dodatkowe opłaty w wysokości ponad 31 tys. zł. Były to horrendalne kwoty, średnia miesięczna pensja wynosiła wówczas około 2,5 tys. zł...

Po ogłoszeniu wyroku ostracyzmu w środowisku doświadczyła Bogusława, żona starszego z braci. Straciła właściwie cały dorobek życia, grożono jej eksmisją ze służbowego mieszkania męża. Właściwie pozostała sama z trzyletnią córką. Tymczasem nie próżnowała, „Kasia”. Złożyła oficjalną prośbę o ponowne przesłuchanie, twierdząc, że została źle zrozumiana, a do niektórych zeznań zmusili ją funkcjonariusze SB. Oczywiście jej pismo pozostało bez odpowiedzi.

W grudniu 1972 r. odbyła się rozprawa apelacyjna Kowalczyków, wyrok został utrzymany w mocy. W tej sytuacji Jerzy Kowalczyk zwrócił się do Rady Państwa o łaskę i faktycznie ją uzyskał. Zamieniono mu karę śmierci na 25 lat więzienia (dożywocia nie było w ówczesnym Kodeksie karnym). Osadzono go w Strzelcach Opolskich, natomiast jego brat trafił do Barczewa.

Ryszard Kowalczyk źle znosił więzienie, dwa lata po procesie próbował popełnić samobójstwo, podcinając sobie żyły kawałkiem szkła. Z czasem jednak zaadaptował się do życia za kratami, pracował w lakierni, zdarzyło się nawet, że zrationalizował proces produkcji. A chociaż omijały go amnestie, nie tracił nadziei na wcześniejsze wyjście na wolność.

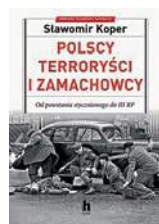


Tablica w Gdańsku poświęcona braciom Kowalczykom. FOT. WIKIPEDIA/POMUCHELSKOPP

Odwrotnie postępował jego brat. Wiedział, że raczej nie ma szans na przedterminowe zwolnienie, i nie szedł na żadne ustępstwa. W efekcie przez dłuższy czas odbywał karę „w warunkach rygoru obostrzonego”. Przez pewien czas korespondował z „Kasią”, dziewczyna przysyłała mu grypsy, z czasem jednak rozpoczęła starania o wyjazd na Zachód. Wiadomo, że odmówiono jej paszportu, a dalsze jej losy są nieznane.

Tymczasem niemal z całego kraju spływały listy z prośbą o ich zwolnienie lub złagodzenie kary. Pisali zwykli obywatele, Polonia amerykańska i środowiska literackie. Podczas karnawału Solidarności organizowano wiece, demonstracje, a nawet głodówki z żądaniem uwolnienia Kowalczyków. Oficjalnie uznano ich za więźniów politycznych, ludzi, którzy zdobyli się na manifestację swoich przekonań. Do akcji przystąpili także przedstawiciele Kościoła, doszło nawet do tego, że sprawa trafiła na posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR.

Wprowadzenie stanu wojennego na krótko powstrzymało akcję, ale niebawem naciski ponownie się pojawiły. Reżim Jaruzelskiego za wszelką cenę chciał pokazać, że sytuacja w kraju się normalizuje i pod koniec lipca 1983 r.



ŚLAWOMIR KOPER „POLSCY TERRORYŚCI I ZAMACHOWCY”

HARDE

Rada Państwa podjęła decyzję zwolnienia Ryszarda na mocy indywidualnej amnestii. Jerzy spędził w więzieniu jeszcze niespełna dwa lata. Wyjście na wolność zawdzięczał głównie Klemensowi Szaniawskiemu i opolskim biskupom: Alfonsowi Nosolowi oraz Janowi Wieczorkowi.

Bez happy endu

Po upadku komunizmu Ryszard Kowalczyk wystosował list do gen. Jaruzelskiego, będącego wówczas prezydentem RP, z prośbą o przywrócenie mu praw publicznych. W czerwcu 1990 r.

Sąd Wojewódzki w Opolu przychylił się do sugestii Kowalczyka, a niebawem nowy prezydent, Lech Wałęsa, zarządził zatarcie kary w aktach sądowych. Jerzy natomiast powrócił do rodzinnego Rzęśnika i z czasem całkowicie odwrócił się od świata. Na okolicznych torfowiskach zbudował sobie pozbawioną wygod chałupkę, gdzie żyje do dziś, unikając kontaktu z otoczeniem, w towarzystwie kilkunastu kotów. Ryszard Kowalczyk zmarł w październiku 2017 r., zdążył doczekać się jednak odsłonięcia tablic na cześć swojej i brata w Gdańsku oraz Opolu. Prezydent Andrzej Duda nadał też Kowalczykom Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski.

Pod koniec 2017 r. wojewoda opolski podjął decyzję o przemianowaniu dotychczasowej ulicy Obrońców Stalingradu w Opolu na Jerzego i Ryszarda Kowalczyków. Wkrótce jednak wybuchła afery, gdy bowiem odtajniono dalszą część akt IPN, okazało się, że podczas pobytu w więzieniu Ryszard Kowalczyk stał się tajnym współpracownikiem SB. Po opuszczeniu zakładu karnego został zaliczony do sieci agenturalnej MSW jako TW „Seep”. Wojewoda odmówił odebrania Kowalczykom ulicy, nie zgodził się również na zdjęcie poświęconej im tablicy. Z perspektywy czasu trudno jednak całkowicie potępić postawę Ryszarda Kowalczyka. Chciał za wszelką cenę wyjść z więzienia, połączyć się z żoną i córką, nie miał też twardego charakteru swojego brata. Jego losy wydają się przykładem tragedii jednostki zaplątanej w wielkie tryby historii, które potrafią zmasakrować niejedną psychikę i niejedno życie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Z kresów do Gdańska. Piotr Semka – publicysta „Historii Do Rzeczy” – opowiada swoją rodzinną sage

JAN HLEBOWICZ: Twój dziadek, Jan, poznał swoją przyszłą żonę – Bronisławę Arciszewską – w Wolnym Mieście Gdańsku.

PIOTR SEMKA: Moja babcia, szlachcianka spod Mińska, była córką leśniczego, zdeklasowanego przedstawiciela warstwy szlacheckiej. Gdy Rosjanie ruszyli w 1920 r. na Warszawę, babcia razem z siostrami uciekały furmankami na północ. W pewnym momencie okazało się, że jeśli chcą zdążyć zbiec przed szpicą Tuchaczewskiego, muszą kierować się na Łotwę. Z przekazów rodzinnych wiem, że podróż ta była ogromną traumą. Tata babci zmarł po drodze. Siostry rozdzieliły się w Lipawie. Po dwumiesięcznej tułaczce babcia Bronisława przyплыnęła z jedną walizką do Gdańska. Los chciał, że tego dnia dziadek miał do załatwienia interesy w WMG. Babcia wysiadła ze statku na Długim Pobrzeżu i nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić. Przycupnęła więc gdzieś na jakichś schodach i by dodać sobie animusza, zaczęła pod nosem śpiewać polskie piosenki. Usłyszał to dziadek. Zainteresowany zatrzymał się przy młodej kobiecie, stuknął obcasami, przedstawił się i zapytał: „Dzień dobry, szanownej pani. Sądząc po śpiewanej przez panią piosence, jest pani Polką. Widzę, że niedawno opuściła pani statek. Proszę wybaczyć, ale sprawia pani wrażenie osoby, która nie ma się gdzie podziać. Czy mogę zaoferować pomoc?”. Tak się dziadek zaopiekował, że kilka miesięcy po tym spotkaniu wzięli ślub.

Jaka była babcia? Czym się zajmowała?

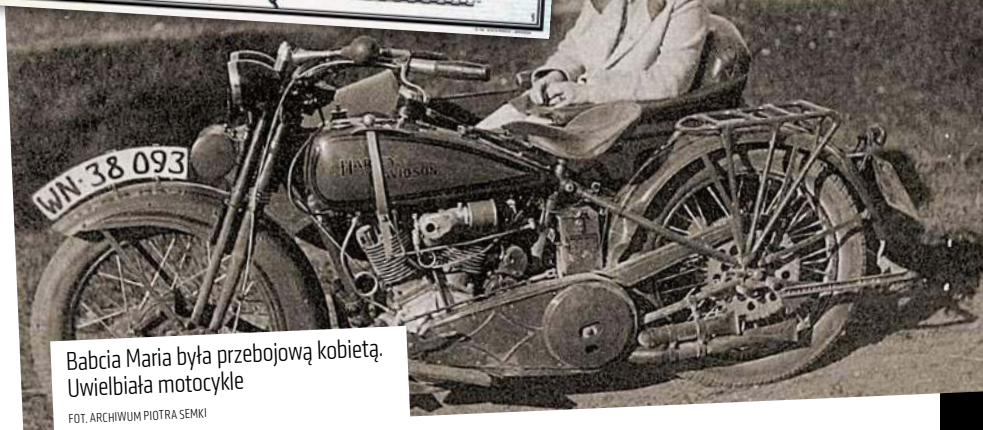
Dotykamy tutaj fenomenu, który niezwykle silnie odznaczył się w mojej rodzinie. Miał także niebagatelny wpływ na mnie i moje życiowe wybory. Mianowicie babcia wpisywała się w zjawisko, które określałam jako „fenomen panien kresowych”. To były dziewczyny wychowywane w domach o głęboko zakorzenionej tradycji samodzielności i operatywności. Z czego to wynikało? W dworkach kresowych bardzo często

brakowało mężczyzn – ginęli w trakcie wojen, kolejnych powstań, rewolucji, byli więzieni oraz wywożeni na Syberię. Ta sytuacja niejako hartowała „panny z Kresów”, które musiały same prowadzić gospodarstwa i interesy. Były więc silne, pracowite, inteligentne, zorganizowane, autonomiczne i „niedające sobie w kaszę dmuchać”. Ponadto cechowały się niezłomnym patriotyzmem oraz żarliwą religijnością. Taka była właśnie babcia oraz jej siostry. Na przykład ciocia Elżunia otrzymała od władz polskich propozycję funkcji instruktora Związku Harcerstwa Polskiego w Gdańsku. A była to praca niezwykle odpowiedzialna. Szczególnie po 1933 r., kiedy nad Motławą zaczęło rządzić NSDAP, a polskie harcerki stały się obiektem brutalnych ataków ze strony Hitlerjugend. Były obrzucane kamie-

niami, pluto na nie i wyzywano je. Ciocia Elżunia mierzyła się z taką rzeczywistością codziennie.

W historię polskich harcererek i nieprzyjemnych młodzieńców z Hitlerjugend nieoczekiwanie wkraczają japońscy studenci znający... judo.

Politechnika Gdańska w warunkach Wolnego Miasta Gdańska otrzymała od Ligi Narodów przywilej, by dyplom ukończenia uczelni, na czele z najbardziej atrakcyjnym Wydziałem Budowy Okrętów, był uznawany przez wszystkie kraje wchodzące w skład LN. Oczywiście decyzja ta wzmocniła i tak już wysoką pozycję PG na mapie uczelni technicznych na całym świecie. Potencjał politechniki dostrzegali m.in. Japończycy, którzy w latach 20. XX w. zaczęli realizować program rozbudowy floty



Babcia Maria była przebojową kobietą. Uwielbiała motocykle

FOT. ARCHIWUM PIOTRA SEMKI

Rozmowa / Z Piotrem Semką



rozmawia Jan Hlebowicz

Dwóch dziadków z AK

■ i potrzebowali wykwalifikowanych specjalistów. Wysyłali więc masowo młodych, uzdolnionych inżynierów właśnie do Wolnego Miasta Gdańska.

No dobrze, ale co to ma wspólnego z polskimi harcerkami?

Japończycy cechujący się drobną budową ciała i skośnymi oczyma od samego początku byli wyśmiewani przez swoich niemieckich i polskich kolegów studiujących na PG. Wyzywano ich od małp i mikrusów. Szybko to się jednak skończyło, gdy się okazało, że potrafią się oni bardzo skutecznie bronić. Stosując specyficzną technikę walki, dawali radę dużo silniejszym i wyższym przeciwnikom. Kombinację różnego rodzaju chwytów i ciosów nazywali judo. Dowiedziało się o tym ciocia Elżunia i wysyłała na lekcje judo swoje podopieczne. I w taki sposób polskie harcerki nauczyły się stawiać czoło niemieckim oprawcom.

Dziadek Jan

Wróćmy jednak do dziadka Jana, który w okresie międzywojennym był nie tylko nauczycielem, lecz także aktywnym członkiem Polskiego Związku Zachodniego, czyli polskiej organizacji patriotycznej powstałej w 1934 r. Czym się zajmował?

Dziadek, będąc aktywistą PZZ, miał cały czas kontakt z polskim kontrwywiadem. Zajmował się głównie demaskowaniem komórek nielegalnego Selbstschutzu, czyli niemieckiej organizacji paramilitarnej zrzeszającej osoby narodowości niemieckiej zamieszkujące tereny polskie, m.in. Pomorze. Dziadek jeździł do Warszawy, bijąc na alarm w odpowiednich urzędach. Informował chociażby, że miejscowa policja (m.in. z Torunia) patrzy przez palce na niemal jawne ćwiczenia Selbstschutzu i bagatelizuje systematycznie wysyłane przez dziadka meldunki. Miejscowi Niemcy wielokrotnie straszili go: „Jak nasi wejdą, to będzie po tobie”. Te groźby się potwierdziły. Dziadek tuż przed wojną dowiedział się, że hitlerowski Volksgericht – kapturowy niemiecki organ odpowiedzialny za liczne zbrodnie sądowe – w zemście za walkę dziadka z Selbstschutzem skazał go na karę śmierci.

Dziadek uciekł przed gestapo?

Dwa dni po rozpoczęciu II wojny światowej rodzina opuściła wieś Ostrowo pod



Zdjęcie z mostka kapitańskiego „Wichra” w czasie powrotu z Pilsudskim z Madery. Dziadek Woźnicki pierwszy z lewej
FOT. ARCHIWUM PIOTRA SEMKI

Inowrocławiem i uciekła różnymi środkami lokomocji do Warszawy. Nie mając złudzeń, że znajduje się na liście proskrypcyjnej gestapo, w ostatniej chwili postanowił jednak wyjechać ze stolicy. Zacierając za sobą wszystkie ślady, pod zmienionym nazwiskiem dotarł do Brześcia Kujawskiego, gdzie pracował jako wagonowy. Później zatrudnił się w firmie budowlanej w Mielcu. Po wielu perypetiach przyjął w końcu funkcję zarządcy majątku tzw. Liegenschaftu w Kacicach koło Miechowa. Jako osoba znająca doskonale ziemię sztumską uczestniczył w pracach zespołu delegatury Rządu na Kraj, przygotowując plany zagospodarowania ziem, które przejmie od Niemiec zwycięska – jak wierzono – Polska.

Dziadek Jan zaangażował się także w działalność konspiracyjną.

Niemal na samym początku wojny przystąpił do Narodowej Organizacji Wojskowej. Później, po podporządkowaniu części NOW Armii Krajowej, działał w ramach tej drugiej konspiracyjnej organizacji.

Oprócz dziadka Jana w AK znaleźli się wszyscy trzej jego synowie, m.in. twój ojciec, Leopold Jerzy.

Dziadek wolał kontrolować konspiracyjne zaangażowanie swoich synów. Wszyscy wstępowali w szeregi AK pod jego okiem. Dbał, by w żadnej akcji nie brał udziału więcej niż jeden z jego synów. Wiem, że gdy tylko wybuchło powstanie warszawskie, lokalny oddział AK, w którym było aż czterech Semków, postanowił przebić się w kierunku

stolicy. Dążyli do tego głównie młodzi żołnierze, dowództwo było bardziej powściągliwe. Z relacji brata mojego ojca wiem, że ostatecznie nic z tego nie wyszło. Gdy młodzi pytali, co z marszem na Warszawę, starsi tylko kleli i zbywali ich. Wszyscy zadawali sobie pytanie: „Jak to możliwe, że Warszawa walczy, a Rosjanie stoją na linii Wisły i jej nie pomagają?”. Nikt nie potrafił tego zrozumieć. Młodzi akowcy zastanawiali się: „Przecież nawet jeśli Sowieci nie kochają zbytnio AK, to jak mogą nie wykorzystać takiej okazji do zdobycia największego polskiego miasta?”. Wszelkie wątpliwości się rozwiały, gdy na tereny okolic Miechowa zaczęli napływać uciekinierzy z Warszawy, wówczas się okazało bowiem, jak wielka była skala klęski. W szeregi oddziału, w którym służył dziadek i jego synowie, po cichu wkradła się apatia. Wtedy, jak opowiadali, zrozumieli, że to koniec marzeń o wielkim triumfie. Pozostało czekać na wejście Rosjan.

Co się stało z majątkiem w Kacicach i twoją rodziną po wejściu Armii Czerwonej?

Zaczęła się parcelacja. Po kilku miesiącach nie było już z czego się utrzymać. W pobliskim Miechowie na rynku stały wielkie blejtramy z wizerunkami przywódców PKWN. Dla mojego dziadka i jego synów nazwiska „ludzi z Lublina” nic nie mówiły. Wszyscy określali ich „bandą Wasilewskiej”. Moja rodzina uznawała za legalny rząd w Londynie. Wierzyli, że Zachód ma wobec Polaków dług wdzięczności za ilość przelanej krwi i pozbędzie się komunistów z terenów Polski.

Dziadek i jego synowie postanowili kontynuować walkę?

Na krótki czas przenieśli się do Krakowa. Mieszkanie zostało załatwione dzięki kontaktom konspiracyjnym. Dziadek Jan uznał, że rozwiązanie AK zwolniło jego synów z przysięgi i mogą kontynuować naukę. Najstarszy syn Leopold Jerzy, czyli mój tata, zdał maturę na tajnych kompletach, a nieco młodszy Ryszard rozpoczął w lutym 1945 r. naukę w ostatniej klasie licealnej w Gimnazjum im. Królowej Wandy. Dziadek pozostał w strukturach konspiracyjnych. Zaczął działać w Narodowym Zjednoczeniu Wojskowym. Tata zapamiętał, jak do krakowskiego mieszkania przychodziły w jakichś sprawach konspiracyjnych łączniczki. Od czasu do

czasu dziadek tajemniczo zniknął. Mówił rodzinie, że wyjeżdża do pracy w jakimś majątku koło Jasła na Podkarpaciu. Tam najprawdopodobniej walczył w oddziale partyzanckim. „Kiedyś, po latach, gdy ojciec zobaczył tasak w użyciu, wzdrygnął się. Na jego twarzy odbiły się jakieś niedobre wspomnienia. Wyznał tylko, że kiedyś był świadkiem wyroku wykonanego tasakiem” – opowiadał mi wuj Ryszard. Tak czy inaczej, działalność konspiracyjna dziadka zakończyła się w sierpniu 1945 r. Wywiązał się ze wszystkich rozkazów i podjął definitywną decyzję o zaprzestaniu dalszego uczestnictwa w walce. Zgłosił się do Wojewódzkiego Urzędu Ziemskiego i poprosił o skierowanie go na rodzinne Powiśle. Pragnął z całego serca wrócić na ziemię, które wreszcie doczekały się powrotu do Polski.

Jednak normalne życie pod rządami komunistów okazało się niemożliwe.

Tak jak wspominałem wcześniej, dziadek w latach wojennych uczestniczył w zespołach, opracowując przejęcie i zagospodarowanie ziem niemieckich po wojnie. Plan przewidywał, że gdy ziemia sztumską wróci do polskiej macierzy, dziadek zostanie starostą. Oczywiście to założenie w nowej rzeczywistości było niemożliwe do zrealizowania. Dziadek jednak, jako zwolennik pracy organicznej, postanowił odbudowywać polskość na dawnych ziemiach zaboru pruskiego. Otrzymał stanowisko inspektora majątków Państwowego Urzędu Ziemskiego w Sztumie.

Co w tym czasie robili jego synowie?

Mój ojciec rozpoczął studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Gdańskiej, stryj Ryszard trafił na Wydział Architektury, a najmłodszy Zbigniew kończył szkołę średnią w III Liceum Ogólnokształcącym w Gdańsku-Wrzeszczu, zwanym Topolówką, do którego i ja po latach uczęszczałem.

Semka dla „Łupaszki”

Jan Semka swoim synom kategorycznie zabronił kontynuowania walki. Jednak sam, mimo wcześniejszych planów, ponownie związał się z ruchem oporu. Dokładnie ze słynną 5. Wileńską

Brygadą Armii Krajowej dowodzoną przez mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę”, która pojawiła się na Pomorzu jesienią 1945 r.

Dziadek, korzystając ze swojego stanowiska, legalizował podwładnych „łupaszkowców”, obsadzając nimi poniemieckie gospodarstwa. Jeden z majątków objął sam mjr „Łupaszka”. Gdy wileńskim dowódcą zaczął się interesować UB, przy pomocy mojego dziadka Szendzielarzowi zostało oddane we władanie gospodarstwo Jodłówka. Kiedy ta współpraca się rozpoczęła? Do końca nie wiadomo. Z pewnością kluczowe było poznanie przez mojego dziadka Mariana Romanowskiego, repatrianta z Wilna i żołnierza Okręgu Wileńskiego AK, który także przyjął stanowisko komisarza ziemskiego PUZ na ziemi sztumskiej. Szybko nawiązał z nimi kontakt Wacław Bemar, ps. Orszak, który działał w strukturach 5. Wileńskiej Brygady AK. Do siatki konspiracyjnej włączony został także Ottomar Zielke, zatrudniony w sztumskim więzieniu. W czerwcu 1946 r. dziadek zaczął organizować tajny szpital, w którym potem kurował się por. Zdzisław Badocha „Żelazny”, ranny w trakcie wygranej potyczki z oddziałem UB/MO w Tulicach.

Niedługo potem UB rozpoczął akcję likwidacji siatki konspiracyjnej.

Pod wpływem brutalnego śledztwa zdradziła jedna z najbardziej zaufanych łączniczek „Łupaszki”, Regina Mordas-Żylińska, ps. Regina. 29 czerwca 1946 r. mój dziadek został aresztowany przez UB. Trafił do cieszącej się złą sławą katowni stalinowskiej przy ul. Kurkowej w Gdańsku.

Opowiadał o tym, jak przebiegało śledztwo?

Rozwścieczony ubek w trakcie przesłuchania przyłożył służbowego colta do skroni dziadka. „Jak zaraz, gnoju, nie zaczniesz gadać, to rozwalę ci łeb!”. Dziadek milczał, więc funkcjonariusz bezpieczeństwa nacisnął cyngiel. Podobno nie zadziałała spłonka w naboju. Wtedy dziadek zerwał się z miejsca i rzucił taboret

w okno. Szyba rozprysła się na dziesiątki kawałków, powodując olbrzymi hałas. Gdy strażę usłyszały brzęk rozbitego szkła, wpadły do pokoju przesłuchań i znajdującemu się w stanie furii ubekowi nie było już tak łatwo bezkarnie powtórzyć strzału. Śledztwo zakończyło się w sierpniu. 27 września dziadek usłyszał wyrok trzech lat pozbawienia wolności. Po kilku miesiącach wyszedł z więzienia na mocy amnestii.

Czy w rodzinie mówiło się o udziale dziadka w konspiracji „Łupaszki”, o stalinowskim śledztwie, o działaniach twojego taty i wujków w AK?

Przez cały okres PRL nie poznałem żadnych szczegółów. Dopiero w latach 80. zaczęto mówić cokolwiek o tradycji Armii Krajowej. O działaniach dziadka jako „żołnierza niezłomnego” dowiedziałem się dopiero przed kilkunastoma laty.

Dziadek Zbigniew

Równie ciekawy życiorys o Jan Semka miał Józef Woźnicki, twój drugi dziadek, ze strony mamy. Jest jednak zasadnicza różnica. W przeciwieństwie do dziadka Jana dziadek Józefa nigdy nie widziałeś...

Dziadek kierował Wywiadem Morskim Komendy Głównej AK. Do największych sukcesów „Alfy” należy zaliczyć dogłębne zbadanie przywiezionego do Warszawy pocisku V-2, który wydobyto z rzeki w okolicach poligonu w Bliźnie. Zadaniem mojego dziadka było rozpracowanie systemu żyroskopów, które służyły utrzymaniu się rakiety na wyznaczonym kursie. Za wykonanie tej analizy został na wniosek Brytyjczyków odznaczony przez Naczelnego Wodza w Londynie Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Informację o odznaczeniu dostał w przededniu wybuchu powstania warszawskiego.

Dziadek przeżył piekło powstania. Miał wtedy 51 lat. Jego wartość w AK nie opierała się na doświadczeniu bojowym, więc w bezpośrednich walkach nie brał udziału, aczkolwiek jako zmobilizowany oficer był uczestnikiem powstania. Poprzez obóz w Pruszkowie trafił do małej wioski Małecz. Po wejściu Rosjan 19 stycznia 1945 r. rozpoczął starania o powrót na Pomorze, do Gdyni. Jednak to już zupełnie inna historia...



JAN HLEBOWICZ ROZMAWIA Z PIOTREM SEMKĄ „PIĄTKA U SEMKI”

ZYSK I S-KA

© Wszelkie prawa zastrzeżone

/ Brytyjczycy i Francuzi nie mogli uwierzyć, że Polacy tak bardzo ich wyprzedzili w pracach nad złamaniem Enigmy...

PIOTR WŁOCZYK: Rozmawiamy w hotelu Bristol. Niemal dokładnie 80 lat temu zatrzymała się tu na kilka dni tajna delegacja. Po co czołowi przedstawiciele brytyjskiego wywiadu pojawili się w Warszawie w lipcu 1939 r.?

DERMOT TURING: To spotkanie było przełomowym wydarzeniem. Bardzo rzadko się zdarzało, aby jeden kraj decydował się podzielić najbardziej tajnymi informacjami, jakie miał o wrogu, z rządami państw, których nie mógł być w 100 proc. pewien. To było dla mnie bardzo intrygujące. Dlaczego szefostwo polskiego wywiadu zdecydowało się na taki krok? Polacy wytrzymali już sześć i pół roku, nie mówiąc nikomu o swoim wielkim odkryciu. Jeszcze pół roku wcześniej, podczas spotkania w Paryżu, Polacy udawali, że nic nie wiedzą na ten temat.

Kiedy zaczęła się ta współpraca?

Brytyjczycy dopiero na przełomie lat 1937 i 1938 zrozumieli, że Niemcy stają się naprawdę dużym zagrożeniem. Francuzi wiedzieli o tym od dawna, ale jedni i drudzy byli bezradni wobec Enigmy. Od końca 1938 r. Francuzi, Brytyjczycy i Polacy coraz poważniej rozmawiali ze sobą na temat połączenia sił w celu pokonania Enigmy. Polacy jednak raz za razem udowodniali, że niewiele o tym wszystkim wiedzą.

Czego Brytyjczycy i Francuzi spodziewali się po tym spotkaniu?

Szczerze? Absolutnie niczego. Już raz to przerabiali z Polakami, gdy ci w styczniu 1939 r. siedzieli na spotkaniu w Paryżu z głupimi minami. Wygląda na to, że to byli naprawdę świetni aktorzy (śmiech).

Szczególnie Brytyjczycy zachowywali się tu trochę snobistycznie. „Co ci Polacy mogą wiedzieć o łamaniu szyfrów? Przecież to kraj, który dopiero od niedawna widać na mapach” – mniej więcej z takim nastawieniem pojawili się wtedy w Polsce. Nagle okazało się jednak, że Polacy wiedzą prawie wszystko. Alfred Knox, główny brytyjski specjalista od



Maszyna szyfrująca Enigma na stanowisku bojowym. Stoi gen. Heinz Guderian

FOT. GETTY IMAGES

Wywiad / Z Dermotem Turingiem, autorem „X, Y, Z”



rozmawia Piotr Włoczyk

Polscy pogromcy Enigmy

dekryptażu, był tym wszystkim oszołomiony. Nie rozumiał, jakim sposobem kompletny brak zrozumienia działania Enigmy w ciągu pół roku zmienia się niemal w wiedzę absolutną.

To musiało boleć.

Tak, na pewno. Tym bardziej że wcześniej jedna z jego podwładnych zasugerowała mu rozwiązanie, dzięki któremu Polacy rozgryźli ważny element procesu szyfrowania za pomocą Enigmy. Knox wysłał tę kobietę i teraz nie mógł tego przeżyć.

Trzeba wiedzieć, że Knox uważany był za geniusza, człowieka, który wie wszystko o łamaniu szyfrów. I faktycznie był wyśmienity w swoim fachu. A jednak kilku matematyków z Polski pokonał Enigmę. To tak, jakby Usain Bolt przybiegł na olimpiadzie jako drugi. Takie rzeczy nie mają prawa się zdarzać! To musiało go boleć. Tak było pierwszego dnia.

Jednak już nazajutrz Knox był inny.

Może wpływ miała na to dobra kolacja w Bristolu? (śmiech) Knox spokorniał i po prostu chłonał wiedzę. Polacy pokazali swoim gościom „trzewia” swojej tajnej placówki dekryptażu w Pyrach pod Warszawą. Zaprezentowali im cały imponujący sprzęt, na którego widok specjalistom z zagranicy musiały opaść szczęki.

Dlaczego ten sprzęt robił takie wrażenie?

Ponieważ Brytyjczycy nie brali do tego czasu pod uwagę łamania szyfrów maszynowych w sposób maszynowy. To była dla nich kompletna nowość. Pokazano im m.in. „Bombę” Rejewskiego, kluczowe urządzenie do łamania szyfru Enigmy. Wrażenie robiły używane przez Polaków ich własne „podróbki” Enigmy. Brytyjczycy do tej pory nie widzieli, jak wyglądały urządzenia szyfrujące, używane przez niemiecką armię. I oto nagle mieli przed sobą bardzo udane rekonstrukcje tych maszyn. Okazało się, że genialni matematycy Marian

Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygalski rozwiązyli tajemnicę Enigmy.

Polacy nie tylko byli w stanie za pomocą matematyki zrekonstruować maszyny, lecz także udało im się też odkryć, jak wirniki Enigmy były ustawiane każdego dnia. Ta sztuka udała się Polakom już w 1932 r. W ten sposób Polacy zaglądali Niemcom w karty przez ponad pięć lat.

Wspomnił pan, że bardzo zaintrygowało pana, dlaczego Polacy nagle postanowili wyłożyć wszystkie karty na stół.

Chodzi o dwie kwestie. Pierwszą były techniczne problemy wiążące się z pracą nad łamaniem szyfru Enigmy. Do jesieni 1938 r. Polacy nadążali za zmianami, jakie Niemcy wprowadzali w swoim systemie szyfrowania, ale zmiany poczynione w grudniu tego roku sprawiły, że Polacy napotkali tu olbrzymie trudności. Niemcy zmodyfikowali w tych urządzeniach kluczowe elementy. Wcześniej do

kodowania używali trzech wirników, ale w końcu 1938 r. dodali do tego dwa kolejne wirniki. A to oznaczało więcej możliwych kombinacji.

Do walki z trzywirnikową wersją Enigmy Polacy skonstruowali urządzenie nazywane „Bombą”. Pozwalała ona ustalać klucz szyfrowy na dany dzień. Potrzeba było do tego sześciu „bomb”. Jednak w przypadku pięciu wirników było już potrzebnych 60 bomb. Polacy nie mieli finansowych ani technicznych możliwości, by skonstruować tyle urządzeń. Stały pod ścianą i potrzebowali wsparcia. Polacy wiedzieli, że szczególnie Brytyjczycy mogli być tu bardzo pomocni.

Dodatkowo chyba dla każdego było już jasne, że wojna jest tuż za progiem.

Tak, drugą kwestią, która tłumaczy ruch polskiego wywiadu, jest geopolityka. Hitler podeptał niedawno układ monachijski. Przejął Czechosłowację, okupował część Litwy. Podzielenie się wiedzą na temat Enigmy dawało Polakom duże nadzieje na przyszłość. Wciągnięcie sojuszników do ścisłej współpracy wywiadowczej powodowało ożywione kontakty na najwyższym szczeblu wojskowym i koordynację planów militarnych. Polacy potrzebowali w tamtym momencie zadziernięcia takiej współpracy, szczególnie z Francuzami. Warszawa chciała w ten sposób zmaksymalizować szanse na to, że w przypadku niemieckiego ataku na Polskę Francuzi zaatakują Rzeszę od zachodu. To były jak najbardziej racjonalne kalkulacje, ale niestety tak się nie stało.

Można się jednak zastanawiać, dlaczego Polacy tak długo zwlekali w tej sprawie. Wspomnił pan, że na spotkaniu w Paryżu w styczniu 1939 r. Polacy doskonale udawali, iż są w tej sprawie bezradni.

Lata 30. były bardzo dynamicznym okresem, jeżeli chodzi o sojusze. Francuzi zawarli układ z Sowieci, co bardzo niepokoiło Polskę, która myśla-





Od lewej: Henryk Zygański, Jerzy Różycki, Marian Rejewski

FOT. PAP

■ ła, że ma w Paryżu wiernego sojusznika. Jednakże układ o nieagresji między Polską a Niemcami robił bardzo złe wrażenie we Francji. Nikt nie mógł do końca polegać na partnerach. Dlatego tak problematyczna była wymiana danych wywiadowczych. Polska, Francja, ale również Wielka Brytania mogły podejrzewać, że dzisiejsi przyjaciele mogą jutro zmienić front. To tłumaczy, dlaczego Polacy tak długo nie chcieli zdradzać swoich sekretów.

Czyli my daliśmy wiedzę, a Brytyjczycy zasoby i w ten sposób do końca wojny udawało się wygrywać z Enigmą?

Chyba najlepiej porównać to do wyścigu sztafetowego. Polacy w lipcu 1939 r. przekazali nam pałeczkę. Myślę, że Brytyjczycy w końcu daliby radę złamać Enigmę, ale zajęłoby to dużo więcej czasu. Czy udałoby się Brytyjczykom złamać system Enigmy przed bitwą o Anglię? Szacuję, że latem 1939 r., gdy doszło do spotkania w Pyrach, Brytyjczycy byli około pięciu lat za Polakami.

W 1929 r. dotarła do Warszawy kolejną przesyłką, którą Niemcy bardzo szybko chcieli odzyskać. Okazało się, że przez przypadek wysłana została do Polski cywilna wersja maszyny. Polacy skrzętnie wykorzystali okazję i zajrzeli do środka. To było przełomowe wydarzenie w całej tej historii?

To był kompletnie inny rodzaj maszyny od tej, której używała niemiecka

armia, więc samego zajrzenia do środka nie uznałbym za przełom. Okazało się jednak wówczas, jaką wagę Niemcy przywiązują do każdego egzemplarza Enigmy. To musiało dać Polakom do myślenia...

Jak wspominałem, dzięki świetnym matematykom i inżynierom pracującym dla Biura Szyfrów „Dwójki” Polacy byli w stanie stworzyć „podróbki” Enigmy. Polskie urządzenia wyglądały inaczej niż niemieckie oryginały, ale działały jak Enigmy. Nawiasem mówiąc, dwie „polskie Enigmy” ocalały. Jedna jest w Paryżu, a druga w Londynie.

Brytyjczycy i Francuzi byli oszołomieni, gdy dowiedzieli się, że dostaną po jednej z tych maszyn! Polacy wystali je do Paryża pocztą dyplomatyczną. Przewiezienie jednej z nich do Londynu musiało być bardzo malowniczą sceną. Wyobraźmy sobie, jak Gustave Bertrand, wysoko postawiony oficer francuskiego wywiadu, przywozi do Londynu przesyłkę z Polski. Wsiada z pociągu na stacji Victoria Station, cały peron tonie w kłębach dymu. Na stacji czekają na niego Brytyjczycy na czele z zastępcą szefa MI6, w napięciu oczekujący na przekazanie trofeum...

Trochę mało to tajne jak na warunki wywiadowcze.

Myślę jednak, że to byłaby świetna scena w filmie szpiegowskim opowia-

dającym o prawdziwej historii wojny z Enigmą! (Śmiech)

Porozmawiajmy chwilę o technikaliach. Wygląda na to, że historię szyfrowania wiadomości dzieli się na czasy przed Enigmą i po niej.

W czasie I wojny światowej wszyscy używali po raz pierwszy radia do komunikacji na polu walki. Wiadomości były oczywiście szyfrowane, ale łatwo było złamać ówczesne kody. Generalnie każdy czytał depesze innych uczestników konfliktu.

Tuż po I wojnie światowej doszło do przełomu. Artur Scherbius, świetny niemiecki inżynier, wpadł na metodę przemieniania jednej litery na drugą, używając prądu elektrycznego przechodzącego przez wirniki maszyny. Obracając się, wirniki zmieniały drogę, jaką pokonywał prąd, zmieniając tym samym szyfr przy każdej literze. To był cały geniusz Enigmy. I dlatego tak ciężko było złamać ten system.

Jeżeli szyfrujemy w ten sposób, że każdą literę przesuwamy np. o trzy pozycje, czyli A staje się D, a E staje się H, czyli używamy tzw. szyfru Cezara, to odczytanie takiej wiadomości nie wymaga jakiegoś kolosalnego nakładu pracy. Jeżeli jednak każdą z liter przesuwamy o inną liczbę pozycji, np. pierwszą o dwie pozycje, drugą o osiem, a kolejną np. o 20, to odgadnięcie treści depeszy staje się piekielnie trudne. Trzeba wykorzystać do tego maszynę i wiedzieć, jak Enigma nadająca wiadomość została ustawiona. Na szczęście dla aliantów Niemcy byli pewni, że złamanie ich systemu komunikacji było w praktyce niemożliwe.

Na którym polu pokonanie Enigmy było najbardziej kluczowe?

Dla Brytyjczyków najważniejsza była bitwa o Atlantyk. U-Booty niemal zagłodziły wyspy, zatapiając miesięcznie statki nawet z 300 tys. ton towarów na pokładach. Wyobraźmy sobie, co by się działo, gdyby Brytyjczycy nie mieli pojęcia o niemieckich ruchach na Atlantyku.



DERMOT TURING
„X, Y, Z. PRAWDZIWA
HISTORIA ZŁAMANIA SZYFRU
ENIGMY”

REBIS

Co by się stało, gdyby U-Booty mogły bez przeszkód zatapiać statki przewożące do Europy amerykańskich żołnierzy? Konsekwencje byłyby niewyobrażalne, na czele z tym, że Związek Sowiecki w pojedynkę wygrałby z Niemcami na lądzie i zdominowałby cały kontynent.

W rozdziale o walce z szyframi Kriegsmarine pojawia się w książce człowiek, który nosił to samo nazwisko co pan...

Alan Turing był moim wujkiem i odgrywał kluczową rolę w łamaniu szyfrów Kriegsmarine. Znacząco rozwinął „Bombę” skonstruowaną przez Polaków, choć zasada działania pozostała w gruncie ta sama. Ten odcinek pracy był bardzo trudny, ponieważ szyfry używane przez niemiecką marynarkę wojenną były trudniejsze do złamania od tych, którymi posługiwały się Wehrmacht i Luftwaffe. Alan Turing musiał zrekonstruować tę procedurę, co było niezwykle skomplikowanym zadaniem. Jednak ufała mu się ta sztuka i Brytyjczycy mogli zaglądać w niemieckie plany wojny na Atlantyku.

W pańskiej książce nie brakuje skomplikowanych zagadnień technicznych, ale sporo jest w niej też historii, które zazwyczaj nie przydarzają się specjalistom od deszyfru, spokojnie pracującym w świetnie strzeżonych ośrodkach wywiadowczych, takich jak np. Bletchley Park. Weźmy choćby pełną dramatycznych momentów ewakuację polskich matematyków pracujących nad Enigmą, którzy po ataku Niemiec spróbowali przedrzeć się przez Rumunię na Zachód.

Tak, ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że walka z Enigmą to także fascynująca ludzka historia, pełna sensacyjnych momentów. Mam nawet wrażenie, że tych kilku ludzi „porwało” moją książkę, spychając kwestie techniczne na trochę dalszy plan.

Polscy łamacze szyfrów dotarli w końcu do Wielkiej Brytanii, ale nie było im już dane pracować przy Enigmie. Dlaczego?

Gdy Rejewski i Zygałski przybyli na Wyspy latem 1943 r. (Różycki zginął rok wcześniej), sytuacja uległa diametralnej zmianie. Amerykanie i Brytyjczycy zajmowali się Enigmą i dobrze im to szło. Ci dwaj genialni matematycy byli tymczasem podporządkowani polskiemu Sztabowi Generalnemu i dostali nowe zadanie.

Chociaż do 1943 r. Polska była w sojuszu z ZSRS, to każdy wiedział, że to fikcja. Poznanie sowieckich planów

na temat losów wschodniej Polski było sprawą najwyższej wagi państwowej. Obaj zostali więc wysłani na kurs rosyjskiego i zajmowali się deszyfrazem tajnej sowieckiej komunikacji. Trzeba jednak przyznać, że nudzili się przy tym. Nie ma to jak Enigma (śmiech). Chcieli wrócić do swojego ukochanego projektu, ale ich przełożeni nie zgadzali się na to. Myślę, że było to bardzo racjonalne podejście ze strony polskich władz. Sowieckie zagrożenie było już bowiem wówczas problemem pierwszoplanowym.



Bletchley Park FOT. WIKIPEDIA

Trochę czasu upłynęło, zanim rola Polaków w łamaniu Enigmy została odpowiednio doceniona. Dlaczego trwało to tak długo?

Po pierwsze, to, co działo się w ośrodku w Bletchley Park, było absolutną tajemnicą do połowy lat 70. Brytyjczycy pozwolili wówczas na ujawnienie pewnych informacji na ten temat, ale prawdziwa rola Polaków nie była w nich uwydatniona. Pojawiło się wówczas mnóstwo mitów, np. taki, że Polacy ukradli jedną z maszyn, czego rzecz jasna nie można uznać za docenienie ich wkładu intelektualnego.

Myślę, że dziś ci Brytyjczycy, którzy interesują się historią, wiedzą, iż Polacy coś zrobili w sprawie pokonania Enigmy, ale obawiam się, że wciąż nie do końca rozumieją, jak duży był wkład. Mam wrażenie, że ludzie generalnie patrzą na tę historię tak, jak zostało to pokazane

w wielkim kinowym hicie „Gra tajemnic”. Dzięki niemu wiele osób zainteresowało się historią walki z Enigmą, ale – jak wiadomo – ten film nie pokazuje roli Polaków. Skoro już jednak Enigma zaczęła funkcjonować w powszechnej świadomości, to jest to moment, gdy można uzupełnić wiedzę ludzi o dokonania grupy bardzo zdolnych Polaków.

Podkreśla pan jednak, że nie tylko rola Polaków jest w tej historii niedostatecznie doceniana.

Tak, zapomina się też często o Francuzach, których wywiad odsłonił część

ważnych sekretów Enigmy. To właśnie Francuzi stworzyli klimat do współpracy wywiadowczej trzech krajów, które w tajnej korespondencji były wówczas określane jako X (Francja), Y (Wielka Brytania) i Z (Polska). Bez współpracy między nimi II wojna światowa mogła wyglądać zupełnie inaczej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Dermot Turing

jest brytyjskim badaczem łamania szyfrów Enigmy, bratankiem Alana Turinga, słynnego brytyjskiego matematyka i kryptologa, który wniósł ogromny wkład w prace brytyjskiego ośrodka deszyfru w Bletchley Park.



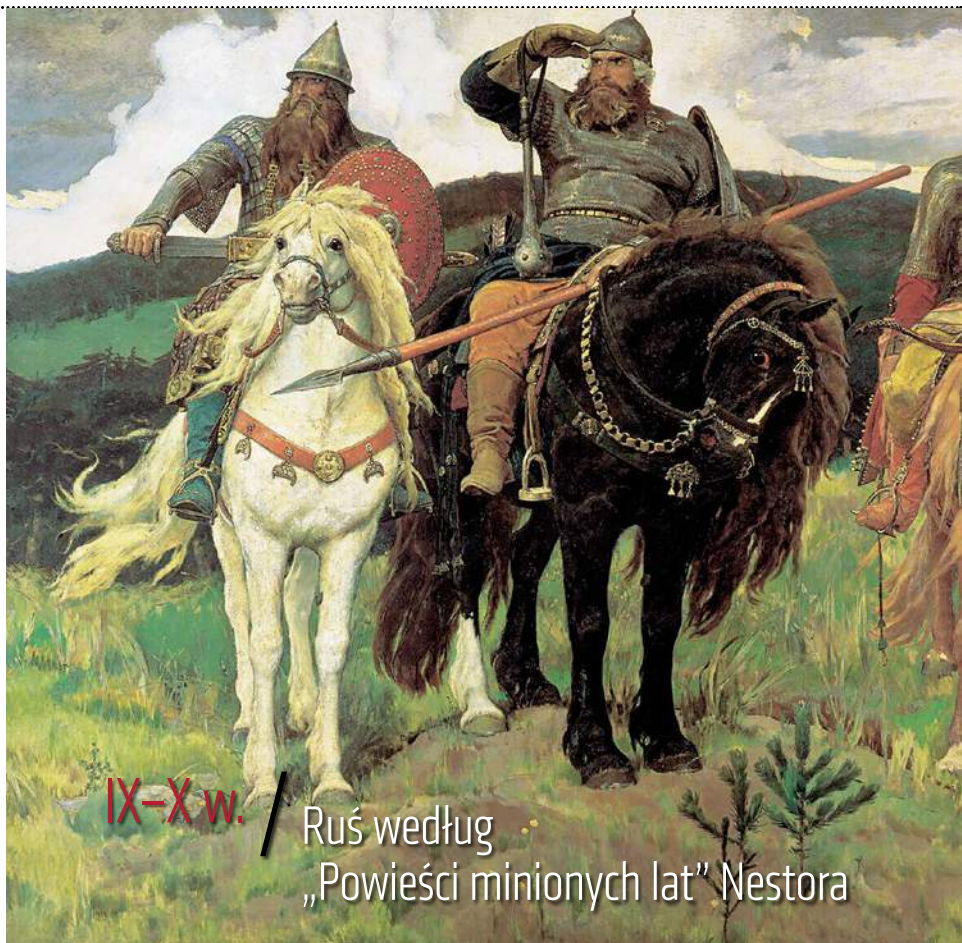
Maciej Rosalak

/ I rzekli Słowianie Waregom: „Ziemia nasza wielka jest i obfita, a ładu w niej nie ma. Przychodźcie więc rządzić i władać nami...”

O utworzeniu Rusi dowiadujemy się z „Powieści minionych lat” autorstwa mnicha kijowskiego Nestora. Latopis ów powstał w 1113 r., gdy na dworze Bolesława Krzywoustego zaczął pisać swą „Kronikę...” Gall Anonim. Nestor umiejscawia kilkanaście plemion słowiańskich, które zamieszkiwały Ruś. Zasiadały one przynajmniej od VIII w. ogromne połacie ziem sięgających stepów nadczarnomorskich na południu oraz jeziora Ładoga na północy, Bugu na zachodzie oraz górnej Wołgi na wschodzie. Liczebność ich mieszkańców była na przełomie X i XI w. prawdopodobnie siedmiokrotnie wyższa od ludności państwa piastowskiego, liczącej – wedle Gerarda Labudy – ok. miliona.

Latopis kijowski wymienia m.in. naddnieprzańskich Polan, którzy założyli Kijów, a następnie ich leśnych sąsiadów: Drewlan, Dregowiczów żyjących między Prypecią a Dźwiną, sąsiadujących na północy z Połoczanami, Słowieńców znad jeziora Ilmień, Siewierzan nad lewobrzeżnymi dopływami Dniepru – Desną, Sejmem i Sułą, a także dwa plemiona wywodzące się od zachodniosłowiańskich Lachów: Radymiczów nad Sożą i Wiatyczów nad Oką. Krywicz osiedli nad Dźwiną oraz górną Wołgą i Dnieprem. Z kolei Dulebowie mieszkali nad Bugiem, a Ulicze, Tywercy i Chorwaci nad Dniestrem.

Słowianie na północnym wschodzie żyli obok plemion ugrofińskich, a na południowym wschodzie sąsiadowali ze stepowymi koczownikami – Scytami, Połowcami i Pieczyngami. Dominujący ślad ugrofiński do dziś pozostał w genotypie Wielkorusów, a wyraźny – ludów stepowych w genotypie Ukraińców, o czym świadczą wyniki badań publi-



Wikingowie w Kijowie

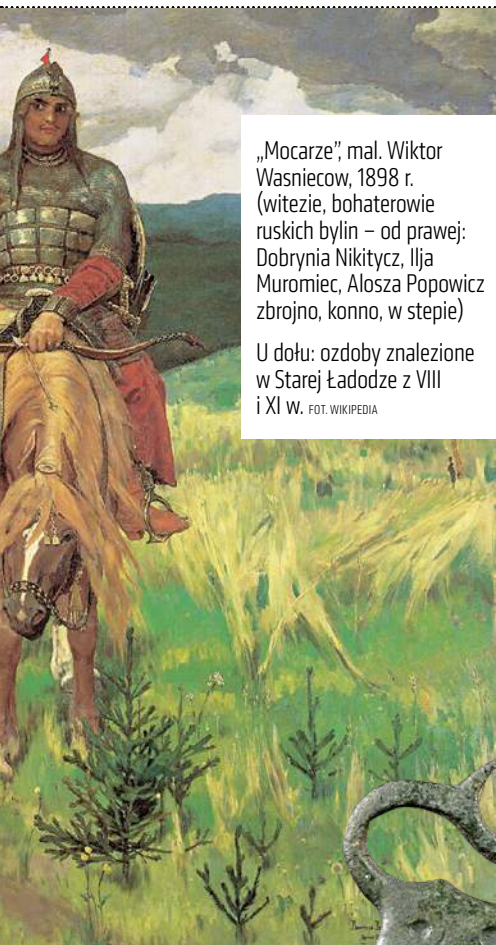
kowanych przez naukowców rosyjskich w pierwszej dekadzie XXI w.

Latopis i byliny

Latopis dzieli się uwagami na temat obyczajów poszczególnych plemion. I tak na przykład: „Polanie mieli obyczaj ojców swoich cichy i łagodny, i wstydlivość przed swoimi synowymi i siostrami, przed matkami i ojcami swoimi, synowe zaś przed świekrami i dziewierzami [szwagarami] wielką wstydlivość zachowywały”. Z kolei „Drewlanie żyli na obraz

zwierzęcy, po bydłecemu, zabijali jeden drugiego, jedli wszystko nieczyste, i ślubów u nich nie było, lecz porywali dziewice nad wodą. I Radymicze, i Wiatycze, i Siewierzanie jednaki obyczaj mieli [...] mówili sprośności przed rodzicami i przed synowymi [...] schodzili się na płasy i na wszelkie





„Mocarze”, mal. Wiktor Wasniecowa, 1898 r. (witezie, bohaterowie ruskich bylin – od prawej: Dobrynja Nikitycz, Ilja Muromiec, Alosza Popowicz zbrojno, konno, w stepie)

U dołu: ozdoby znalezione w Starej Ładodze z VIII i XI w. FOT. WIKIPEDIA

na wzgórzu [...]: Peruna drewnianego z głową srebrną i wąsem złotym, i Chorsa, Dadźboga i Strzyboga, i Smargla, i Mokosza. I składali im ofiary [...] i splugawiła się krwią ziemia ruska...”

Podobnie działo się w Nowogrodzie, gdzie Włodzimierz „posadził Dobrynję, wuja swojego”. „I przyszedł Dobrynja do Nowogrodu, postawił bałwana nad rzeką Wołchowem, i składali ofiarę jemu ludzie nowogrodzcy jako bogu”. Owego „wuja Dobrynję” utożsamia się z jednym z trzech najważniejszych bohaterów ruskich bylin, w których obok Dobryni Nikitycza, pogromcy smoka Gorynycza, umieszcza się Ilję Muromca oraz Aloszę Popowicza.

Ilja (imię nordyckie, w prawosławiu nawiązujące do proroka Eljasza) był synem chłopca spod Muroma. Z nadmiaru siły nie mógł się ruszyć z legowiska aż do 33. roku

życia. A gdy się w końcu ruszył – zadrżeli stepowi wrogowie Rusi. Mocarza Idola-Pohańca

np. jednym uderzeniem pięści wbił w ziemię po pachy, a potem mieczem ściął mu głowę. Zadrzał też książe Włodzimierz, gdy nie zaprosił gieroja na ucztę, a ten, urażony, obalił trzy wieże kijowskich cerkwi.

Potem bał się go Batu-chan (późniejszy o ponad 200 lat!), a z usług jego korzystał ostatni cesarz bizantyjski Konstantyn XI Paleolog (jak wiadomo, zginął w 1453 r.). Przypisywanie jednemu człowiekowi wyczynów trwających niemal pół tysiąclecia nie przeszkadzało ani twórcom ludowych bylin, ani Cerkwi rosyjskiej, która Ilję – jako jedyne legendarnego bohatera – kanonizowała.

Dodajmy jeszcze, że specjalnością całej trójki stało się zabijanie różnych potworów. I tak Muromiec zestrzelił z dębu Sołowieja-Rozbójnika, mordującego podróżnych swistem-gwizdem. Syn popa Leontija z Rostowa – Alosza, miał w dorobku śmierć smoka Tugarina oraz bestii Skima. Przypominają się mroczne nordyckie sagi o Sigurdzie (niem. Zygfrydzie) i kowalu – karle Reginie, władcy żywiołów ziemi i ognia, który wychowywał herosa, by zabił smoka Fafnira

(zresztą brata Regina) i zagarnął jego skarby (Artur Szejter, „Herosi mitów germańskich...”).

Całą trójkę bohaterów wypatrujących wrogów w stepie, na koniach, w zbrojach i z różnorodnym orężem przedstawił na popularnym obrazie „Mocarze” (1898) Wiktor Wasniecowa. Witezie ci przypominają, wypisz wymaluj, Waregów (Wariagów), jak autochtoni nazywali skandynawskich wojowników. Oni sami nazywali się Rusami...

Szlak Waregów

Przybyli oni z terenów dzisiejszej Szwecji, a szukali nowej drogi do Konstantynopola – po odcięciu szlaków bliskowschodnich przez Arabów. Chcieli tam albo handlować, albo zdobyć i zrabować miasto, z rzezią mieszkańców i wzniesieniem pożogi włącznie. Tak wikingowie postępowali wszędzie, zależnie od okoliczności występując w roli kupców bądź okrutnych grabieżców. W Konstantynopolu mogli wymieniać futra i niewolników na jedwab i inne tkaniny, przyprawy oraz biżuterię. Ich płaskodenne łodzie – smukłe i długie drakkary o jednym żaglu i kilkudziesięciu wiosłach – przewoziły zarówno towary, jak i po kilka dziesiątek zbrojnych wojów-wiosłarzy każda.

Po przebyciu Bałtyku i Zatoki Fińskiej płynęli Nową do jeziora Ładoga, a następnie jeziorem do ujścia rzeki Wołchow. Niedaleko założyli swą bazę wypadową – gród Ładoga. Według badań dendrologicznych powstał on w 753 r. Skupiał Skandynawów i ludność miejscową, będąc znacznym ośrodkiem kupiecko-handlowym.

Tutaj był początek Szlaku Waregów do Greków, wiodącego w górę rzeki Wołchow do jeziora Ilmiej. Stąd ładem ciągnięto drakkary do Dźwiny i Dniepru. Spływ Dnieprem komplikowało sześć porochów, które znów omijano, przeciągając łodzie ładem. Najbardziej dawał się we znaki czwarty próg, zwany Zawsze Grzmiący – jego obejście liczyło 10 km. Po spłynięciu nad Morze Czarne żeglowali do Mikligardu, jak wikingowie nazywali Konstantynopol. Inny szlak – do Serklanadu, czyli kalifatu Abbasydów – zaczynał się podobnie, ale przez Ładogę należało dotrzeć do górnego biegu Wołgi i spłynąć nią, mijając słowiańskie i bułgarskie grody, aż do Morza Kaspijskiego, nad którym

pieśni biesowskie, i tu porywali żony sobie, z którymi się wprzód umówili; mieli zaś po dwie i po trzy żony”.

Zauważmy, że kijowski mnich – tak krytyczny wobec bezwstydnich sąsiadów (w tym dwóch plemion pochodzących od „Lachów”) – pomija tu obyczaje księcia kijowskiego Włodzimierza Wielkiego, „Jasne Słoneczko”, późniejszego świętego Cerkwi prawosławnej. Dopiero w dalszych rozdziałach wspomina księciu, że miał kilka żon, włącznie z bratową, Greczynką, z którą „żył bez ślubu, cudzołożąc” (dlaczego kronikarz nazwał ją żoną, nie wiadomo). Oburza też Nestora liczba nałożnic, których Włodzimierz „miał trzysta w Wyszogrodzie, trzysta w Białogrodzie, a dwieście na Berestowie [...] i nie był syty rozpusty, przywołując do siebie mężatki i dziewice gwałcąc...”.

Wszeteczeństwa te stoją u latopisa w związku z całym pogańskim życiem Włodzimierza, który – gdy po zabójstwie swego brata Jaropełka „sam jeden zaczął rządzić w Kijowie” – „postawił bałwany



leżała stolica zjudeizowanego państwa Chazarów – Itli. Po przebyciu tego morza szlakiem karawan udawano się do Bagdadu.

Około stu lat przebywali Waregowie na ziemiach słowiańskich, handlując, rabując, łowiąc niewolników, a wreszcie ściągając daniny z pokonanych; zresztą podobnie jak czynili to Chazarowie. Państwo założyli i stanęli na jego czele w drugiej połowie IX w. Jak do tego doszło?

Pełny tytuł kroniki mnicha z Kijowa brzmi: „Oto powieść minionych lat, skąd

rządzić i władać nami». I wybrali się trzech bracia z rodami swoimi, i wzięli ze sobą wszystką Ruś i przyszedli do Słowien najprzód, i siadł najstarszy, Ruryk, w Nowogrodzie, a drugi, Sineus, na Białym Jeziorze [Biełoziersku], a trzeci, Truwor, w Izborsku. I od tych Waregów przezwano się ziemia ruska”.

Nestor już od rozdziału 1. („O narodach świata”) konsekwentnie Rusią nazywa wikińskie plemię Rusów, a następnie państwo, które założyli, podporządkowując sobie wschodnich Słowian. Finowie do dziś nazywają Szwecję – Ru-

Friedrich Muller mówił o pochodzeniu narodu rosyjskiego i jego nazwy. Sformułował teorie utworzenia Rusi Kijowskiej przez Normanów. Ledwie jednak zdążył rozwinąć swoją myśl, gdy przerwały mu krzyki słuchaczy. Członek akademii Popow, astronom, oświadczył, że Muller »znieważa cały naród«. Spór pozostawiono do rozstrzygnięcia cesarzowej Elżbiecie Pietrownej (1741–1762), która utworzyła w tym celu specjalną komisję”. Opinia znanego rosyjskiego uczonego Michaiła Łomonosowa „była jednoznaczna: poglądy takich Niemców jak Muller szkodzą interesom rosyjskiego imperium. Prace Mullera zostały skonfiskowane i zniszczone, a jemu samemu zakazano zajmować się dawną historią Rosji”.

Ród Ruryka

W rozdziale 7. Nestor wymienia kolejnych władców Rusi kijowskiej: Olega, Igora, Światosława, Jaropełka, Włodzimierza Wielkiego, Jarosława Mądrego (to z nim walczył nasz Bolesław Chrobry). Odnawia też za „lapisem greckim” pierwszy napad wojowników wikińskich na Bizancjum za panowania cesarza Michała III. Przy okazji zauważa, że wtedy to „zaczęła być nazywana ziemia ruska”. Patriarcha Konstantynopola Focjusz opisuje barbarzyński napad na miasto dokonany 18 czerwca 860 r., gdy spłonęły przedmieścia, a licznych mieszkańców zamordowano lub wzięto do niewoli. Murów miejskich nie sforsowano. Wstrząśnięty duchowny pisał o „tajemniczym narodzie”, „koczownikach uzbrojonych w arogancję”.

Oleg (Helgi) stał się pierwszym księciem kijowskim z rodu Rurykowiczów. Był to wódz wikiński i bliski krewny Ruryka, który musiał darzyć go ogromnym zaufaniem, skoro umierając, powierzył mu władzę i opiekę nad synem Igorem. W 882 r. Oleg ruszył z wielką armią, złożoną z wojowników wareskich i słowiańskich, z północy na południe. Zdobywał i obsadzał grody (m.in. Smoleńsk), aż dotarł do Kijowa. Tutaj zabił Askolda i Dira, którzy na własną rękę odłączyli się od drużyny Ruryka, spłynęli Dnieprem i założyli Kijów. Przed egzekucją zarzucał im, że zawładnęli miastem, choć „nie byli kniaziami ani rodu kniaziowego”, uzurpując sobie prawa Igora, „syna Ruryka”. Oleg przeniósł stolicę waresko



„Książę Oleg przybija tarczę nad bramą Carogrodu (Konstantynopola)”, mal. Nikołaj Bodarewski, XIX/XX w. FOT. ALAMY/REGW

wyszła ziemia ruska, kto był najpierw księciem w Kijowie i skąd ziemia ruska powstała”. Tak ujął to dziejowe wydarzenie w rozdziale 8. („Przywołanie Ruryka”), pod datą 6370 – co oznacza kolejny rok od stworzenia świata według Biblii; w nawiasie [862] – kolejny rok od narodzenia Jezusa Chrystusa:

„Roku 6370 [862]. Wygnali [Słowienie, Krywicze i inne plemiona] Waregów za morze i nie dali im dani, i poczęli sami władać sobą. I nie było u nich sprawiedliwości, i powstał ród przeciw rodowi, i były u nich zwady, i poczęli wojować sami ze sobą. I rzekli sobie: »Poszukamy sobie kniazia, który by władał nami i sądził wedle prawa«. I poszli za morze ku Waregom, ku Rusi. Bowiem tak się zwali ci Waregowie – Rusią [...] Rzekli Rusi Czudowie, Słowienie, Krywicze i Weso- wie: »Ziemia nasza wielka jest i obfita, a ładu w niej nie ma. Przychodźcie więc

otsi, co wzięło się od starszweckiego określenia „wiosłowania”.

Jednoznaczne stwierdzenie pochodzenia elit ruskich od germańskich przybyszów od wieków nie podobało się – i nie podoba po dziś dzień – Rosjanom. Zwłaszcza że zaproszenie wikingów ich przodkowie motywowali dość kompromitującą oceną, że sami nie potrafili sobie poradzić z nieładem, jaki zaplanował po wcześniejszym „wygnaniu za morze” imigrantów ze Szwecji. Rosjanie usiłują zaprzeczyć poczynionym przez Nestora zapisom i próbują udowodnić fałszerstwa dokonane rzekomo w „Powieści minionych lat” później – oczywiście przez wrogów słowiańskiej Rusi. Charakterystyczne zdarzenie przytacza Michaił Heller w swej „Historii imperium rosyjskiego”:

„6 września 1749 r. członek carskiej Akademii Nauk w Petersburgu Gerhard

-słowiańskiej Rusi do Kijowa z Nowogrodu i odtąd do śmierci Jarosława Mądrego płacono Waregom z tego miasta „dla pokoju” 300 grzywien daniny. Od tej też pory po śmierć Fiodora I (1598) Rusią – a potem Moskwą – władała dynastia Rurykowiczów...

Wśród licznych wypraw wojennych Olega zwraca uwagę poprowadzony przezeń w 907 r. najazd na Bizancjum. Nie udało mu się wtargnąć do miasta. Nestor twierdzi, że armia przyplłynęła na 2 tys. statków, co już dawałoby kilkadziesiąt tysięcy zbrojnych, nie licząc jazdy, która dotarła lądem. „I zburzono mnogie pałace, i cerkwie popalono. A tych, których pojmano do niewoli, jednych posiekli, drugich męczyli, innych zaś zastrzelili, a niektórych powrzucałi do morza, i wiele innego zła wyrządziła Ruś Grekom, jak zwykle czynią to wojownicy”. Kiedy przerażeni Bizantyjczycy ujrzeli, że Oleg przeciąga okręty na Zatokę Złotego Rogu, aby z tej strony wdrzeć się do miasta, poprosili o układy.

Zgodzili się na ogromny okup, płacony wedle liczby drakkarów – „po dwanaście grzywien na głowę, a było w korabiu po czterdziestu mężów” – a także na daninę dla miast ruskich. W zamian Rusowie zgodzili się na wchodzenie do miasta tylko jedną bramą, a naraz tylko po pięćdziesięciu i bez oręża. Carowie (było dwóch) zaprzysięgli porozumienie, całując krzyż, a Oleg i inni dowódcy „kłękali na oręż swój i na Peruna, boga swojego, i na Wołosa, boga bydła...”.

Igor popłynął śladem opiekuna na Bizancjum w 941 r. z 10 tys. pieszych wojowników. Wylądowali znów niedaleko Konstantynopola, ale przeciwnicy byli na to przygotowani. Ich kawaleria nie dała spłądować okolicy i głód zajął w oczy najeźdźców. Oleg postanowił wydać obrońcom walną bitwę, ale ich jazda znów zagoniła Rusinów do obozu. Lecz i powrót morzem okazał się nadzwyczaj trudny, bo flota cesarska blokowała drogę ucieczki, paląc drakkary ogniem greckim. Tylko części z nich wraz z księciem udało się dopłynąć do domu. Zorganizowana trzy lata później wyprawa odwetowa o tyle przyniosła zadośćuczynienie Igorowi, że Bizantyjczycy zawarli korzystny dlań układ handlowy. Przy okazji zaś... pozbawili sporej części zwerbowanych przezeń wojowników skandynawskich,

zwabionych do służby cesarskiej godziwym żołdem.

W wojny na Bałkanach niebawem zaangażował się następny książę kijowski – Światosław (pierwszy o słowiańskim imieniu). Podczas trzech wypraw w latach 967–972 zawierał antybizantyjskie sojusze z Pieczyngami, a nawet z Bułgarami, przeciw którym na początku walczył. Zajął przy tym bułgarską stolicę Presław i oświadczył matce Oldze, że wybrał ten gród na swą siedzibę. Sojusze okazywały się nietrwałe, bo partnerom nie zależało na wzmacnianiu potęgi kijowskiego państwa, i wreszcie Światosław sam musiał się rozpaczliwie bronić,



Ruryk, założyciel rodu Rurykowiczów. FOT. ARCHIWUM

a w końcu rejterować do domu. Niedawni sojusznicy Pieczyngowie przygotowali nań zasadzkę u dniewprowych porochoch. W efekcie zginął, a jego czaszka stała się pucharem chana Kurii.

Olga, wdowa po Igorze, sprawowała regencję podczas dzieciństwa, a potem wojennych wypraw syna. Pod nieobecność Światosława tylko dzięki niej ród utrzymał władzę w Kijowie. Przyjęła też chrześcijaństwo prawosławne (955 lub 957 r.), aczkolwiek zapraszała nad Dniepr również biskupów łacińskich. Zapewne ona sprawiła, że po śmierci Światosława chrzest przyjęli jego synowie, a jej wnukowie – Jaropek i Oleg. Nie oni jednak ochrzczili całą Ruś...

Mieli przyrodniego brata – Włodzimierza (germański Waldemar) – zrodzonego z Maluszy, konkubiny Światosława.

Notabene, została czarownicą i dożyła stu lat. Gdy ojciec podzielił Ruś w 969 r. między trzech synów, Jaropek otrzymał Kijów, Oleg – ziemie Drewlan, a Włodzimierz – odległy Nowogród. Syn konkubiny nienawidził przyrodnich braci i wkrótce zabił Olega, ale uszedł przed Jaropekiem do Skandynawii. Wrócił w 977 r. z wikingami, zdobył liczne grody, z Połockiem, ze Smoleńskiem i z Kijowem, a w 980 r. zgładził Jaropeka. Pokonał jego zbuntowanych zwolenników, a także Bułgarów, Pieczyngów i Jaćwingów. On też zawojuował (981) Grody Czerwieńskie na pograniczu z państwem piastowskim.

Najważniejszym jego dokonaniem – w tysiącletniej skali dziejowej – okazało się przyjęcie chrześcijaństwa z Bizancjum (988 lub 989 r.), wraz z metropolią w Kijowie, arcybiskupstwami w Czernihowie i Perejasławiu oraz biskupstwami w Białogrodzie, Nowogrodzie i Połockiem. A przede wszystkim – ze stworzonym przez Cyryla i Metodego starocerkiwnym, liturgicznym językiem, co ostatecznie przesądziło o słowiańskim charakterze Rusi. Nestor opisuje wybór prawosławia, które w oczach 30-letniego wtedy księcia bogactwem obrzędów górowało nad katolicyzmem, islamem i judaizmem, ale zapewne na jego decyzji zaważyło też położenie geopolityczne Rusi.

Wedle kronikarza rozpustny i okrutny władca przemienił się pod wpływem chrztu w księcia łagodnego, cnotliwego i bogobojnego. Litości nie okazał jednak dawnym bożkom. Obalenie i pohańbienie bogów słowiańskich, połączone z upokorzeniem ich wyznawców, znakomity mediewista Jacek Banaszkiewicz ukazuje (w książce „Takie sobie średniowieczne bajeczki”), porównując relacje Nestora oraz Saxo Gramatyka. Ten drugi pisał o zrąbaniu i spalaniu posągu Świętowita w Arkonie oraz trzech innych w Gardzcu przez duńskiego króla Waldemara I w XII w. Mieszkańcy musieli ciągnąć zrąbane posągi. Natomiast 180 lat wcześniej książę Włodzimierz obalił w Kijowie posąg Peruna, ale go nie spalił, lecz... „wygnał, spławiając aż za porohy dniewprowe, każąc ludowi go bić i odpychać kijami”.

Pouczające lekcje dwóch potomków wikingów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



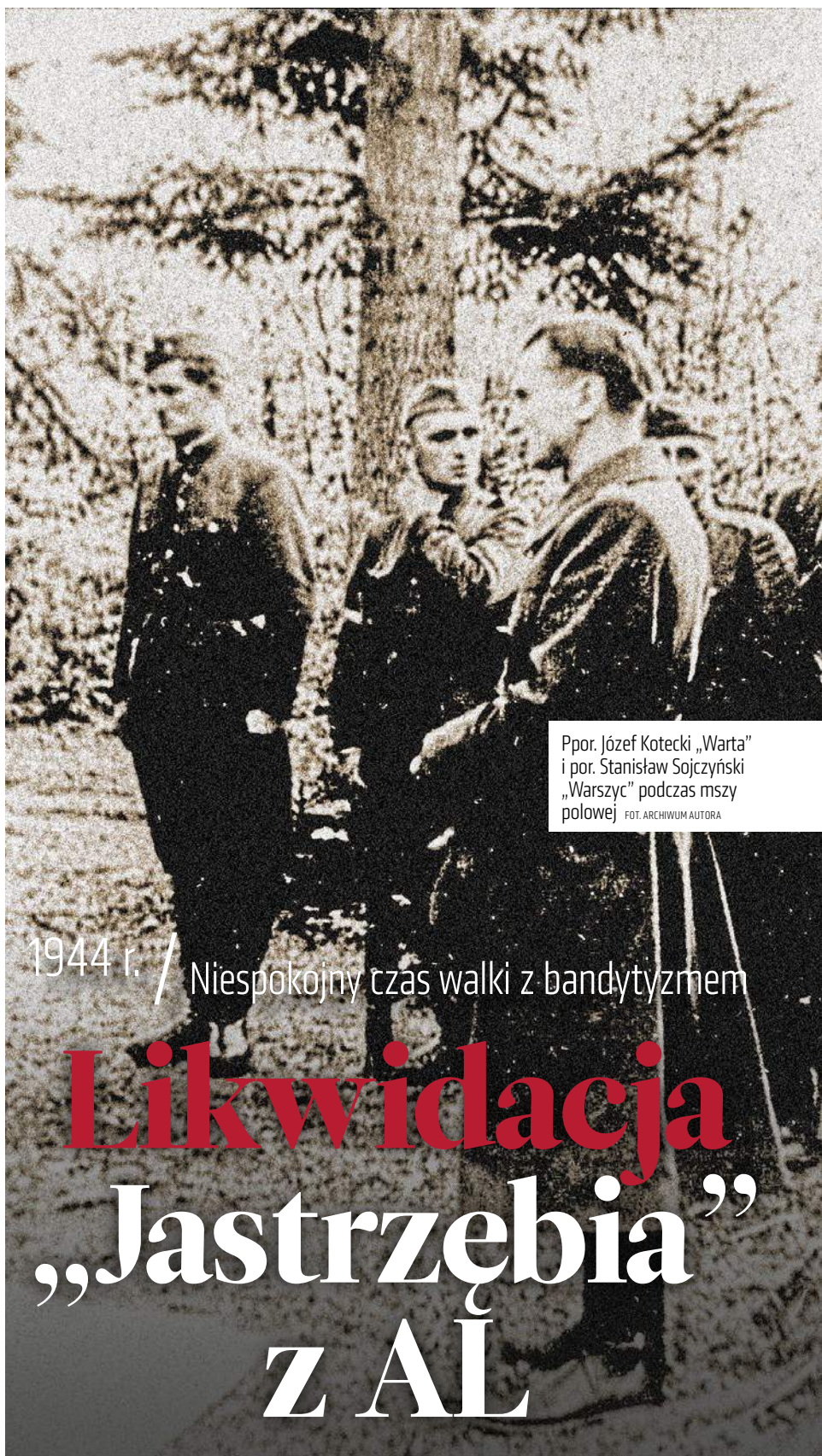
Tomasz Lenczewski

/ W listopadzie 1944 r. z rąk żołnierzy oddziału AK „Manewr” zginęło sześciu żołnierzy AL dowodzonych przez „Jastrzębia”. Jak do tego doszło?

Jesienią 1944 r., po demobilizacji większych jednostek Armii Krajowej i Armii Ludowej, utrzymywano na terenie powiatu Radomsko jedynie kadrowe oddziały bojowe. Większość z nich kwatrowała rozrzucona po wsiach. Do walk z Niemcami i akcji bojowych dochodziło wtedy rzadziej. Z kolei pobyt na wiejskich kwaterach sprzyjał rozprężeniu dyscypliny. W partyzanckie życie wkraślały się typowe patologie, takie jak pijaństwo i złodziejstwo. W rozkazach dowódców zarówno AK, jak i AL piętnowane były imiennie przypadki rabunków dokonywane głównie przez pojedynczych żołnierzy na mieszkańcach wsi. W drastycznych sytuacjach dowódcy grozili nawet rabusiom śmiercią. Mimo diametralnych różnic pomiędzy AK a AL powiat radomszczański nie był miejscem poważniejszych walk między obiema formacjami. Niemniej dochodziło do nieporozumień, brania ziemian w charakterze zakładników przez AL jako rzekomo sprzyjających trzeciej sile NSZ, terenowo słabszej w powiecie. W tych warunkach nawet w okresie paraliżu partyzantki w obliczu zbliżającej się zimy 1944/1945 nie było trudno o konflikt.

Śmierć „Jastrzębia”

Bolesław Krogulec „Jastrząb” był w okresie międzywojennym aktywistą Komunistycznej Partii Polski w Łodzi, skazanym w 1932 r. na cztery lata więzienia. W czasie wojny działał czynnie w lewicowym ruchu oporu na terenie Łodzi. Zagrożony aresztowaniem, udał



Ppor. Józef Kotecki „Warta” i por. Stanisław Sojczyński „Warszyc” podczas mszy polowej
FOT. ARCHIWUM AUTORA

1944 r. / **Niespokojny czas walki z bandytyzmem** **Likwidacja** **„Jastrzębia”** **z AL**

się w okolice Radomska. Został oficerem organizacyjnym, a następnie bezpieczeństwa kolejno w batalionie, potem w III Brygadzie Gwardii Ludowej (później Armii Ludowej) im. gen. Bema pod dowództwem Bolesława Hanicza „Boruty”. Jednocześnie był członkiem sztabu Okręgu Częstochowsko-Piotrkowskiego AL. Wsławił się wysłaniem listu do miejscowych dowódców AK i Delegatury Rządu, w którym, jako „oficer bezpieczeństwa”, groził sądem ludowym w przypadku inwigilacji miejscowych przywódców lewicy. W chwili zatrzymania przez oddział Armii Krajowej miał przy sobie m.in. pismo Aleksandra Helmana Burskiego „Juliana”, ówczesnego sekretarza komitetu okręgowego PPR. Dotyczyło ono m.in. postępowania z Narodowymi Siłami Zbrojnymi poprzez branie zakładników ze środowiska ziemian. Akurat było to po uprowadzeniu przez AL kilku z nich należących do AK.

Około 18 listopada 1944 r. kilkuosobowy oddział „Jastrzębia” kwaterował koło Chylczowa niedaleko Rzejowic. W jego składzie byli m.in.: Stanisław Krogulec (brat dowódcy), Jan Węgorowski „Zasłona”, Rosjanin „Mikołaj”, Jan Chaś „Sosna”, Jerzy Marcinkowski „Bystry” i Lucjan Zieliński. Zarekwirowali oni świnie chłopa we wsi Huta Przerębska i przewieźli ją do innej miejscowości celem przeróbki. Chłopa pozostawiono na konto rek wizycji czysty blankiet firmowany przez NSZ (Niemcy honorowali blankiety wystawiane przez oddziały AK i NSZ). O świcie 23 listopada 1944 r. Oddział Bojowy Armii Krajowej „Manewr” (ok. 20 osób) otoczył i rozbroił część grupy „Jastrzębia” w miejscu zakwaterowania. Pozostali z dowódcą znajdowali się wówczas kilka kilometrów dalej w Rzejowicach (rodzinna wieś „Jastrzębia”). Podobno „Jastrzęb” sam zgłosił się z awanturą o swoich ludzi i wtedy go zatrzymano.

Według kroniki oddziału AK zarekwirowano zatrzymanym m.in. trzy rosyjskie pepesze, jednego walthera i dwa granaty. Każdego z aresztowanych trzymano i przesłuchiowano osobno, choć „Bystrego” nie pytano o nic. W śledztwie uczestniczyli: dowódca Oddziału Bojowego por. Józef Kotecki „Warta”, Stanisław Kopyto „Balon” i Jan Trześniewski „January”. Jak wspominał „January”, ci z AL to byli „zwykli złodzieje, którzy całą noc rabowali i gwałcili”. O rozstrzelaniu AL-owców zdaniem „Januaryego” zdecydował szybko „Warta”. Wcześniej jednak zwolniono czterech zatrzymanych, w istocie również członków bądź sympatyków AL. Należeli do nich:

Stanisław Choba vel Heba, Wła-

dyśław Kaleta, Eugeniusz Lebelt i niejaki Wieczorek. Nie mieli oni przy sobie broni i tłumaczyli się, że znaleźli się przypadkowo w tym miejscu.

Pozostałych załadowano na trzy wozy, na których były również łopaty. Powieziono ich blisko kilometr dalej do lasu koło Kodrębów w okolicach Barwinka. W lesie zostali ustawieni w szeregu. Za każdym z nich stanął AK-owiec z automatem. Wtedy Marcinkowski, według innej relacji wcześniej zachęcony przez jednego z AK-owców, zaczął uciekać. Strzelano za nim z automatów i rkm-u. Chociaż był dwukrotnie ranny w łokieć i nogę, to zdołał dotrzeć kilka kilometrów dalej do placówki AL w Lipowczycach, gdzie leczył się dwa tygodnie oraz spotkał dowódców AL z sekretarzem Burskim. W ten sposób poznali oni okoliczności całej sprawy.

Śledztwo

Dowódca III Brygady AL Bolesław Hanicz „Boruta” dowiedział się o zatrzymaniu swoich ludzi i natychmiast interweniował u dowódcy obwodu AK Radomsko mjr. Franciszka Polkowskiego „Korsaka”. „Korsak” już 24 listopada 1944 r. wiedział o zlikwidowaniu AL-owców w ramach walki z bandytyzmem od bezpośredniego zwierzchnika „Warty” por. Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca”. „Warszyc” udzielił konkretnej odpowiedzi Haniczowi trzy dni po wydarzeniu. Poinformował o zastrzeleniu kilku sprawców i ucieczce innych oraz zapowiedział szczegółowe sprawozdanie. W efekcie tego „Warta” został zdjęty ze stanowiska dowódcy oddziału. Był rozgoryczony, ale „Warszyc” dał mu do zrozumienia, że niezadowolone mjr. „Korsaka” ma „tylko sens formalny”.

W toku śledztwa powstał dość dokładny raport, którego blisko połowę zajęto wyliczenie osób poszkodowanych przez oddział



Objaśnienie mapki:

- ⊙ - kwatera OB AK
- ⊙ - wieś Borki, miejsce napadu i rabunku grupy AL
- ⊙ - wieś Huta Przerębska, miejsce napadu i rabunku grupy AL
- ⊙ - kierunek ucieczki bandy po napadzie/gajówka między Wyniszewem a Żenietnem
- ⊙ - kierunek pociągu grupy AK za uciekającą bandą AL
- ⊙ - kierunek powrotu grupy AK z zatrzymaną bandą AL
- ⊙ - wieś Huta P. przyniesiony potwór i przesłuchiwanie bandy AL
- ⊙ - kierunek wywiezienia bandy
- ⊙ - miejsce ucieczki i zastrzelenia

Mapa terenu wydarzeń według Romana Peski (1997)

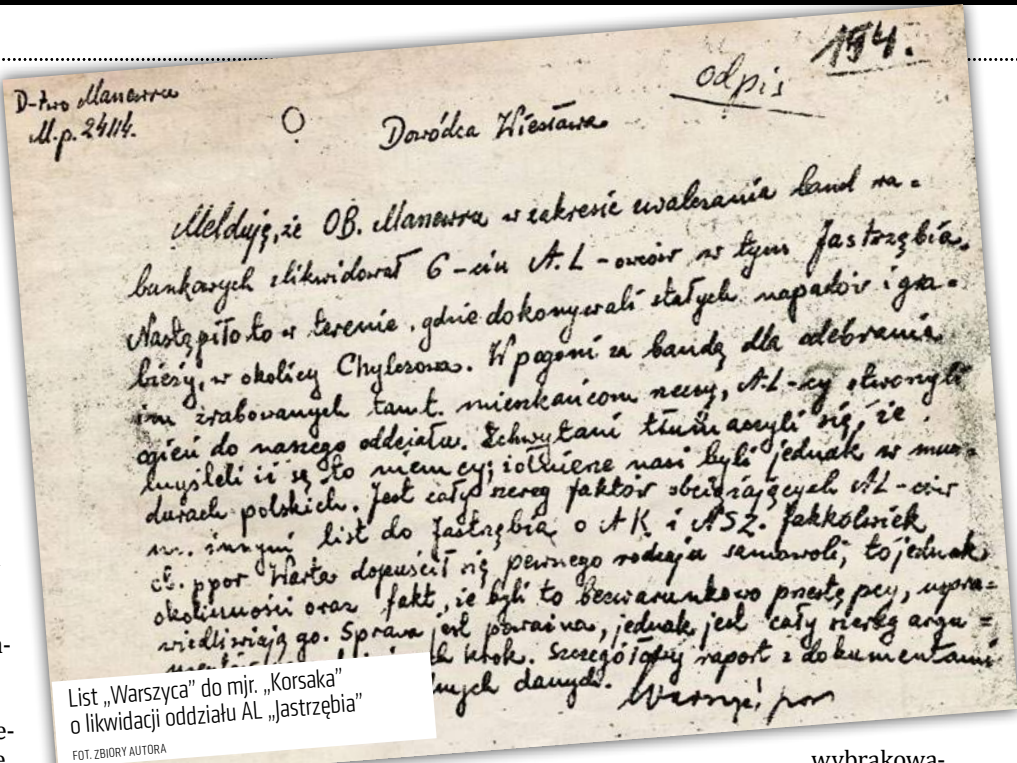
FOT. ZBIORY AUTORA

„Jastrzębia” oskarżonego o zabór mienia w miejscowościach Borki i Huta Przerębska. AL-owcy nie tylko zabrali znaczną ilość kosztowności (Marii Kaznodziejowej), lecz także zarekwirowali odzież damską i dziecinną. Zrabowali ponadto kozuch, pantofle, prześcieradła oraz spirytus i gotówkę. Raport wspominał o odnalezionym liście „Juliana” do „Jastrzębia”. Według raportu zatrzymanych rabusiów miano przekazać do dowództwa. Stąd pomysł z odstawieniem ich wozami, z których uciekli w lesie kodrębskim i wtedy czterech z nich zostało zastrzelonych. W tym miejscu wersja AK jest zbieżna z zeznaniami zwolnionych. Podczas śledztwa w 1962 r. twierdzili oni, że dwóch AL-owców zostało zastrzelonych wcześniej podczas okrażenia. Zatem w lesie zastrzelono jedynie czterech. Niektórzy twierdzili wtedy, że ich towarzyszy zafuzylo w istocie kijami.

Zarzut tortur, które jakoby stosowali AK-owcy, przewijał się później w wewnętrznych materiałach PPR. Władze UB, zbierając po wojnie materiał dowodowy wśród byłych członków AL, były jednak dość sceptyczne co do tej relacji. O jednym ze świadków, Eugeniuszu Lebelcie, który po wyzwoleniu został funkcjonariuszem PUBP, napisano w raporcie, że jest on niewiarygodny, ponieważ ma opinię „złodzieja-recydywisty”. Po wojnie ograniczono się do ekshumacji zabitych w lesie, a samego „Jastrzębia” pochowano na cmentarzu w łódzkim Radogoszczu, przekręcając w akcie jego datę zgonu o pół roku wstecz.

W sprawie śmierci Krogulca i jego towarzyszy trwała jeszcze korespondencja pomiędzy Haniczem a miejscowymi dowództwem AK. Oficjalnie Hanicz uznał, że raport AK jest niewiarygodny. Nie miał jednak mocnej podstawy do dalszej dyskusji wobec faktu rozstrzelania przez AL-owców ziemian związanych z AK. Zażądał więc jedynie zwrotu broni i pieniędzy „Jastrzębia”. Przy tej okazji uzgodniono na przyszłość sprawę wystawiania kwitów rekwizycyjnych i postępowania z bandytami, którzy dopuszczali się przestępstw na ludności cywilnej, podsyżając się pod partyzantów.

Trudno dziś jednoznacznie stwierdzić, na ile fakt egzekucji AL-owców zaciążył na decyzji „Warszycy”, bezpośredniego zwierzchnika „Warty”, o jego pozostaniu



List „Warszycy” do mjr. „Korsaka” o likwidacji oddziału AL „Jastrzębia”

FOT. ZBIORY AUTORA

w konspiracji. Niewątpliwie gdyby wpadł w ręce AL czy NKWD zaraz po styczniu 1945 r., zostałby zabity lub deportowany do ZSRS. Zapewne kpt. Sojczyński zdawał sobie sprawę z możliwych konsekwencji. Kwestia likwidacji „Jastrzębia” wróciła dopiero podczas jego procesu w grudniu 1946 r., jako dowódcy Konspiracyjnego Wojska Polskiego. Miała jednak już marginalny wymiar. Nie ujęto jej w akcie oskarżenia, ale mówiono o niej podczas rozprawy sądowej. Na wolności jednak pozostawali „Warta” i jego ludzie. Na nich właśnie skupiła się uwaga późniejszych śledczych z resortu bezpieczeństwa.

Losy uczestników

Józef Kotecki „Warta” (1922–2003), dawny dowódca Oddziału Bojowego, odznaczony Orderem Virtuti Militari za osłonę angielskiej misji „Freston”, pozostał nieuchwytny. Pochodził z Wielkopolski. Nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska. Szybko wyjechał do Poznania. Zerwał kontakty z „Warszycem”. Jego współpracownicy „Balon” oraz „January”, którzy mogli coś o nim wiedzieć, nie ujawnili miejsca jego pobytu. Kotecki ukończył po kilku latach Szkołę Inżynierską w Poznaniu. Pozytywnie zwerfiony, pracował w przemyśle zbrojeniowym, a nawet był wykładowcą w szkole wojskowej w Jeleniej Górze. Figuruje na liście tajnych współpracowników (akta

wybrakowano) w związku z pracą dla wojska.

Zapytany przeze mnie w 1991 r. przy okazji rozmowy nagrywanej na magnetofon o przebieg zdarzeń, stwierdził, że nie było go na miejscu w momencie ujęcia „Jastrzębia”. Decyzję o odstawieniu go wraz z ludźmi do dowództwa podjął później. Przyznał się jedynie do ostrzeżenia AL-owców, że przy najmniejszej próbie ucieczki eskortujący będą strzelać. Jego zdaniem strzelali wołyniacy, członkowie oddziału pochodzący z 27. Wołyńskiej Dywizji AK. Rzeczywiście, UB interesował się jednym z nich, Henrykiem Gładyszem „Kamieniem”, żołnierzem AK i KWP. Właśnie on miał prowadzić „Bystrego” na egzekucję. Dla Koteckiego „Jastrzęb” miał wygląd typowego sowieckiego politruka. „Warta” konsekwentnie trzymał się wersji dawnego raportu. Nie wypadało mu jednak w obecności świadków naszej rozmowy: Zbigniewa Zielińskiego, ówczesnego szefa Urzędu do spraw Kombatantów, oraz Karola Kutnickiego „Kruka”, mówić o rzeczywistym przebiegu wydarzeń.

W 1997 r. Kotecki przekazał, zastrzegając anonimowość, swoją relację Romanowi Pesce, autorowi książki o „Warszycu”. Podtrzymał w niej wersję o zabiciu AL-owców w czasie ucieczki, odzegnując się stanowczo od relacji innego żołnierza AK o sądzie polowym. Podał dodatkowo informację, że „Warszycy” był obecny podczas podejmowania decyzji o przewiezieniu żołnierzy AL do miejsc, w których ukryli zrabowane rzeczy, oraz o groźbie samosądu nad nimi ze strony miejscowej

ludności w Hucie Przerębskiej. Zdaniem „Warty” eskortę stanowiło ośmiu ludzi z dowódcą plutonu („Balon”?). W rozmowie ze mną nie przyznał się do powojennych kontaktów z „Balonem”, natomiast skierował mnie do „Januarego”.

Jan Trześniewski „January” (1913–1998) był plutonowym. Został odznaczony Orderem Virtuti Militari za misję „Freston”. Jego losy ułożyły się najgorzej spośród losów członków oddziału. Został przypadkowo aresztowany przez NKWD zaraz po zajęciu Radomska (nocował w opuszczonym posterunku niemieckiej policji). Jako AK-owca deportowano go do kopalni w Donbasie, skąd wrócił po dwóch latach i osiadł w Sopocie. Kilkakrotnie przesłuchiowano go w sprawie likwidacji „Jastrzębia”. Choć potwierdził okoliczności wypadków, to zasłaniał się niepamięcią, kto konkretnie strzelał do AL-owców. Sam twierdził, że starał się wybronić młodego Marcinkowskiego. Być może nawet sam kazał mu uciekać. O „Balonie” wyrażał się najgorzej. Prywatnie uważał, że Kotecki podjął decyzję o rozstrzelaniu zbyt szybko i pochopnie, ale taka była jego natura.

„Balona” oskarżył o mord na AL-owcach w ścisłym porozumieniu z „Wartą” i „Warszycem” Tadeusz Telma w 1964 r. w pracy doktorskiej o KWP. Autor ten bezzasadnie powołał się na relację „Bystrego”. W istocie „Balon” jako sprawca czynu pojawił się jedynie w piśmie Hanicza do „Korsaka” z 15 grudnia 1944 r. Po wojnie wymieniali go podczas śledztwa ludzie z AL, w tym również ojciec „Bystrego”, ale bez specjalnych dowodów na udział w sprawie. Pojawiła się nawet sugestia, że to właśnie „Balon” kazał Marcinkowskiemu uciekać.

„Balon”, czyli Stanisław Kopyto vel Kopytowski (1914–?), był sierżant i dowódca plutonu AK, odznaczony Krzyżem Walecznych za osłanianie misji „Freston”, nie miał dobrej opinii wśród swoich przełożonych. Powodem tego były jego wybryki, których dopuszczał się pod szyldem Armii Krajowej. Rabował nawet członków rodzin swoich współtowarzyszy broni. W praktyce zajmował się zaopatrzeniem oddziału oraz rekwirowaniem bydła i świń. W istocie dzielił inwentarz na połowę, zachowując tę drugą dla siebie. Zagrożony przez „Warszycę” karą śmierci, wstąpił do oddziału bojowego. Po wojnie był administratorem majątków rolnych



Od góry: Stanisław Kopyński vel Kopyto-Kopytowski – sierżant „Balon” (1954) i Jerzy Marcinkowski (1945) FOT. ZBIORY AUTORA

w Wieluńskim. Odrzucił próby nawiązania z nim kontaktów przez Dowództwo KWP (istniał projekt przetrzeczenia do niego „Warszycę”). Zmienił nazwisko na Kopyński i wyjechał na Dolny Śląsk, gdzie wstąpił do PPR. Od 1947 r. był kierownikiem, a następnie dyrektorem PGR Udanin koło Środy Śląskiej. Przejściowo wykluczony z partii w 1958 r. z powodu odchylenia prawicowego (klerykalnego), był krótko więziony z tego powodu.

Jego PGR był już w latach 50. wzorowy i cieszył się uznaniem władz (zarówno lokalnych, jak i centralnych). W latach 1961 i 1962 osiągnął najlepsze wyniki w kraju i trwało to kolejne dziesięciolecie. Śledczy, choć dysponowali sporą wiedzą o „Balonie”, w praktyce nie mieli żadnych konkretnych dowodów. Uczyniono więc tak, jak proponował starszy oficer Służby Bezpieczeństwa w Środzie Śląskiej: „Uważam, że dalsze rozpracowanie [...] w tej konkretnej sytuacji byłoby błędem politycznym”. Zgodnie z jego sugestią dossier „Balona” oddłożono do archiwum.

Niedoszła ofiara „Balona” – Stanisław Marcinkowski „Bystry” (1922–1995) – według relacji Koteckiego nazajutrz po ucieczce zgłosił się do niego wraz ze

swoją matką, tłumacząc się, że nie miał nic wspólnego z rabunkiem. Tego rodzaju wersja o młodym rannym AL-owcu wydaje się niemożliwa. On sam po wojnie wstąpił do MO, a później do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Radomsku. Szybko jednak został zwolniony z pracy w bezpieczeństwie, gdzie był referentem gminnym. Nie chciał czy nie umiał wywiązywać się z postawionych mu zadań, a na dodatek oddał „bez sprzeciwu broń bandytom”. Przypuszczalnie na jego zachowanie miało również wpływ wtargnięcie do domu jego ojca grupy KWP. W rezultacie wrócił do gimnazjum i ostatecznie wyjechał z terenów rodzinnych do Bydgoszczy. W relacji dla profesora i byłego oficera UB oraz MSW Ryszarda Nazarewicza oraz podczas kolejnych śledztw nie potrafił lub nie chciał nikogo wskazać. Zasłaniał się „dłuższym upływem czasu”. Zdaniem Nazarewicza bał się ewentualnej zemsty. W 1991 r. nie odpowiedział na mój list dotyczący opisywanego wydarzenia.

Po ustaniu działań wojennych szansa wyjaśnienia okoliczności likwidacji „Jastrzębia” i ukarania sprawców tego czynu malała z każdym rokiem. W pierwszych latach władze bezpieczeństwa były zaangażowane w walkę z KWP. Dawni AL-owcy nie mieli zresztą zbyt dużej możliwości nacisku w sprawie wyrównania dawnych rachunków z innymi grupami zbrojnego podziemia. Nawet szef ich brygady, „Boruta”, znalazł się w okresie stalinowskim w więzieniu. Z kolei syn „Jastrzębia” Henryk Krogulec, choć sam wstąpił w szeregi funkcjonariuszy bezpieczeństwa, miał nikłe możliwości oddziaływania w tej sprawie.

Jak się dziś wydaje, Bolesław Krogulec i jego towarzysze zginęli wskutek zbiegu okoliczności: złapano ich na działalności rabunkowej oraz znaleziono przy nich dowód wskazujący na powiązania z mordowaniem współpracowników i żołnierzy AK. Armia Krajowa w odróżnieniu od NSZ była skrępowana nieformalnymi układami z AL. Stąd zamiast podać prawdziwe okoliczności likwidacji oddziału „Jastrzębia”, zastosowano dyplomatyczny wybieg, prokurując dość niejasny w treści protokół, z którego wynika, że zastrzelenie AL-owców było konsekwencją podjętej przez nich rzekomo próby ucieczki. W ten sposób powstał jeszcze jeden mit lokalnej historii tych niespokojnych czasów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

1967 r. / Historia Obersturmbannführera Götscha

Esesman na żołdzie Ameryki



Marian Zacharski

/ Choć miał na koncie zbrodnie, to został agentem służb USA. Zadanie: spenetrować neonazistów

Hamburg, początek roku 1967. Placówka LNGOLD (tak w szyfrowanej amerykańskiej korespondencji nazywano Departament Stanu i jego agendy). W tym przypadku chodziło zapewne o jeden z dwóch budynków konsulatu amerykańskiego położonego przy Alsterufer 27/28. W latach 1933–1945 mieściły się w nich lokalne biura partii nazistowskiej. Po zakończeniu wojny obydwa budynki zostały skonfiskowane przez władze brytyjskie, od których w 1950 r. rząd amerykański odkupił prawa własności.

Niespodziewany gość, który tu przybył, szybko podał swe dane personalne i cel wizyty amerykańskiemu oficerowi wywiadu, gdy ten wyszedł mu na spotkanie: „Nazywam się Werner Theodor Götsch. Urodziłem się 23 października 1912 w Kilonii. Od 1 stycznia 1931 byłem członkiem NSDAP, nr legitymacji 459389. Wstąpiłem w szeregi SS 15 marca 1931, nr członkowski 10238. W latach 1933–1945 pracowałem w strukturach wywiadowczych Sicherheitsdienst (SD), Hauptamt Sicherheitspolizei (Sipo) i wreszcie po ich połączeniu w Reichssi-

cherheitshauptamt (RSHA). Z dniem 9 listopada 1943, na wniosek dr. Kaltenbrunniera, awansowany zostałem na stopień Obersturmbannführera SS (odpowiednik podpułkownika). W latach 1933–1939 uczestniczyłem w szeregu ważnych operacji, stąd do dzisiaj borykam się z pewnymi problemami natury prawnej. A precyzyjniej mówiąc, chodzi między innymi o mój udział w:

- operacji w Venlo [porwanie dwóch oficerów brytyjskiego wywiadu MI6, mjr. Richarda Henry’ego Stevensa i kpt. Sigismunda Payne’a Besta], w wyniku której holenderski oficer wywiadu wojskowego, por. Dirk Klop, został śmiertelnie ranny;
- likwidacji radiostacji Ottona Johanna Maximiliana Strassera działającej na terenie Czechosłowacji na rzecz tzw. Schwarze Front, zabójstwie jej dyrektora Rudolfa Formisa [pochodzący ze Stuttgartu niezwykle utalentowany inżynier radiowiec, pionier amatorskiego ruchu radiowego] i spaleniu zajmowanych pomieszczeń wraz ze znajdującymi się w nich urządzeniami nadawczo-odbiorczymi”.

Wyrzuty sumienia?

Götsch pragnął zaoferować WOLADY (w szyfrowanej kore-



spondencji termin ten oznaczał Stany Zjednoczone, ale nie instytucje rządowe tego państwa) swoje usługi w zakresie spenetrowania niemieckiej Partii Narodowo-Demokratycznej (NPD) założonej 28 listopada 1964 r. w Hanowerze przez byłych ultrapravicowych członków NSDAP:

„Jestem dobrze znany w szeregach byłych członków SS i stąd nie będę miał problemów z wejściem w strukturę tej nowej organizacji. Już teraz mam dobre kontakty w lokalnych oddziałach, które ułatwią mi dotarcie do krajowego kierownictwa tej partii. Moim życzeniem jest zapobieżenie odrodzeniu się prawicowego ekstremizmu w nowych Niemczech. Poza tym cały czas walczę z wyrzutami sumienia za moją postawę w okresie rządów Hitlera, to znaczy za bezkrytyczną realizację rozkazów, jakie otrzymywałem jako oficer SS. I stąd moja oferta”.

Amerikanin odniósł nieodparte wrażenie, że Götttsch przez złożoną propozycję chciał przede wszystkim oczyścić sumienie. Miało to zapewne także korzenie w tym, że był osobą wierzącą, wyznania ewangelickiego. Oficer w raporcie do Waszyngtonu wspominał także, że przeprowadzenie badania psychiatrycznego albo psychologicznego mogło odkryć głęboko zakorzenione i dotąd nierozwiązane problemy. Zeznania Götttscha złożone 24 lipca 1945 r. pokazywały, że jest on „osobą inteligentną, ale o nieustabilizowanym temperamencie”. W tym samym raporcie stawiano znak zapytania, jeśli chodzi o jego solidność. W dalszej jego części znaleźć można i takie stwierdzenia: „Jest on osobą religijną, wysoce emocjonalną, wierzy w ruch wolnomularski, mistycyzm i wróżby”.

Zapytany, dlaczego zgłosił się akurat do instytucji amerykańskiej, odparł, że ani przez chwilę nie rozważał podjęcia pracy w szeregach lub na rzecz niemieckich organizacji wywiadowczych, ponieważ uważał, że nie czynią one wystarczająco dużo w zakresie zwalczania ruchów ultrapravicowych.



Werner Theodor Götttsch

FOT. ARCHIWUM

Dodał, że potrafiłby sobie wyobrazić współpracę z Brytyjczykami. Zdradził, że w 1949 r. zaproponowano mu współpracę z wywiadem francuskim, ale odmówił, ponieważ nie uważał Francuzów za osoby, na których można polegać, a poza tym, jego zdaniem, nie byli oni wystarczająco profesjonalni.

Götttsch opowiedział też amerykańskiemu oficerowi o swoim pierwszym po wojnie spotkaniu z Ottonem Skorzenym w 1966 r. W trakcie urlopu w Madrycie Götttsch odnalazł dane Skorzeny'ego w lokalnej księżce telefonicznej. Panowie spędzili razem długi wieczór, nie tylko wspominając stare dobre czasy, lecz także snując plany na przyszłość. Według Götttscha Skorzeny prezentował postawę silnie proamerykańską, która miała zrodzić się w trakcie pobytu w obozie dla internowanych, gdzie był traktowany z szacunkiem i respektem. Skorzeny wspominał nawet, że Amerykanie zaproponowali mu współpracę, ale nie ujawnił, jak na nią zareagował. Kończąc ten fragment rozmowy, Götttsch zapewnił swojego rozmówcę, że od czasu spotkania w Madrycie panowie nie utrzymywali ze sobą kontaktu, nawet drogą korespondencyjną.

Amerykański oficer pracujący w strukturze konsulatu w Hamburgu i jego gość rozstawali się z postanowieniem szybkiego odbycia kolejnych spotkań oraz utrzymaniem w głębokiej tajemnicy dopiero co nawiązanych wzajemnych relacji. Götttsch był usatysfakcjonowany ciepłym przyjęciem przez oficera WOFIRM [tak w szzyfrowanej korespondencji nazywano CIA].

Amerikanie, naród na wskroś pragmatyczny, pomimo nazistowskiej przeszłości

oferenta byli gotowi rozważyć nawiązanie z nim formalnej współpracy. Uzależniali to jednak od dogłębnego rozpoznania jego osobowości w drodze kolejnych rozmów, sprawdzenia jego wiarygodności przy użyciu wykrywacza kłamstw, a także przestudiowania archiwum Berlin Document Center. BDC zostało utworzone przez Amerykanów tuż po wojnie w celu usystematyzowanego gromadzenia dokumentacji z czasów nazizmu, niezbędnej do przygotowania kolejnych procesów norymberskich. Dzięki aktywności agentów amerykańskiej Counter Intelligence Corps (CIC) większa część berlińskiego zbioru została w ostatniej chwili uratowana przed zniszczeniem na terenie papierni w Monachium-Freimann.

O szczegółach niespodziewanej rozmowy z Götttschem amerykański oficer powiadomił centralę w Waszyngtonie. Od tej chwili sprawa Götttscha ukrywana była pod kryptonimem CAINFER-1.

Kelner czy oficer

Ze zgromadzonej w BDC dokumentacji Amerykanie dowiedzieli się, że ojciec Götttscha, Theodor, był z zawodu mistrzem budowlanym, a matka, Bothilde z domu Larsson, miała korzenie szwedzkie. W 1928 r. ukończył szkołę średnią, a następnie przez dwa lata uczęszczał do wyższej szkoły handlowej w Kilonii. Dalsze studiowanie musiał przerwać z powodu nagłego pogorszenia się sytuacji finansowej jego ojca. Wstąpił w szeregi NSDAP i SS. Żona Götttscha była od niego o siedem lat młodsza. W 1942 r. urodziła się im córka Silke. Później na świat

■ przyszła jeszcze jedna córka, Christina. W czasie wojny odznaczony został Krzyżem Żelaznym I i II klasy. Ten pierwszy osobiście przyznał mu Führer za wzorową postawę w trakcie incydentu w Venlo. W początkowych latach kariery wojskowej miał dwie trudne sytuacje (odmowa wykonania polecenia oraz wypadek na motocyklu), które mogły przerwać jego dalszą błyskotliwą karierę.

Podczas kolejnego spotkania 7 września 1967 r. Niemiec przekazał Amerykanom dokumentację spraw sądowych, które prowadzone były w związku z jego działalnością w SS. Co się týczyło incydentu w Venlo w listopadzie r., Götsch wyjaśnił, że w jego trakcie dowodził 12-osobową grupą osłonową SS. W drugiej połowie lat 60. prokurator okręgowy w Hamburgu zawiesił dalsze czynności, ponieważ nie było możliwości ustalenia ponad wszelką wątpliwość, czy por. Klop został śmiertelnie zraniony w wyniku strzałów oddanych przez Götscha. Prokurator uznał, że skoro strzelało w kierunku Holendra najpewniej aż 12 członków grupy osłonowej, to nie było racjonalnej możliwości ustalenia, która z kul okazała się śmiertelna. W końcu, wedle prokuratora, por. Klop żył jeszcze przez kilka dni i niemożliwe było ustalenie, czy zmarł w wyniku ran postrzałowych, czy z braku należytej opieki lekarskiej. Akurat ta opinia prokuratora w innych dokumentach oceniana jest jako nieprawdziwa. Podaje się w nich, że Klop zginął w trakcie wymiany ognia.

Natomiast podczas ataku na radiostację Strassera, przeprowadzonego 23 stycznia 1935 r. na terenie Czechosłowacji, Götsch towarzyszył dowódcemu akcją Obersturmbannführerowi Alfredowi Naujocksowi, temu samemu, który kierował napadem na radiostację w Gliwicach, dającym Hitlerowi pretekst do ataku na Polskę. W tym przypadku zakończenie sprawy było dla wymiaru sprawiedliwości zdecydowanie mniej skomplikowane. Otóż oskarżony o zabójstwo i podpalenie Alfred Naujocks zmarł 4 kwietnia 1966 r. w Hamburgu. Götsch był oskarżony jedynie o udział w podpaleniu pomieszczeń radiostacji. Śmierć Naujocksa przed trafieniem sprawy na wokandę sądu oraz to, że drugi uczestnik wydarzeń, Götsch, na stałe nie mieszkał w Hamburgu (rezydował w Kilonii), dały hamburskiemu sądowi możliwość stwierdzenia braku jurysdykcji co do dalszego prowadzenia sprawy.

Götsch szczerze wyjawiał obawy, że jego formalne wejście w szeregi NPD może, ale nie musi, wywołać kontratak ze strony prokuratury. Tego typu ewentualne działania mogły, jak domniemywał, służyć celowemu wzbudzeniu w nim niepokoju, a także potęgowaniu nieprzychylnego nastawienia środków masowego przekazu do NPD. Amerykanie cyklicznie stanowczo zwracali mu uwagę na to, że nie może liczyć na jakiekolwiek ich interwencję w niemieckich prokuraturach lub sądach.

1 maja 1968 r. centrala CIA wydała w sprawie „CAINFER-1” tzw. Provisional Operational Approval. W dokumencie tym zaznaczono, że zezwala się jedynie na dalsze wstępne kontakty z Götschem i przeprowadzenie testu na wykrywaczu kłamstw. Dodatkowo zażądano, aby osoba wybrana do przeprowadzenia testu posiadała dogłębną wiedzę o sprawie i w trakcie zadawania pytań nie pominęła relacji Götscha ze Skorzenym, sprawy Venlo, jego przeszłości jako oficera wywiadu, związków z NPD itd.

Z jednej strony Amerykanie stawiali mu warunki, a z drugiej dążyli do jak najszybszego rozpoczęcia współpracy agenturalnej. Zbliżały się wybory do Bundestagu (wrzesień 1969 r.) i jak na pragmatyków przystało, chcieli mieć w swoich rękach jak najwięcej informacji o wewnętrznej sytuacji w NPD, ze szczególnym naciskiem na precyzyjne rozpoznanie źródeł finansowania tej partii.

W trakcie kolejnych krótkich spotkań poznawali szczegóły nieznanych im dotąd fragmentów kariery Götscha w SS. Między innymi dowiedzieli się, że w pierwszej połowie lat 30. wszczęto przeciwko niemu postępowanie dyscyplinarne w sprawie niesubordynacji i został zdegradowany o jeden stopień. Powodem była odmowa podania kawy i ciastka żonie Obergruppenführera Reinharda Heydricha. Götsch ze spokojem przyjął degradację, bo uważał, że wymagane od niego wypełnianie zadań należących zwykle do kelnera lub służącego było poniżej godności oficera SS. W styczniu 1936 r. o zmierzchu prowadził motocykl, którym uderzył w nieprawidłowo zaparkowany samochód policyjny. Kierowca samochodu zginął na miejscu. Götscha uznano za winnego, ponieważ prowadzony przez niego służbowy motocykl należący do formacji SS był nieprawidłowo oświetlony. W wyniku interwencji Reichsführe-

ra SS oraz szefa Sicherheitshauptamtes, powołujących się na wybitne osiągnięcia skazanego w pracy operacyjnej, wspomniana kara została zamieniona na sześć miesięcy w zawieszeniu.

W sieci kłamstw

Po teście SGSWIRL sporządzono raport, który przesłano do szefów WOBONE (Biuro Bezpieczeństwa CIA), Wydziału Europejskiego, rezydentury CIA w Niemczech i placówki CIA w Hamburgu. Badanie na wykrywaczu kłamstw przeprowadził specjalnie oddelegowany oficer ds. bezpieczeństwa. Cele postawione przed badaniem SGSWIRL sprowadzały się do uzyskania odpowiedzi na pytania w czterech grupach tematycznych:

- czy badany przekazał wszystko o swoim udziale w „zbrodniach wojennych”;
- czy ujawnił swoje kontakty z WOLADY nieuprawnionym osobom;
- czy utrzymuje kontakty z innymi organizacjami wywiadowczymi;
- czy powodem skontaktowania się z Amerykanami było uzyskanie protekcji wobec ewentualnych przyszłych oskarżeń wymiaru sprawiedliwości.

Götsch przyznał, że poinformował swoją najmłodszą córkę, Christinę, o swoim kontakcie z amerykańskim wywiadem. Stwierdził, że powiedział jej o tym, ponieważ czuł, że „każdy wywiadowca musi się komuś zwierzyć” (sic!). Prowadzący test nie dostrzegł zachowań, które mogłyby wskazywać, że pomimo negatywnych odpowiedzi jednak poinformował o współpracy także inne osoby. Twierdzenie to wspierały następujące odpowiedzi Götscha:

„Czy powiedziałeś Christinie o kontakcie z nami? – Tak”.

„Czy oprócz Christiny powiedziałeś komuś innemu o kontakcie z nami? – Nie”.

„Czy powiedziałeś Heinke o naszych związkach? – Nie” (Heinke była lokatorką mieszkającą w apartamencie będącym własnością Götscha, z którą utrzymywał on intymne związki, chociaż w tym samym czasie żyła ona w konkubinacie z innym mężczyzną, który mieszkał razem z nią w wyżej wspomnianym mieszkaniu).

W sprawie Venlo Götsch ponownie przyznał, że jako pierwszy oddał strzał w kierunku por. Klopa i że w sposób

naturalny czuł, iż kula z jego broni trafiła holenderskiego oficera. „Byłem dobrym strzelcem i prawdopodobnie zabiłem Klopa”.

Po zakończeniu testu Amerykanie byli zadowoleni z rezultatów. Od tej chwili uznawali Götscha za osobę wiarygodną. Pozostało im wyjaśnienie kilku kwestii, w tym tych, które dotyczyły spraw natury światopoglądowej. Götsch przyznał, że trudno osobie postronnej zrozumieć, jak człowiek legitymujący się takim życiorysem jak on mógł zaoferować amerykańskiemu wywiadowi usługi polegające na spenetrowaniu radykalnie prawicowej partii politycznej działającej na terytorium jego własnego kraju. Swoją wcześniejszą i obecną postawę tłumaczył tym, że jak każdy młody mężczyzna w latach 30. wstąpił do SS z żądzy zaznania przygód, a nie z miłości do NSDAP.

Przynależność partyjna była oczywiście niezbędna, ale wielu członków SS – jak twierdził – uznawało partię za zło konieczne i było niezadowolonych z obowiązku poświęcania wielu godzin na indoktrynację partyjną i wysłuchiwanie teorii. Stanowczym głosem dodał, że autentyczni członkowie NSDAP wstępowali do SA, a nie do SS. Służbę w SS postrzegał jako służbę swojemu państwu, a nie służbę partii. Odrzucał tezę, że w owym czasie to było to samo, chociaż nie negował, iż ówczesna polityka niemiecka była kreowana i realizowana przez partię. Poproszony o wyjaśnienie swoich wcześniejszych zeznań, w których stwierdzał, że próba zamachu na Hitlera w lipcu 1944 r. była aktem zdrady i zbrodnią przeciwko Niemcom, stwierdził, co następuje:

„Być może za pierwszym razem wyraziłem się nieprawidłowo. Nie potępiałem samego zamachu, ale raczej sposób jego przeprowadzenia i osoby zaangażowane w jego realizację...”

Götsch przedstawił bardzo ciekawą opinię na ten temat. Kiedy uporał się

z pierwszą fascynacją, zaczął postrzegać narodowy socjalizm jako kolejną formę ekstremalnego radykalizmu niszczącego charakteru tych, którzy byli nim zaurzeczni. W sferze politycznej nadal postrzegał siebie jako politycznego konserwatyście, który nie odrzuca pozytywnych elementów zaproponowanych przez ruch narodowosocjalistyczny. Za przykład sukcesu polityki Hitlera podawał wzrost

gospodarczy. Götsch z gruntu odrzucał wszelki radykalizm. Uznawał, że NPD staje się atrakcyjna dla ludzi o niebezpiecznych dla Niemiec poglądach i dlatego zamiast się przyglądać, postanowił działać. Wizyta w konsulacie amerykańskim była pierwszym krokiem w jego planach powstrzymania marszu po władzę w wykonaniu NPD.

Amerykanie po miesiącach rozważań przekonali się do jego intencji i lojalności. Rozpoczął pracę w charakterze ich agenta. Wstąpił w szeregi członków NPD i szybko piął się w jej hierarchii. Przekonał Amerykanów do idei wykorzystania w działalności agenturalnej jego córki, Christiny, która zasiłki struktury młodzieżowej tej samej partii. Oboje spisywali się dobrze. Götsch został wyczulony na konieczność:

- rozszerzenia kontaktów z dwoma lokalnymi liderami NPD;
- większego skupiania się na gromadzeniu informacji o przywódcach krajowych tej partii;
- rozpoznania planów kampanii wyborczej;
- ustalenia kontaktów zagranicznych i źródeł finansowania.

Tajne spotkania odbywano w domu Götscha lub w pokoju hotelowym wynajmowanym przez amerykańskiego oficera wywiadu. Oficer ten znał perfekcyjnie język niemiecki i na każde spotkanie udawał się ubrany w nierzucający się w oczy strój, co pozwalało im, od czasu do czasu, na wymianę poglądów w trakcie swobodnych spacerów ulicami Kilonii. Jego wynagrodzenie nie było imponujące. Otrzymywał co miesiąc wypłatę w wysokości 150 DM (38 dolarów amerykańskich), pokrywano mu koszty niezbędnych wydatków oraz od czasu do czasu wręczano butelkę alkoholu. Spotkania awaryjne uzgadniane były telefonicznie, według z góry ustalonych reguł. Amerykanie planowali wykorzystywanie operacyjne Götscha co najmniej do jesiennych wyborów w 1989 r.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

MEMORANDUM FOR: Chief,
E/O/INT

PROVISIONAL OPERATIONAL APPROVAL

DATE: 31 March 1989

PROJECT: [redacted]

REFERENCE: Your Memorandum, Dated [redacted] dt [redacted]

A Provisional Operational Approval is granted for the use of this Subject as set forth below.

A Provisional Operational Approval issued by CI Staff grants the same authority, on a temporary basis, for the use of an individual as the authority granted in an Operational Approval unless otherwise specified by CI/OA. It is subject to a further final review when all investigation is completed.

A POA is granted for further contact, assessment and SSGWIRL only. No operational use authorized.

It is requested that the SSGWIRL operator be thoroughly briefed on the background of the case and that a comprehensive test be given covering all major areas of concern, including Subject's relationship with OTTO SKORZENY, his involvement in the VENLO affair, his intelligence background and associates, status of court actions, involvement with the NPD, etc.

Further investigation and/or National Agency Name Checks will be initiated upon receipt of a completed PRQ Part I.

Please submit PRQ Part II.

DECLASSIFIER AND RELEASED BY
CENTRAL INTELLIGENCE AGENCY
SOURCE METHOD EXEMPTION 3020
NAZI WAR CRIMES DISCLOSURE ACT
DATE 2008

To process the Operational Approval, full information (complete Parts I and II) must be submitted as soon as possible and no later than (6) months from this date. An Operational Approval is valid for (6) months from this date. Investigation is completed and upon [redacted] and II. Cancellation must [redacted] ceases.

SECRET

VI OPERATIONS STATUS REPORT

REPORT NO. 68-01
DATE OF PRQ/OA 6 May 1989

STATION/BASE Hamburg
AGENT'S CRYPT CALIBER-1
PERIOD COVERED 1 January 1989
CASE OFFICER TIME 5 hours (monthly)

PROJECT NAME TO 31 March 1989
COSTS \$ 251.00 (during period)

BACKGROUND AND ACCESS OF AGENT: Subject is a former high-ranking SS-officer who offered his services as a penetration asset of the National Democratic Party (NPD). His background during the last period makes him attractive to the NPD. He has good connections in the local NPD organization of his city and it is hoped that, eventually, he will have access to the party's national leadership.

TYPE OF AGENT COMMUNICATIONS: The agent has a Hamburg Base operational telephone number through which he can reach the case officer. The case officer can call Subject at his office. No other means of communications exist or are necessary.

TARGETING: (including CO citation) Priority B, Subparagraph A. Subject will be targeted against the national leadership of the NPD.

NATIONAL DEVELOPMENTS: (include security aspects and training) Subject was met in January, February and March 1989. He has become an active member of the NPD, regularly attends meetings, and reports on these meetings to us. His daughter also has joined the party and belongs to the party's youth group. Subject has been instructed to develop his contact with two of the party's local district leaders, and to concentrate on collecting information on the national leadership, on NPD campaign plans for the 1989 parliamentary elections, on NPD contacts abroad, and on sources of NPD finances. Subject was asked by the party to take charge of the task of building an internal security service on the Land level. He turned down the assignment due to ill health.

AGENCY WORTH PERIODIC REVIEW: Subject has been advised that we are interested in the collection requirements listed above, and that he should put forth every possible effort especially between now and the elections in September 1989.

PRODUCTION: (include significant operational information) Two substantive reports (CS-311/00658/89 and EGO-1392). Subject also furnished biographic and assessment data on two local district NPD leaders.

EVALUATION AND RECOMMENDATIONS: We intend to keep this case active and have monthly meetings with Subject at least until the 1989 parliamentary elections. Depending on Subject's production during this period, and the outcome of the elections for the NPD, we expect to have a clear-cut idea by the fall of 1989 whether to continue or terminate this case. We may also consider using Subject's daughter, who is fully willing, as a long-range penetration of the NPD and its youth groups.

HEADQUARTERS COMMENTS & RECOMMENDATIONS:

Field Case Officer [redacted]

Microfilmed
MAY 1 1989
DOC. MICRO. SER.

SECRET

CS COPY

31w-20-50

31w-20-50

Spór o kapitana



prof. Oleg Łatyszonek

Łatyszonek: To był zbrodniarz

PIOTR WŁOCZYK: W marcu IPN wydał oświadczenie, które ma dowodzić, że „w świetle najnowszych badań naukowych informacje z ustaleń końcowych śledztwa w sprawie »Burego« w wielu obszarach są wadliwe”. IPN uznał więc m.in., że nie można oskarżać Romualda Rajsa o popełnienie zbrodni ludobójstwa. Jak pan to przyjął?

PROF. OLEG ŁATYSZONEK: Przyznam się, że siadałem do lektury tego krótkiego komunikatu bardzo rozeźlony. Jak to możliwe, że IPN może rozgrzeszać „Burego”? Ale już w połowie tekstu emocje opadły, wręcz się uspokoiłem. Traktuję ten komunikat jako niewiążący prawnie tekst publicystyczny. To przecież nie jest oficjalne odwołanie rezultatu śledztwa.

Przypomnijmy: w 2005 r. prokurator IPN stwierdził, że „Bury” odpowiada za zabicie na przełomie stycznia i lutego 1946 r. 79 osób cywilnych narodowości białoruskiej, co – zdaniem tego organu – należy uznać za zbrodnię ludobójstwa.

Ostatni komunikat IPN w tej sprawie, odwołujący ustalenia prokuratora, opiera się m.in. na tekście publicystycznym z czasopisma „Glaukopis” sprzed trzech lat, w którym dr Kazimierz Krajewski i Grzegorz Wąsowski próbowali obrobić tezę, że zbrodnie ludzi „Burego” na cywilnej ludności białoruskiej nie były ludobójstwem, bo przecież – jak argumentowali autorzy – „Bury” miał okazję zabić więcej Białorusinów, a tego nie zrobił. To absurdalna argumentacja.

Autorzy tekstu napisali w nim m.in.: „Uważamy, że »Bury« nie działał z zamiarem zniszczenia (ani w całości, ani w części) społeczności białoruskiej lub też społeczności prawosławnej zamieszkałej na terenie Polski w jej obecnych granicach. Miał przecież możliwości, by puścić z dymem nie pięć, ale znacznie więcej wiosek białoruskich w powiecie Bielsk Podlaski”. Dlaczego to pana nie przekonuje?

Zacznijmy od tego, że „Bury” nie miał takich możliwości. Zrobił tylko tyle, na ile było go stać. Bury zaatakował i spalił małe wioski białoruskie na pograniczu obszaru zamieszkanego przez Polaków i Białorusinów. Mając pod sobą ok. stu ludzi nie był w stanie wejść głębiej i zaatakować dużych białoruskich wsi, które były w stanie skutecznie się bronić. Z ulotek, które przygotowywał, wiemy, że chciał „wyczyścić” ten obszar z ludności białoruskiej, więc jego zamiary nie powinny pozostawiać wątpliwości. Przypominam, że cały czas mówimy o mordowaniu kobiet i dzieci, co nigdy nie może znajdować jakiegokolwiek usprawiedliwienia.

Komunikat IPN kończy się przywołaniem postanowienia sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego z 1995 r., który unieważnił wyroki śmierci wydane przez komunistów na dowódców 3. Wileńskiej Brygady NZW. Wynika z tego, że w świetle prawa „Bury” jest niewinny. To oficjalne stanowisko wymiaru sprawiedliwości wolnej Polski.

Każdy normalny człowiek musi uznać, że ten wyrok jest kuriozalny. Takie sprawy były wówczas rozpatrywane taśmowo w ekspresowym tempie. Na rozprawy nie byli wzywani żadni świadkowie... Argumentacja, że zabijanie ludności cywilnej było działaniem w imię „wyższego

dobra”, czyli dla niepodległości państwa polskiego, jest niezgodna z konstytucją. Przecież polska konstytucja ma chronić życie obywateli.

Wyrok sądu powinien jednak zamykać sprawę. Tak przecież działa demokracja.

Tylko co to za demokracja, która pozwala na mordowanie kobiet i dzieci? Śledztwo prowadzone przez prokuratora IPN nie zakończyło się procesem tylko dlatego, że uznano, iż sprawcy nie żyją. I w ten sposób faktycznie można się powoływać na wyrok sądu. Powołują się na niego m.in. organizatorzy Marszu

Żołnierzy Wyklętych w Hajnówce, którzy uważają „Burego” za swojego bohatera. ©©



Rajsa „Burego”



prof. Jan Żaryn

Żaryn: To był bohater

PIOTR WŁOCZYK: Czy zgadza się pan z ostatnim komunikatem IPN w sprawie „Burego”?

PROF. JAN ŻARYN: Zgadzam się z tym, że przypisywane „Buremu” zbrodni ludobójstwa na społeczności białoruskiej nie ma potwierdzenia w badaniach historycznych. Dobrze się stało, że IPN to uciął, ponieważ było mnóstwo wątpliwości w sprawie ustaleń prokuratora IPN, który wydał tę bardzo kontrowersyjną decyzję w sprawie „Burego”. Nie mam żadnych wątpliwości, że cała bogata biografia „Burego” pokazuje, iż był to żołnierz podziemia niepodległościowego wierny sprawie walki o niepodległość państwa polskiego. Co oczywiście nie oznacza, że należy identyfikować się ze wszystkimi czynami, które „Bury” wówczas rozkazał wykonać albo nad którymi nie zdołał zapanować.

To, że nie zdołał nad czymś zapanować, nie zwalnia go chyba jednak z odpowiedzialności?

Jako dowódca brał odpowiedzialność za swoje działania, to oczywiste. Ale nawet oczywiste błędy, które skutkowały śmiercią niewinnych cywili, nie zmieniają faktu, że „Bury” walczył o niepodległość.

Czy nie ma jednak czynów, których popełnienie powinno kompletnie przysłać bohatera rozdział życia danego żołnierza? Na przykład śmierć dzieci i kobiet w płomieniach, co stało się w Zaleszanieh?

Śmierć tych osób to niepodważalny fakt, ale zanim ktokolwiek wypowie się, że jest to czyn skreślający „Burego” jako żołnierza, zapisujący go do kategorii zbrodniarzy, powinien dokładnie poznać kontekst tamtych wydarzeń. Wyraźnie było widać, że tamte wsie sympatyzowały z bolszewikami, z systemem, który przyniósł Polsce zniewolenie. Zdradzieckie wsie pacyfikował też choćby „Łupaszka”, gdy „Bury” pod nim służył. Widać więc, że takie czyny nie były w tamtych czasach czymś odosobnionym. Jeżeli dopytuje pan o to, to oczywiście mogę z dzisiejszej perspektywy

powiedzieć, że myśląc o tych niewinnych ofiarach, odczuwam dyskomfort, ale dziś żyjemy w zupełnie innych, spokojnych, czasach. Tymczasem w tamtej często bardzo chaotycznej rzeczywistości istniało niestety sporo miejsca na błędy. Skutki decyzji o pacyfikacji wsi wymknęły się „Buremu” spod kontroli i z tym chyba nikt nie dyskutuje. Przypomnę jednak, że nie było celem „Burego” zabicie jakiegokolwiek dziecka i jakiegokolwiek kobiety. Nie było rozkazu: „Zabić kobiety i dzieci”.

Sam pan jednak przyznaje, że to obciąża „Burego”.

A także ludzi, którzy brali udział w tej pacyfikacji, ale – wszystko na to wskazuje – mord na cywilach nie był celem tej pacyfikacji. Rozkaz opuszczenia domostw, wydany cywilom, pokazuje, że polscy żołnierze chcieli zniszczyć zabudowania, a nie chcieli mordować cywilów. Niestety, część mieszkańców nie opuściła swoich domów...

Koniec komunikatu IPN stawia sprawę jasno: „W świetle obowiązującego prawa Romuald Rajsa i Kazimierz Chmielowski są zatem niewinni”.

Tak. I nie podlega do dyskusji. Tak brzmi bowiem ostatnie orzeczenie sądu w sprawie „Burego” i jego zastępcy „Rekina”. Czy nam się to podoba, czy nie, tak zadecydował sąd w wolnej Polsce. W świetle prawa więc obaj są niewinni. Można oczywiście próbować podważać wyroki sądu, ale ta decyzja była zadośćuczynieniem za mord komunistyczny dokonany na tych dwóch żołnierzach podziemia niepodległościowego.

Czyli „Bury” to dla pana bohater?

Tak, „Bury” jest dla mnie bohaterem, który był jednak człowiekiem z krwi i kości. Niestety, popełnił duże błędy, które dziś bardzo rzutują na jego ocenę. Jedna rzecz nie może nam tu umykać: głównym celem „Burego” i jego ludzi była walka z sowiecką okupacją, a nie mordowanie cywili. Priorytety tych żołnierzy powinny pomóc nam znaleźć dla nich odpowiednie miejsce w polskiej historii. ©





Krzysztof Masłoń

/ Jego wybitnymi „Nadberezyńcami” zachwycała się cała polska emigracja. On przez 30 lat harował fizycznie w argentyńskiej rzeźni

Nadberezyńców” z zachwytem przyjęli Wańkowicz i Michał Kryspin Pawlikowski, poznali się na nich Jerzy Stempowski, Józef Czapski i Czesław Miłosz, powieść jednak nie zyskała powszechnego uznania, zapewne dlatego, że autor był postacią znaną wyłącznie wśród Polonii w Argentynie, gdzie mieszkał i gdzie w 1942 r. wydana została książka. Toczyła się zresztą wojna i choć Florian Czarnyszewicz też pisał o wojnie, to przecież nie o tej, która w latach 40. spędzała Polakom sen z powiek.

Maria Danilewicz-Zielińska, wyśoko oceniając dzieło jako „rewelacyjny obraz dalekich kresów białoruskich” i „w najistotniejszym sensie [...] protest przeciw granicom ryskim”, genezy jego szukała w pisarstwie Rodziewiczówny, Orzeszkowej i Sienkiewicza, porównując go do „Lewej wolnej” Józefa Mackiewicza. Akcentowała to, że Czarnyszewicz „opisywał sprawy znane z autopsji, życiorysy dobrze znanych mu ludzi. Tym tłumaczy się – kontynuowała – brak portretów »papierowych«. Kościk z »Nadberezyńców« dobrze wytrzymuje porównanie z Karolem Krotowskim z »Lewej wolnej« Mackiewicza”. To wszystko prawda, a jednak wyczuwa się w tych zdaniach pewną minimalizację osiągnięcia pisarskiego Czarnyszewicza, którego pierwsza powieść, bo debiutował „Nadberezyńcami”, była najzwyczajniej w świecie arcydziełem, jakich zaledwie kilka mamy w dziejach prozy polskiej. I dopiero przykładając do tej książki arcydzielną miarę, widzimy, że w dalszym ciągu jest to wciąż arcydzieło nieodkryte.

W kraju twórczość Czarnyszewicza, tak jak większość emigracyjnego dorob-

FOT. ZWIĄZEK POLAKÓW W ARGENTynie

1900–1964 / Polski pisarz z Białorusi w Argentynie

Arcydzieło wciąż nieodkryte



ku literackiego, przez cały okres PRL pozostawała nieznana. Gdy w wolnej Polsce wreszcie przebiła się do czytelników, było już o wiele za późno, przede wszystkim z powodów, jak mi się zdaje, pozaliterackich. Dla wielu rodaków losy Polaków znad Berezyny, o których pisał Florian Czarnyszewicz, stanowiły zamierzchnią historię. Nie pamiętano o tragedii ludzi zamieszkujących ziemię, którą po wojnie z bolszewikami, na mocy traktatu ryskiego, pozostawiono Sowietom. Skazując, jak miało się okazać, na zagładę.

Florian Czarnyszewicz urodził się tam właśnie, w okolicach Bobrujska, w roku 1900. Ukończył cztery klasy szkoły powszechnej, a po polsku nauczano go pisać w tajnych polskich szkołkach. W 1919 r. zaciągnął się do Wojska Polskiego, służył jako wywiadowca i zwykły żołnierz. Po traktacie ryskim pozostawił w Sowietach rodziców, dwóch młodszych braci (starszy wyemigrował w 1914 r. do USA) i siostrę, a sam przeniósł się do Wilna. Tam wstąpił do policji i uczył się, próbując nawet w pewnym czasie zarabiać jako adwokat ludowy.

Musiał jednak zniechęcić się do stosunków panujących w kraju, w 1924 r. podjął bowiem dramatyczną decyzję o emigracji i z poślubioną dwa lata wcześniej żoną oraz małą córeczką wypłynął z Triestu statkiem do Argentyny, gdzie w pierwszych krokach pomóc mu miała rodzina małżonki. Jak z tą pomocą było, do końca nie wiadomo, w każdym razie w Buenos Aires zarejestrował się jako cieśla, a następnie znalazł zatrudnienie w rzeźni w miasteczku Berisso w okolicach La Platy, gdzie przepracował fizycznie 30 lat. Po przejściu na emeryturę w 1956 r. zamieszkał w wybudowanym przez siebie domu w Villa Carlos Paz niedaleko Kordoby. Tam też, schorowany (cierpiał na astmę i dolegliwości sercowe), zmarł w roku 1964, a polska społeczność uhonorowała go tablicą, na której widnieje jako „żołnierz, robotnik, pisarz i polski patriota”.

Gdy stosunkowo niedawno Bartosz Bajków odkrył, iż „znany, sławny amerykański wokalista powiedział, że jego dziadkiem był Polak o nazwisku Czarnyszewicz, to w żadnych mediach nie skojarzono tego pokrewieństwa”. Tym dziadkiem był rodzony brat autora „Nadberezyńców” – Feliks, a sławnym

wokalistą nie kto inny, lecz właśnie Steven Tyler z „Aerosmith”.

Hej, człowiecze!

„Nadberezyńcy”, pierwsza książka Floriana Czarnyszewicza – czytamy w przedmowie Józefa Czapskiego do innej jego powieści „Losy pasierbów” – „była pisana w latach, kiedy autor i zarazem jeden z bohaterów tej książki w żrącej tęsknocie za krajem chodził późną jesienią nad marną rzeczkę pod Berisso, bo tam wilgotne rośliny i gnijące u brzegu liście przypominały mu zapachem jego ojczystą Białoruś. Czarnyszewicz znalazł się w Argentynie, bo ziemia jego rodzinna została odcięta od Polski granicą, a bracia jego i siostry tępieni, więzieni, zesłani za tak groźne grzechy, jak parę dziesięcin własnej ziemi, jak tajne kółka różańcowe, jak

**W „Chłopcach z Nowoszysek”
bardzo mocno
wybrzmiało
przekonanie, że
Polacy oraz
Białorusini powinni
i mogą żyć ze sobą
w harmonii**

DEKLARACJA CZŁONKOWSKA

Niżej podpisany, w uznaniu potrzeby istnienia INSTYTUCJI-BIBLIOTEKI deklaruje na Fundusz Biblioteczny i przystępując na członka TOWARZYSTWA BIBLIOTEKI POLSKIEJ im. IGNACEGO DOMEYKI w POŁUDNIOWEJ AMERYCE z SIEDZIBĄ w BUENOS AIRES — ~~zobowiązuje się wpłacać składkę miesięczną w wysokości i terminach ustalonych przez~~ ~~WALNE ZEBRANIE Towarzystwa~~

Data 8-X-1960r.

[Podpis]
podpis

DANE OSOBISTE:

1. Nazwisko i imię: *Florian Czarnyszewicz*
2. Dokładny adres: *Av. Del Valle 143. Villa C. Paz. Cordoba*
(numer telefonu)
3. Numer Cedula: *26.11-5.162.298.*
4. Obywatelstwo: *Argentyński*
5. Data i miejsce urodzenia: *2.7.1900. Bobrujsk*
6. Stan cywilny: *Emeryt*
7. Zajęcie: *Emeryt*

Powyższe dane potrzebne przy rejestracji Towarzystwa.

Deklaracja członkowska
Floriana Czarnyszewicza
FOT. BIBLIOTEKA POLSKA IM. IGNACEGO DOMEYKI
W BUENOS AIRES

pamiętki polskie, a ponad wszystko udział kogokolwiek z rodziny w latach 1917–1920 po stronie Polski w walkach z Rosją bolszewicką.

Po tych walkach prowadzonych częściej w stylu »Ogniem i mieczem« niż wojny wówczas nowoczesnej Czarnyszewicz nie znalazł w Polsce niepodległej dla siebie i swoich miejsca ani chleba. On i jego bracia w i e r z y l i w Najjaśniejszą Rzeczpospolitą, w »polską ideę«, która miała przyjąć i nie tylko ich, szlachtę zagrodową, ale całą Białoruś uwolnić i uszczęśliwić. Polak i wierzący katolik bronił swego prawa do życia na tej ziemi, swojej tradycji, która w nią wrosła od wieków, bronił swej wiary deptanej i w walce tej zaciętej nie czuł się ani »pański«, ani »reakcyjny«. Nie darmo na okładce swej książki napisał »nie za burżujów idziemy«.

Drugą książkę, od nazwiska jej bohatera zatytułowaną „Wicik Żywica”, autor usiłował wydać w Paryżu, bez skutku jednak. Jerzy Giedroyc, chociaż „Kultura” przychylnie pisała o „Nadberezyńcach”, propozycję odrzucił. „Wicik” mu się nie spodobał, „nie bardzo chyba zresztą – na co zwrócił uwagę prof. Maciej Urbanowski, który opracował książki Czarnyszewicza wydane przez LTW – kojarzył jej autora, skoro pisał do Wańkowicza, że jest on tomem drugim powieści... »Podberezyńce«, wydanej w roku 1952”. Redaktor orzekł przy okazji, że powieść nie przedstawia większej wartości lite- ■

rackiej, co z pewnością było dla autora krzywdzące, choć niewątpliwie rezonansu jest tu za dużo.

Oto na przykład jak o obowiązkach wobec ojczyzny rozmawia tytułowy bohater z pewnym porucznikiem Wojska Polskiego: „Ja nie miałem jeszcze sposobności – powiada Wicik – badać struktury powstającego państwa ani zamierzeń naszych polityków i mężów stanu, ale gdy patrzę tu na ludzi, oczami dbającego o swą Ojczyznę Polaka, to widzę, że się nie robi tego, co powinno się teraz robić. Badając przyczyny niepowodzeń poprzednich powstań i ważąc krew, rozpacz i wszelkie cierpienia naszych praojców, którzy polegli w tych powstaniach lub poszli na Sybir i tułacką wieczną, to jakby słyszę wyraźny, płynący z Nieba rozkaz, że jeśli chcemy pozostać Narodem, to musimy wszystko, co tylko w mocy jest ludzkiej czynić, ażeby budowane przez przodków dzieło zawierzyć pełnym zwycięstwem. Teraz nie powinno u nas być wahań ni sporu, ni zdrady, ni błędów. [...] Ale ja nie widzę zapowiedzi tego i boleję nad tym.

– Ja rozumiem ciebie – rzekł oficer.
– W każdym ziemianinie chcesz widzieć pana Tadeusza Mickiewicza, w chłopie – Bartosza, w rzemieślniku – Kilińskiego. Hej, człowiecze! Gdyby się tak stało, tobyśmy takim płomieniem wybuchnęli, że wrogowie nasi popadliby na kolana i zaczęliby się bić w piersi. Ale tak nie było, nie jest i być nie może, bo ludzie do siebie są bardzo niepodobni. [...] Od półtora wieku najszlachetniejsi synowie Polski kładą za społeczeństwo swe życie, giną na szubienicach, mrą w tundrach lodowych albo idą z torbą żebraczą w świat, a brutale, oszuści, pasożyty i zdrajcy różnego kalibru dostają odznaczenia męstwa, bogacą się, używają całą gębą rozkoszy życia. A to wszystko ma wpływ na ludzi słabego ducha.

Otóż klęski te i długie panoszenie się na naszych ziemiach gwałtu i przewrotności zdemoralizowało pewną część narodu. I dziś cały ten, wyzbyty honoru, odłam słaboduchów, lizuny cesarscy, wszyscy ich pozbawieni dziś zajęcia parobcy – wszystko to przywdziewa teraz maski patriotyzmu i pcha się na odpowiedzialne stanowiska, bez miłości do Ojczyzny i należytego zrozumienia myśli odrodzenia. [...] Ale nie trzeba się tym przerażać. Nie oni żywili ducha Narodu, nie oni kierują Sprawą. Ster rządu

trzymają ci, dla których sprawa wyzwolenia jest celem życia, którzy dla tej sprawy wyrzekli się kariery prywatnej i dostatku. Z nimi trzyma żołnierz nasz i wszystkie zdrowe elementy w narodzie. Porucznik Noga ci to mówi!”

A dlaczego Białorusini zachowują wrogość wobec Polaków, a w najlepszym razie rezerwę: „Przez sto dwadzieścia pięć lat – mówi jeden z bohaterów powieści – tumaniało się ludzi, że przewrotna caryca ruska, odbierając Polsce niepodległość, wyzwoliła jej ludy z niewoli, że szlachetne i bohaterskie powstania Polaków miały na celu odebranie ruskim ludziom ziemi, umocnienie nad nimi pańszczyzny i zmuszenie do przyjęcia katolicyzmu, że naród polski w panowaniu jest okrutny, w życiu swarliwy i burzący. Że Polak z Żydem byli przyczyną nędzy Białorusinów.

Przez sto dwadzieścia pięć lat każdego obsarnika, pijawkę, który jednak o grzeje was i nas, każdą jego swawolę nad chłopem i rozpustę przedstawiało się ludziom jako wzór charakteru Polaka, aby tym wzbudzić nienawiść do całego narodu. I to zaćmiło wam oczy naprawdę i zasiało w sercach waszych nienawiść”.

Głupie lby

W 1958 r. ukazała się drukiem, wydana już w Europie, w paryskiej Libelli, trzecia książka Czarnyszewicza – „Losy pasierbów”. To powieść ewidentnie niedoceniona, a będąca eposem polskiej emigracji kontynuującym szlak wytyczony takimi utworami jak „Za chlebem” Henryka Sienkiewicza i „Pan Balcer w Brazylii” Marii Konopnickiej. Do tego współczesnemu czytelnikowi umożliwiająca ciekawe porównanie z tym, co o Argentynie pisał inny nasz pisarski emigrant Witold Gombrowicz („Trans-Atlantyk”, „Wędrowki po Argentynie”). Akcja jest tu żywa, wiele się dzieje, awanturnicze epizody mnożą się jeden za drugim, w sumie mógłby to być materiał na zajmujący film przygodowy. Z jakże ciekawymi wtřetami, powiedzmy, że językowymi. Oto jak w „Losach pasierbów” o utraconej ojczyźnie opowiada, mocno łamiąc język, polski Żyd – Szmulka:

Ja nie jestem, proszę państwa, z takich Żydów, co wychawszy za granicę, na polskie ojczyznę psy wieszają, wimiszlając, że ona im nie chciała sprzedać chleba. Że robiła pogrom, że nie dawała żyć. To nie jest prawda. Ja zawsze się pitał takich sobaki, dlaczego to w Polsce

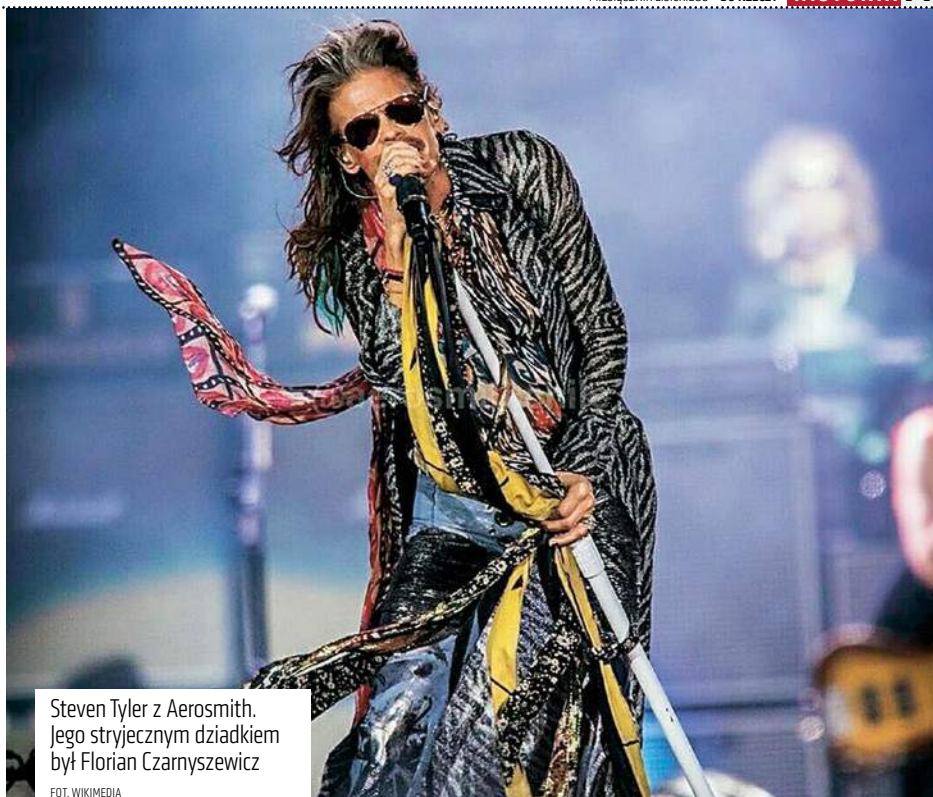


jest tyle Żydy co w cała Europa? Dlaczego to tam, gdzie jest źle, żyje dużo Żydy, a tam gdzie dobrze – mało? Jak to może być? Musić to nieprawda. Musić w Polsce lepiej było, jeśli do niej zjechali się Żydy z inne kraje. A za tą dobroć nie wolno płacić złem. Trzeba zawsze mieć w pamięci, że mi w Polsce się urodzili, że polska baba nam bieliznę pierze, wodę na wysokie piętro nosi i kury hoduje, sama przymierając z głodu, a chłop drzewo rąbie, wilki zabija, broni nas od bandyty, od Szwedy, od ruskie czarne sotnie, od Kozaki zaporoskie i od wszelka inna wredna swolacz. Więc jeśli który w złości powie na nas pogane słowo lub zamiast w nasze ławki, kupi coś w kooperatywa – to za to nie ma się co gniewać.

Nic też dziwnego, że Domka, żona głównego bohatera powieści Zygmunta Dubowika, u Żyda właśnie dorabiała praniem i mężowi w liście donosiła: „Ja wiem, że to jest pijawka, jak każdy z ich narodu, ale już wolę Żydowi pokłonić się niż tym zarazom, bo ten chociażby w Boga Ojca wierzy, a te głupie łby, diabłem opanowane, chcieliby człowieka w tyżce wody utopić”. Cóż to za głupie łby? Tutaj czeka czytelnika niespodzianka, z tych przykrych raczej. Otóż bohater „Łosów pasierbów” trafia w środowisko przesiąknięte propagandą komunistyczną, ludzi nieznających Sowietów, za to bezkrytycznych wobec opowiadanych bajek o szczęśliwym życiu ludzi pracy w Kraju Rad.

Zygmunt nie poddawał się jednak. I oglądając ziemię, do której kupna się przymierzał, tak po swojemu rozmawiał z Bogiem, w dzień Bożego Narodzenia, wstrząśnięty bezbożnym charakterem obchodów tego święta przez innych robotników, a i przez chlebobawców: „Czarnoziem jak na rżysku pszenicznym. Nie wiadomo tylko, jak to głęboko? – Dobył noża, przykucnął i jął kopać: pięć cali, dziesięć, piętnaście. Aż nie dowierzał: – Toż lepsza jak słucka. Co ja mówię! Tu i Podole nie dokaże. Trzeba wszystkie siłyłożyć, aby to zdobyć. Pomóż mi, Boże! Dziś, w dzień narodzin Twych, proszę Ciebie, Małenkiego, nagiego w jasełku i tak jak ja bezdomnego. Daj taki rozum właścicielom i myśl daj im taką, by nie odmówili mi sprzedaży, gdy ich o to poproszę. Przecież ona odłogiem tutaj, bez pożytku żadnego leży. Pozwól nam osiąść tutaj, daj nam wreszcie przytułek jakiś na tym świecie...

A my tu z Domką życie chrześcijańskie zaprowadzimy i dietki swoje po Bosku pochodujemy. Bez rozpusty miejskiej, bez łajanki ulicznej. I u nas człowiek będzie za człowieka i święto za święto, święto nie z nożem przy upieczonym na rożnie



Steven Tyler z Aerosmith.
Jego stryjecznym dziadkiem
był Florian Czarnyszewicz

FOT. WIKIMEDIA

byku, ale z opłatkiem święconym, z kutią bogatą, z pasterką kościelną i pieśniami na cześć urodzin Twoich”.

Polszcza, Ruś i Litwa

Chronologicznie ostatnią książką Floriana Czarnyszewicza byli wydani w 1963 r. w Londynie nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej „Chłopcy z Nowoszysek”. W zamierzeniach autora była to kontynuacja „Nadberezyńców”, naprawdę jednak – wypada powtórzyć za Maciejem Urbanowskim – stała się ich epilogiem. Z naciągniętym happy endem, dodajmy, na szczęście dotyczącym zdecydowanie bardziej spraw osobistych bohaterów powieści niż zagadnień społecznych czy politycznych. W każdym jednak razie bardzo mocno wybrzmiało tu przekonanie autora o tym, że Polacy i Białorusini powinni i mogą żyć ze sobą w harmonii, jak na niedysiejszych obywateli jednego Wielkiego Księstwa Litewskiego przystało.

Bohater powieści, Dońka Lemiesz, polski patriota, tak rozmawia z niejakim Wawiłą z sąsiedniej wioski:

– Ja Polak, ale tutejszy, wspólna nasza ojczyzna i wspólny nasz Boh – Baćka. Tylko że modlimy się do Niego trochę inaczej.

– Bratoku! Jest i malitwy wspólne. Dziadka Ci zna ich dużo.

– Któż to jest?

– Rodny brat mojego baćki. To bardzo mudy człowiek. Umie wszystkie choroby leczyć. Umie bielma z oka zganiać, zamawia załatucha, stawia bańki, zdejmują babam kołtuny, leczy poderwańnia.

– Przyjdę tam kiedyś do was.

– Przyjdź, bratoku, przyjdź. Pomówisz z nim. Dowiesz się, że ni wszystkie muzyki wredne i durne. On umie modlić się po polsku, po litewsku i po łańsku. I wspólne zna malitwy. I mnie jedna nauczył. Powiedziałwszy to, zdjął czapkę i zaczął mówić, żegnając się:

Wa imia Atca i Syna,

To nasza malitwa.

Tak jak Trójca nam jadydna

Polszcza, Ruś i Litwa

Swieciać kroju pabratani

Try rody wialiki,

Jak trój świecznik na Jordani

U rukach władyki.

Adna u Boha Karalewa

Molita za nami,

I z Czastachowy i Paczajewa

I znad Wostraj Bramy.

Paświaci nam Boża trudy

Ślozy naszy i sławu,

Wsim nam miły Nawahrudak

Wilniu i Warszawu.

Wa imia Atca i Syna

To nasza malitwa.

Tak jak Trójca nam jadydna,

Polszcza, Ruś i Litwa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Tomasz Balbus jest historykiem, który swoją pozycję na rynku historycznym potwierdził raz jeszcze, wydając kolejną „solidną” (tom I liczy 1192 strony) książkę – jedną z najlepszych i najbardziej wnikliwych, jakie napisano o polskim podziemiu. Jest to biografia wileńskiego egzekutora, a potem partyzanta Sergiusza Kościałkowskiego „Fakira”. Jest to również monografia wileńskich struktur kontrywywiadu i podziemnego sądownictwa Armii Krajowej. Autor przedstawił w niej niezwykle drobiazgowo poszczególne akcje likwacyjne wykonane przez żołnierzy AK.

Do tych najbardziej znanych należało wykonanie przez głównego bohatera książki wyroku – w kruchcie kościoła św. Katarzyny – na antykomuniście i redaktorze polskojęzycznej wydawanej przez Niemców gazety „Goniec Codzienny”, Czesławie Ancarewiczu. Wyrok, który na niego zapadł, podobnie jak ten wydany na Józefa Mackiewicza, trudno jednak uznać za słuszny i sprawiedliwy, co zresztą stawia pod znakiem zapytania rzetelność niektórych prowadzonych przez wileński Wojskowy Sąd Specjalny postępowań. „Fakir” zastrzelił też na klatce schodowej jej własnego domu niezbyt szkodliwą konfidentkę niemieckiej policji kryminalnej Kripo Danutę Wyleżyńską. Dramaturgii temu wydarzeniu dodało z pewnością to, że bezpośrednim świadkiem egzekucji była jej matka.

Najpoważniejsze jednak konsekwencje pociągnęło za sobą zabicie na ulicy inspektora litewskiej policji kryminalnej Marijonasa Padaby. W odwecie za jego śmierć Niemcy rozstrzelali w Ponarach 10 polskich zakładników. Wypada dodać, że stało się tak pomimo tego, iż Armia Krajowa w Wilnie – w przeciwieństwie do struktur AK działających np. w Warszawie – dokonywała egzekucji tylko tzw. celów zastępczych (agentów policji niemieckiej oraz policjantów litewskich), nie podejmując w obawie przed odwetem prób likwidacji funkcjonariuszy niemieckich służb policyjnych.

Odkrywczą część pracy stanowią fragmenty poświęcone rozpoczętej w październiku 1943 r. współpracy na płaszczyźnie antybolszewickiej, podjętej przez kontrywywiad AK i wileńską placówkę Abwehrstelle 304, kierowaną przez mjr. Juliusa Christiansena. W ramach zawartego porozumienia Niemcy



Ostra Brama w Wilnie
i Sergiusz Kościałkowski

FOT. ARCHIWUM/MATERIAŁY WYDAWCY



Książka miesiąca / Sergiusz Kościałkowski „Fakir”

Wileński egzekutor

zobowiązali się dostarczać Polkom broń, samochody oraz mocne dokumenty, Polacy zaś mieli przekazywać informacje o bolszewickim podziemiu. Owocem owej kooperacji było kilka przeprowadzonych akcji antysowieckich. Pierwsza odbyła się 11 grudnia 1943 r., kiedy to do Rudziszek udała się sześciuosobowa grupa egzekucyjna AK, mająca za zadanie wykonać wyrok śmierci na osobach oskarżonych o agenturalną współpracę z Sowietami. Po dotarciu na miejsce likwidatorzy zgłosili się na posterunek żandarmerii, skąd otrzymali pomoc w postaci sań z końmi oraz trzech żołnierzy ochrony. Konspiratorzy przemieścili się do Gudziszek, gdzie zastrzelili trzy osoby: Litwina, Białorusina i Polaka.

4 czerwca 1944 r. została uprowadzona przez AK-owców i wywieziona samochodami (dostarczonymi przez niemiecki wywiad) do jednego z opuszczonych domów na terenie getta czwórka

działaczy komunistycznych (dwie osoby skazane były przez WSS na karę śmierci). Tam poddano ich brutalnemu przesłuchaniu (porwani byli bici), dzięki czemu ujawnili oni wiele interesujących szczegółów dotyczących swej działalności. Po zakończonym śledztwie zatrzymanych przekazano w ręce niemieckiej żandarmerii polowej, a ta wydała ich policji bezpieczeństwa. Problematyka relacji polsko-niemieckich kończy pierwszą część biografii „Fakira”. Z niecierpliwością oczekujemy na pojawienie się tomu drugiego. ©

Arkadiusz Karbowski



TOMASZ BALBUS
„»FAKIR«. SERGIUSZ
KOŚCIAŁKOWSKI...”

IPN

Misja: zabić Bieruta!

Bolesław Bierut miał zginąć we własnym mieszkaniu. Na strzepy rozerwać go miały bomby wrzucone do środka przez otwory wentylacyjne. Akcję przeciwko zniechęconemu przewodniczącemu KRN planowali ludzie płk. Franciszka Żaka ps. Wir, miało do niej dojść pod koniec grudnia 1944 r. Śmierć Bieruta wydawała się najlepszą zemstą za coraz bardziej krwawe represje wobec członków podziemia niepodległościowego.

Przygotowania do zamachu szły sprawnie, cel misji wydawał się w zasięgu ręki. I wtedy, w ostatniej chwili, kluczowy członek grupy zamachowców, który miał dostarczyć bomby, zniknął. Co się z nim stało? To wciąż nierozwiązana zagadka. W każdym razie Bierut mógł wówczas spać spokojnie – nad jego bezpieczeństwem czuwali bowiem fachowcy z NKGB.

Sowieccy goryle Bieruta znali się na swojej robocie, co dobitnie udowodnili kilka tygodni wcześniej. Grupa AK-owców planowała wówczas zastrzelić Bieruta w teatrze w Lublinie podczas obchodów 27. rocznicy wybuchu rewolucji październikowej. Ta grupa zamachowców miała jednak dużo mniej szczęścia niż ludzie płk. Żaka. Funkcjonariusze sowieckiej bezpieki zorientowali się, że AK-owcy planują zamach na ich podopiecznego, aresztowali spiskowców i błyskawicznie ich rozstrzelali.

Najbardziej tajemnicza była próba zamachu na życie Bieruta dokonana została w lutym 1945 r. w Hotelu Francuskim w Krakowie. Człowiek przebrany w mundur kapitana NKWD zdołał wówczas wdrzeć się do apartamentu Bieruta.

„Lewą ręką nacisnął klamkę – pisze Marcin Szymaniak. – Prawą wyciągnął pistolet z kabury. Osobnik siedzący za biurkiem w przedsionku apartamentu podniósł nań wzrok. Wąsik, czarne włosy zaczesane do tyłu – Bierut! Fałszywy enkawudzista błyskawicznie uniósł rękę. Nacisnął spust w chwili, gdy tamten otwierał usta do krzyku”.

Wszystko, co stało się w ciągu następnych kilku sekund, sprawiło, że wśród partyjnej wierzuszki PPR pojawiły się plotki, iż Polską Ludową rządzi... sobowtór Bieruta. Ta książka to arcyciekawa opowieść o zbrodniach na szczytach władzy w Polsce. Jak pokazuje Marcin Szymaniak, podobnie emocjonujące historie zdarzały się w naszej historii już w średniowieczu. ©© **Piotr Włoczyk**



MARCIN SZYMANIAK
„POLSKIE ZAMACHY”

ZNAK HORYZONT

Podróżnicy przemytnicy

Są tylko dwie rzeczy niezwykłe na świecie – Czerwona armia i polski turysta – to opinia jednego z sowieckich celników, przywołana przez autora książki. W czasach PRL Polacy handlowali bowiem z obywatelami „bratnich krajów na potęgę”. Oczywiście wszystko odbywało się na wyjazdach turystycznych. Z Polski wyjeżdżały w „podróż” m.in. kryształ i sprzęt turystyczny, a wracały np. trudno dostępne u nas sprzęty elektroniczne i AGD, a także mnóstwo sowieckiego złota. Na jednym

takim wyjeździe łatwo można było zarobić drugą roczną pensję. Opisy sposobów na przemyt budzą podziw. Ta książka to pomnik dla polskiej zaradności. ©© **(m.w.)**



JAN GŁUCHOWSKI
„NA SAKSY I DO BUŁGARII.
TURYSTYKA HANDLOWA
W PRL”

BELLONA

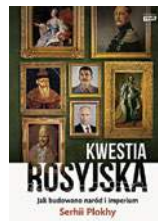


WŁODZIMIERZ SULEJA
„RZECZ O JÓZEFIE
PIŁSUDSKIM (1867–1935)”

IPN

O MARSZAŁKU Z SYMPATIA

Książka pióra prof. Włodzimierza Sulei jest zdecydowanie najlepszą biografią Marszałka. Autor nie ukrywa swojej sympatii do bohatera książki, lecz nie popada w żadnym razie w hagiograficzny ton. Stwierdza, że nie pragnie usprawiedliwiać Piłsudskiego ani go potępiać. Chce jedynie go zrozumieć. A legenda Marszałka żyje i „przypomina o wartościach ważnych w życiu każdego państwa”. ©© **(t.s.)**



SERHII PLOKHII
„KWESTIA ROSYJSKA.
JAK BUDOWANO NARÓD
I IMPERIUM”

ZNAK HORYZONT

KLUCZ DO MOSKWY

Fascynująca opowieść o korzeniach rosyjskiego imperializmu i myślenia o narodzie. Między innymi o tym, jak XIX-wieczna koncepcja trójedynego narodu – złożonego z Wielkorusinów, Małorusinów (Ukraińcy) i Białorusinów – do dziś głęboko tkwi w rosyjskiej psychice. Bez takich książek nie da się zrozumieć dzisiejszej Rosji i jej obsesji na punkcie miejsca Ukrainy i Białorusi w świecie. ©© **(p.w.)**



MARK BOWDEN
„HUE 1968”

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

U.S. ARMY KONTRA VIETCONG

Konflikt w Wietnamie był jedną z najbardziej krwawych wojen w historii Ameryki. A bój pod Hue był jej najbardziej krwawą bitwą. Mark Bowden – autor głośnego „Polowania na Escobara” – opisuje te zmagania w sposób niezwykle wartki i naturalistyczny. Przedstawia je z perspektywy sztabowców, ale również z perspektywy zwykłych żołnierzy. Amerykanie wygrali tę bitwę, ale wojny wygrać nie byli już w stanie. ©© **(p.z.)**



Tymczasowa Rada Stanu.
Jej członkiem był Józef
Piłsudski FOT. WIKIPEDIA

Korepetycje z historii

Erudycja doktora historii Tymoteusza Pawłowskiego, posiadającego poza tym – co ważne – także doświadczenie nauczycielskie, została połączona z talentem narracyjnym Sławomira Kopra, którego szerzej przedstawiać nie ma potrzeby. Jednak nie każdy wie, że jest on także historykiem z wykształcenia. Tytuł książki dwóch zatem historyków doskonale ujmuje jej treść. Jednak nie jest to książka jedynie dla gimnazjalistów, licealistów, kandydatów na wyższe studia. To także propozycja dla tych, którzy świętując stulecie odzyskania

niepodległości przez Polskę, poczuli się trochę nieswojo, zauważając, że są może niezbyt douczeni. Jeśli chcą nadrobić braki, to jest to znakomita książka właśnie dla nich.

Na okładce książki widnieje Józef Piłsudski. Trudno sobie wyobrazić kogoś innego symbolizującego dążenie Polaków do niepodległości. Oddając, co się należy Komendantowi i Marszałkowi, autorzy pokazują oczywiście też inną opcję, związaną

z Romanem Dmowskim. Stwierdzają jednak, że to właśnie Piłsudski przemówił bardziej do serc Polaków. I nie chodziło o romantyczne porywy. Piłsudski trzeźwo spoglądał na rzeczywistość. Skoro większość ziem dawnej Rzeczypospolitej, z Wilnem i ze Lwowem, była w zaborze rosyjskim, to właśnie Rosja jest wrogiem numer jeden. Jest nim zresztą i dziś...

Pawłowski i Koper zwracają uwagę na zupełnie pomijany dziś akt 5 listopada (1916 r.). Z woli cesarza niemieckiego i austriackiego powstało Królestwo Polskie. „Wprawdzie nie dawał Polakom niczego konkretnego, ale zmieniał kwestię polską z wewnętrznej sprawy państw zaborczych w problem międzynarodowy”. Autorzy podkreślają, że już wówczas powstały niesuwerenne władze ustawodawcze i wykonawcze oraz polskie sądownictwo i oświata, z językiem polskim, oczywiście. Powstała też Polska Siła Zbrojna, która w listopadzie 1918 r. stała się fundamentem Wojska Polskiego. To właśnie Rada Regencyjna zapowiedziała w październiku tamtego roku wybory do Sejmu. A pomijany, również dziś, tzw. rząd lubelski socjalisty Daszyńskiego miał, co podkreślają autorzy, „znaczenie olbrzymie”, gdyż wyznaczył kierunek

w stronę budowy państwa republikańskiego i demokratycznego.

A co najważniejsze, zapowiadając reformy społeczne, postawił skuteczną tamę bolszewizmowi. ©©

Tomasz Stańczyk

**SŁAWOMIR KOPER,
TYMOTEUSZ
PAWŁOWSKI
„KOREPETYCJE
Z NIEPODLEGŁOŚCI”**

W.A.B.



Królestwo Franka

Leszek Adamczewski wyluskał z dziejów Generalnego Gubernatorstwa to, co dziś może zaciekać czytelników. Z założenia nie jest to więc pełna historia ponurej niemieckiej okupacji, naznaczonej śmiercią milionów Polaków i Żydów, lecz zbiór czasami nawet sensacyjnych historii. Takich jak choćby domniemana próba zamachu na Adolfa Hitlera jesienią 1939 r. w Warszawie. A także sprawa zrabowanych w naszym kraju – także przez generalnego gubernatora Hansa Franka – dzieł

sztuki. Do dziś nie odnaleziono i Polsce nie zwrócono „Portretu młodzieńca” Rafaela. Jednak najcenniejszym łupem dla Niemców byłaby „Bitwa pod Grunwaldem” Jana Matejki. O tym, jak ją wywieziono z Warszawy i ukrywano, pisze autor w jednym z rozdziałów. Inny opowiada o ślubie z trupem. A był to trup generała policji i SS zastrzelonego przez żołnierzy Armii Krajowej. Nie mogło zabraknąć w tej książce istotnego polskiego wkładu w rozszyfrowanie niemieckiej „Wunderwaffe” – rzekomo

cudownej broni, którą Niemcy chcieli pokonać koalicję aliantów. Świetna lektura przybliżająca realia okupacji niemieckiej. ©© (t.s.)



**LESZEK ADAMCZEWSKI
„W KRÓLESTWIE HANSA
FRANKA. SENSACJE
Z GENERALNEGO
GUBERNATORSTWA”**

REPLIKA

Zbigniew Herbert na celowniku SB

W październiku 2000 r. gen. Krzysztof Majchrowski, były szef Departamentu III MSW, strzela sobie w głowę z zachowanego służbowego pistoletu. Był długoletnim specem od inwigilacji oraz terroryzowania środowiska polskich literatów i intelektualistów związanych z opozycją. Osobiście prowadził m.in. przesłuchania i nadzorował inwigilację Zbigniewa Herberta.

W 1973 r. w konspiracyjnym mieszkaniu SB przy hali na Koszykach w Warszawie dwaj oficerowie – w tym Majchrowski – spotykają się z TW „Kurierem”.

Dokładnie przedstawia on skuteczne zablokowanie przyznania Nagrody Nobla Zbigniewowi Herbertowi. Relacjonuje stan „konspiracyj” literatów z ZLP, stale podpisujących kolejne listy protestacyjne. Prosi o przeniesienie na Zachód, najchętniej do Francji lub Kanady. Kolejny raz spotyka go odmowa – jest świetny w swojej robocie tu, w Warszawie – i ma tu dalej pracować! TW „Kurier” wyszarpuje nagle pistolet i... strzela sobie w łeb! Czy gen. Majchrowski sięgnął po wzór rozwiązywania życiowych problemów, jakiego był świadkiem przed laty?

Otwieram nowe, poszerzone wydanie dzieła Joanny Siedleckiej o Herbercie. Książka przypadkowo otwiera się na reprodukcji ankiety TW „Kuriera”. Patrzę na zdjęcie i natychmiast po 50 latach poznaję pana Henia z jedynej prywatnej knajpy na Starówce, działającej pod nazwą „U Pana Michała” na Freta. Czytam jego tajne dane. Był nastolatkiem zwerbowanym przez NKWD na podbitych obszarach. Sowieckich agentów „legendowano” pod najbardziej pospolitymi nazwiskami występującymi w danym kraju. Do Polski przyjechał z Rumunii jako 19-letni Henryk Malinowski, syn Józefa. Matka – Alicja Awerus-Brenacha (rumuńska Cyganka?). „Henryk Malinowski” zostaje oficerem wywiadu PRL, śledczym MBP, a po 1956 r. przechodzi do

SB. Zna świetnie rosyjski, francuski i rumuński. Ze zdjęcia patrzy na mnie młody południowiec o semickim wyglądzie – zastępca dyrektora administracyjnego ZLP, facet, który decydował o wydawaniu paszportów i wyjazdach zagranicznych polskich literatów!

Z książki dowiadujemy się, kto i jakimi intrygami utracił kandydaturę Zbigniewa Herberta do Nagrody Nobla. Szwecja i Komitet Noblowski były za przyznaniem nagrody, ale Polska (Wydział Kultury KC PZPR – i wykonawca decyzji TW „Kurier” – przeciw). Drugi wątek to inwigilacja Herber-

ta przez SB do końca systemu. TW „Andrzej Krost” – reżyser Marek Piwowski – został zainstalowany nad mieszkaniem Herberta. Trzeci wątek to rola Katarzyny z Dzieduszyckich Herbertowej w życiu poety i jej zemsta na nim. Pierwszy powód zemsty – zdrady męża. Nie była bowiem jedyną i przede wszystkim największą miłością w życiu poety. Drugi powód – pani Katarzyna nareszcie mogła po śmierci Herberta zarówno przejść do politycznego salonu środowiska Agory, zabierając ze sobą prawa do twórczości Herberta, jak i stać się szafarką dostępu do listów, rękopisów, zdjęć i rysunków.

W Roku Herberta – 2018 – ukazały się dwie obszerne i jakże różne biografie poety. Pan Andrzej Franaszek z kręgu najbliższych dworzan pani dziedziczki – „Herbert. Biografia” – zagadał, zadepłtał, zanudził poetę drugi raz na śmierć. Poprawność polityczna i autocenzura pod dyktando pani wdowy czynią z jego książki najcięższy (wagowo też) niewypał biograficzny trzydziestolecia III RP. Natomiast książka Joanny Siedleckiej znika z półek księgarskich, budząc zrozumiętą irytację salonu i jego „autorytetów” z powodu bezpowrotnie utraconego monopolu na narzucanie Polakom swojej wersji historii, interpretacji literatury i przekazu medialnego. ©©

Remigiusz Włast-Matuszak

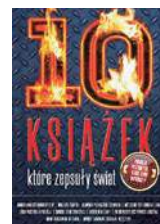
Książki zła

Autor omawia właściwie nie 10, ale 15 książek. Cztery na początku jako „zapowiedź chaosu”, 10 w środku jako korpus „szczególnie toksycznych” i jedną na końcu jako „niehonorowe wyróżnienie”. Są to: Machiavelli „Książę”; Kartezjusz „Rozprawa o metodzie”; Hobbes „Lewiatan”; J.J. Rousseau „Rozprawa o pochodzeniu i podstawach nierówności między ludźmi”; Marks i Engels „Manifest komunistyczny”; Mill „Utylitaryzm”; Darwin „O pochodzeniu człowieka”; Nietzsche „Poza dobrem i złem”; Lenin „Państwo a rewolucja”; Sanger „Sedno cywilizacji”; Hitler „Mein Kampf”; Freud „Przyszłość pewnego złudzenia”; Mead „Dojrzwienie na Samoa”; Kinsey „Zachowanie seksualne mężczyzny”; Friedan „Mistyka kobiecości”.

Autor zapowiada we wstępie „zdemaskowanie zła”, które niosą te książki. Dotrzymuje słowa. To wspinała, choć napawająca grozą lektura. Wiker odkrywa pogardę dla wartości chrześcijańskich u wszystkich autorów. Precyzyjnie ustala zabójcze związki między negacją społeczeństwa u Rousseau i Marksa czy rozwój zbrodniczej myśli eugenicznej od Darwina przez Nietzschego do Hitlera. Podobnie Sanger, Kinsey i Friedan wiodą seks na moralne manowce.

Przytacza frapujące fakty. Otóż Machiavelli sam trafił do więzienia, gdzie poddano go torturze zwanej strappado, podciągając na sznurze przywiązany do skrępowanych na plecach rąk. „[...] Spojrzał on zło w twarz i... uśmiechnął się doń przyzwalająco”. To on stwierdził, że cel w polityce uświęca najbardziej haniebne środki, a wyjątkowo godne pożałowania dla księcia jest „dotrzymywać wiary i postępować w życiu szczerze”. ©©

Maciej Rosalak



BENJAMIN WIKER
„10 KSIĄZEK, KTÓRE
ZEPSUŁY ŚWIAT”

FRONDA

Obfitość publikacji o polskich czołgach i samolotach, które nie zdążyły na Wrzesień '39, pokazuje, że temat cieszy się szczególną popularnością. Mnożą się książeczki poświęcone PZL-50 „Jastrząb” czy PZL-38 „Wilk”, od pewnego czasu nie ma numeru specjalizujących się w historycznych militariach magazynów, w którym nie byłoby czegoś o prototypach i planach „pancernych pięści Śmigłego-Rydza”, a umieszczanie na okładce czołgu 7TP w różnych ujęciach zdarza się naprawdę zbyt często, żeby nie domyślać się, iż zauważalnie podnosi to sprzedaż.



**Rafał A.
Ziembkiewicz**

/ Felieton

Sny o możliwości

Tendencja ta odbiła się również w cyberświecie. Nie gram w „World of Tanks”, ale z samych reklam wiem, że można tam spotkać nie tylko „wzmocniony” 7TP, lecz także 10TP, który w rzeczywistości nie wyszedł z fazy prototypu, i 4TP oraz PZInż130, które nie weszły do seryjnej produkcji, a nawet 25TP, który był tylko luźną koncepcją. Bogiem a prawdą nie wiadomo zaś, czy zaistniał przed Wrzesniem nawet w takiej formie.

Jest to oczywiście psychologicznie zrozumiałe – taki historyczny plaster na zboląłą duszę, że Polak by potrafił, gdyby... No właśnie – gdyby co?

Jeśli wgłębić się w lekturę, to słowem najczęściej się pojawiającym w opisach wszystkich tych konstrukcji, które, gdyby były, rozgromiłyby niechybnie marne niemieckie panzery I i II oraz postrzelowały messerschmitty, jest słowo: „opóźnienie”.

Nie inaczej jest zresztą z historią tego sprzętu bojowego, który do Wojska Polskiego trafił i był

w wojnie wykorzystany. Ot, ściągając z półki pierwszą z wierzchu (bo, zdaje się, stosunkowo najnowszą) książeczkę o PZL-23 „Karaś”. Prototyp miał być na wrzesień 1933, ale ostatecznie obloty rozpocząć można było dopiero w sierpniu 1934 r. Pierwszą serię 200 płatowców planowano wprowadzić do linii w 1936 r., ale do końca tego roku wyprodukowano tylko 46 sztuk (problemy z jakością już pomińmy). Sztab zmienił więc zamówienie – 200 sztuk do końca 1937 r., ale i z tego udało się zbudować połowę. A i tak do połowy tych zbudowanych już samolotów zabrakło uzbrojenia i aparatury nawigacyjnej. Na dobrą sprawę plan na rok 1936 zrealizowano dopiero w roku 1938. „Karaś” więc, na desce kreślarskiej nowatorski, gdy w końcu doczłapał się do eskadr, niczym specjalnym nie imponował. To i tak lepiej niż niedoszli następcy tankietek TKS, czołg lekki 4TP i pływający PZInż 130, rodzone tak długo, że w końcu okazały się zbyt przestarzałe, by je produkować.

Sprzęt wojskowy i tak traktowano priorytetowo – produkcja cywilna leżała już zupełnie, czego przykładem losy samochodu CWS albo pasażerskiego PZL-44. I, wbrew wybielającej sanację legendzie, nie był to skutek braku pieniędzy. Pieniądzy faktycznie brakowa-

/ **Taka była istota sanacji: potworna biurokracja, kolesiostwo i „ogólna niemożność wszystkiego”**

ło – bo i skąd, gdy prowadzono politykę, jak pisał ówczesnie Giedroyc, która traktowała zysk jako coś niemoralnego. Przede wszystkim jednak winę ponosił socjalizm; choć oczywiście ówczesnie nikt tak rządów oficerów „potępiających zysk” i obsesyjnie skupionych na walce z „paskarstwem” nie nazywał. Taka była jednak istota sanacji: naiwnie pojmowana „sprawiedliwość społeczna”, potwór na biurokracja, kolesiostwo i „ogólna niemożność wszystkiego”. Polak międzywojenny wszystko mógł wymyślić, ale zrealizować cokolwiek dawało się rzadko i kosztem nadludzkich wysiłków. Często myślę, że, wobec nierozliczenia sanacji, tak nam zostało do dziś. ©©



Piotr Semka

/ Felieton

Wolne Miasto

– dziwna fantazja

Ostatnio w dzienniku „Süd-deutsche Zeitung” znalazłem recenzję niemieckiego wydania książki dla dzieci „Trzy, dwa, raz – Günter Grass” pióra polskiej pisarki Elżbiety Pałasz. Przyznam się, że umknęła mi polska premiera książki w 2015 r. Wydała ją Oficyna Gdańska, jak czytam w książce – „miejskie wydawnictwo non profit integrujące lokalną społeczność, budujące tożsamość kulturową współczesnego Gdańska i promujące czytelnictwo [...] przy wsparciu Prezydenta miasta Gdańska”. Bohaterem książki jest mały Günter Grass pokazujący nam przy okazji typowo dziecięcych przygód – zgubienie psa, wizyta cyrku czy pełna perypetii podróż z gęsią – swoje miasto w latach 30.

Problem w tym, że książka opowiada o świecie, który dla niemieckiego czytelnika jest w miarę normalny, ale dla polskiego już nie.

Autorka podkreśla multikulturalizm „tamtego” Gdańska, którego symbolem są wizyty Güntera u krewnych na Kaszubach i wuj Franz, pracujący na Poczcie Polskiej. Brak jest jednak przypisów informujących młodego czytelnika o całej nie-normalności sytuacji w Wolnym Mieście.

Bez wystarczającego wyjaśnienia dowiadujemy się, że młody bohater zapisał się z kolegą Joachimem do Jungvolku, czyli odpowiednika zuchów w Hitlerjugend: „Przyjaciele nosili te same mundury i chodzili na zbiórki, gdzie śpie-

wali narodowe pieśni, jeździli na obozy i brali udział w grach i zabawach”. Gdy chłopcy wędrują z gęsią przez Gdańsk, nagle „obok słychać jakieś krzyki – to pewnie bojówka hitlerowska bije się z Polakami”. Autorka wraz z młodym Günterem nie zaznacza zbyt wiele, że dzieje się coś specjalnego. Za chwilę jednak pojawia się ton sygnalizujący coś nie-normalnego.

/ Bez wystarczającego wyjaśnienia dowiadujemy się, że młody bohater zapisał się z kolegą Joachimem do Jungvolku, czyli odpowiednika zuchów w Hitlerjugend

To młodzi hitlerowcy ze swastykami na rękawach wybijają szyby wystaw sklepowych w żydowskich sklepach. Dopiero wtedy Günter przypomina sobie słowa mamy oburzonej zachowaniem władz wobec Żydów: „Tak nie można postępować z ludźmi”. O jakimś oburzeniu biciem Polaków nic się nie dowiadujemy. Tyle że dlaczego chłopak jest zdumiony? Czy w Jungvolku nie mówiono mu nic o Żydach jako wrogach?

Z książki nie dowiadujemy się, czy wstąpienie taty do NSDAP było aktem ideowym czy oportunistycznym. Günter dość spokojnie przyjmuje zniknięcie wuja Franza, rozstrzelanego, jak się potem dowiaduje, za walkę w obronie Poczty Polskiej. Na tyle spokojnie, by z przyjacielem Joachimem podniecać się wyborem przyszłości – iść do Luftwaffe czy Kriegsmarine?

Po wojnie rodzina Grassów musi wyjechać do Niemiec. Polski czytelnik nie dowie się, że książkowy Günter zgłosił się do Waffen-SS, lecz tylko, że po latach został pisarzem i doszedł do prawdy, iż wuj Franz został rozstrzelany i spoczywa na cmentarzu na Zaspie.

Gdzie tkwi słabość książeczki? Autorka nie umie wyjść ze sprzeczności. Albo Freie Stadt Danzig to miejsce miłe, jak wiele innych miast, o których opowiadają dziecięcy bohaterowie – albo miasto, gdzie rozwija się coś złego. Próby wprowadzania półgębkiem do narracji niepokojących akcentów są nieczytelne, bo nazwy „Poczta Polska”, „Jungvolk” czy „NSDAP” wyjaśniane są zdawkowo. I nie brzmią jako wyjątkowo złowrogo, bo otacza je miła mieszczańska atmosfera ze wspomnień chłopca. A on sam pozostaje do końca niewinny, bo w Jungvolku gra się tylko w fajne zabawy, a o Waffen-SS niczego się nie dowiadujemy.

Czy polskiemu (ale i niemieckiemu) dziecku nie może się od tego zrobić w głowie mętlik? Nikomu w oficynie gdańskiej jakoś ta myśl nie spędziła snu z powiek. ©©

1917–1939 / Walka z religią w Sowietach

Księża Kazimierz Naskręcki (drugi z prawej) i Teofil Skalski (trzeci z prawej) wkrótce po powrocie ze Związku Sowieckiego, 1932 r.

FOT. NAC

Męczeństwo Kościoła na kresach



Tomasz Stańczyk

/ Prawie 500 księży było represjonowanych, wielu zmarło w łagrach i na zesłaniu, a 140 rozstrzelano

Dla bolszewików, którzy w drodze zamachu stanu obalili w 1917 r. legalne władze Rosji, największą przeszkodą w urzeczywistnieniu komunistycznych ideałów była religia. Bóg stał się konkurentem w dążeniu komunistów do bezwzględnego podporządkowania sobie społeczeństwa. Dlatego rozpoczęli

wojnę z religią, atakując prawosławną Cerkiew i Kościół katolicki.

Związki wyznaniowe zostały pozbawione własności świątyń, które przeszły na rzecz państwa. Wierni mogli je tylko dzierżawić, włączając w to przedmioty służące do kultu. Zakazano nauczania religii dzieci i młodzieży. Było to przestępstwo (!). W 1922 r. ukazał się dekret konfiskujący wszelkie cenne dobra znajdujące się w kościołach i cerkwiach, także te służące wykonywaniu kultu. Bolszewicka propaganda głosiła, że zostaną przeznaczone na walkę z głodem. Lenin pisał poufnie do członków biura politycznego, że żaden inny moment, poza panującym właśnie straszliwym głodem, nie zapewni pozytywnej reakcji ze strony mas na dekret o konfiskacie dóbr zgromadzonych w świątyniach. Za klęskę głodu byli odpowiedzialni w ogromnej mierze sami bolszewicy, ale

Lenin bynajmniej nie wspominał, że spieniężone kosztowności zostaną przeznaczone na żywność.

Gdy wydano dekret o konfiskacie, jedynym biskupem katolickim w Rosji był abp Jan Cieplak, administrator archidiecezji mohylewskiej. Ostatni jej ordynariusz – abp Edward Ropp, wywodzący się ze szlachty inflanckiej – został aresztowany, jako pierwszy z biskupów, w 1917 r. przez bolszewików i skazany na śmierć. Dzięki interwencjom dyplomatycznym udało się uzyskać jego zwolnienie i zapewnić mu wyjazd do Polski. Latem 1920 r., wraz z cofającymi się przed kontrofensywą Armii Czerwonej wojskami polskimi, opuścili diecezję na dawnych ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej Ignacy Dub-Dubowski, biskup żytomierski, i Piotr Mańkowski, biskup kamieniecki.

Pierwszy z nich był szykanowany i przejściowo więziony przez bolszewi-

ków. Chronili go wierni, nie tylko katolicy, lecz także prawosławni oraz Żydzi, którzy – wdzięczni za zapobieżenie pogromom – wymogli jego uwolnienie. Przeżył zamach na swoje życie. Biskup diecezji mińskiej Zygmunt Łoziński odmówił bolszewikom deklaracji, że uznaje ich władzę. Został aresztowany i wówczas powiedział, że do końca życia będzie zwalczał komunizm promujący bezbożnictwo i bezprawie. Został uwolniony dzięki interwencji rządu polskiego i wrócił do kraju w 1921 r.

Proces arcybiskupa

Pasterze opuścili swoją owczarnię. Gdyby jednak nie wyjechali, podzieliliby los abp. Cieplaka. Nie godził się on na zakaz nauczania religii dzieci i młodzieży, a także na zabieranie kosztowności, a wśród nich były przecież także sprzęty liturgiczne, potrzebne do odprawiania nabożeństw.

W 1923 r. abp Cieplak został wezwany wraz z kilkunastoma księżmi do Moskwy. Tam zostali aresztowani. W akcie oskarżenia zapisano, że zebrania księży katolickich od 1918 r. z udziałem abp. Roppa, a następnie abp. Cieplaka były kontrrewolucyjnym spiskiem. Księdza Edwarda Juniewicza oskarżano m.in. o czynny opór wobec władzy. Gdy przyszli bolszewicy urzędnicy забраć wszystko, co cenne z kościoła, odpowiedział: „Paszli won!”. Ksiądz Lucjan Chwieńko, zapytany, czy w przyszłości będzie uczył dzieci religii, odpowiedział: „Tak jest, będę to czynił”. Księdza Budkiewicza oskarżano o porozumiewanie się z obcym państwem (Polską, rzecz jasna), a na dowód tego prokurator przytoczył... telegram podpisany przez abp. Roppa i ks. Budkiewicza wzywający otwarcia poselstwa polskiego w Moskwie.

Sąd uznał, oczywiście, tezę o kontrrewolucyjnej organizacji, którą rzekomo założyli oskarżeni. Arcybiskup Jan Cieplak, uznany za jej przywódcę, oraz ks. Konstanty Romuald Budkiewicz, określony jako szef sztabu, zostali skazani na śmierć. Pozostałym księżom wymierzono kary więzienia od kilku do 10 lat. Sowieci obawiali się jednak stracenia arcybiskupa,

bali się, że wzburzy to wiernych i opinie światową. Postanowiono więc wydalić go z Rosji. Żeby jednak pokazać swoim fanatycznym zwolennikom, że są twardzi, rozstrzelali ks. Budkiewicza. Część księży wyjechała ze Związku Sowieckiego w drodze wymiany więźniów między Polską, Litwą a ZSRS. Pozostali po odbyciu wyroków zasądzonych w procesie moskiewskim byli prędzej czy później aresztowani. Ksiądz Antoni Wasilewski zmarł w łagrze prawdopodobnie w 1929 r., ks. Jan Trojgo w 1932, ks. Leonidas Fiodorow zmarł w 1935 r. na zesłaniu. W 1937 r. NKWD, prowadząc tzw. operację polską, aresztowało ks. Piotra Janukowicza. Oskarżono go o kierowanie komórką powstańczą rzekomej Polskiej Organizacji Wojskowej i rozstrzelano.

Ksiądz Teofil Skalski został, po wyjeździe w 1920 r. biskupa Dub-Dubowskiego, wikariuszem diecezji żytomierskiej, liczącej 350 tys. wiernych. Gdy polskie wojska wycofywały się z Żytomierszczyzny, nalegano, by ksiądz się ewakuował, gdyż w przeciwnym razie może go spotkać smutny los. Wspominał: „Czuję, że zdecydować się nie mogę, że opuścić parafię i rządy diecezji nie mam prawa. Wpadłem do kościoła, modłę się, leżę krzyżem, ale jeszcze nie wiem, jak postąpię”. Po wahaniach podjął decyzję: „Panie Mańkowskie wychodzą, płacząc. »Co ksiądz robi, przecież księdza zamordują!« – wołają. Ale jakaś zaciętość,

jakiś honor nakazuje mi pozostać niewzruszonym. Nie wstaję nawet w nocy pożegnać się z odjeżdżającymi księżmi i pozostaję ufny, że spełniam konieczny życia obowiązek, że Opatrzność mną się zaopiekuje” (Teofil Skalski, „Terror i cierpienie. Kościół katolicki na Ukrainie 1900–1932. Wspomnienia”, Lublin 1995).

Diecezję kamieniecką, liczącą 350 tys. wiernych, opuściła połowa księży. Wyjechali do Polski przed nadejściem Armii Czerwonej. „Było to spowodowane tym – tłumaczył Witalij Rosowski – że w czasie zwycięskiej ofensywy armii polskiej w 1920 roku oficerowie polscy zatrzymywali się przeważnie na plebaniach, a wielu księży nie ukrywało swych sympatii dla wojska polskiego. Tym samym zostali całkowicie skompromitowani w oczach władz sowieckich, które ponownie zajmowały teren”

(Witalij Rosowski, „Diecezja kamieniecko-podolska w latach 1917–1921”, w: „Pasterz i twierdza. Księga jubileuszowa ofiarowana księdzu biskupowi Janowi Olszańskiemu, ordynariuszowi diecezji w Kamieńcu Podolskim”, Kraków, Kamieniec Podolski 2001).

Dlatego biskup kamieniecki Piotr Mańkowski nie zabraniał im wyjazdu. Dwa lata później w Kamieńcu Podolskim odbył się proces kilku księży, oskarżonych o podburzanie wiernych do obrony katedry przed ograbieniem. Zapadły wyroki śmierci. Bolszewicy jednak jeszcze się miarkowali i wyroki zostały zamienione na kary więzienia. Księża z Kamieńca Podolskiego nie uniknęli jednak późniejszych aresztowań. Jeden z nich, ks. Ryszard Szyszko-Bohusz, po spędzeniu w łagrach ośmiu lat został, w 1938 r., rozstrzelany.

Sowieccy komuniści stosowali także taktykę nakłaniania księży do współpracy, wymuszania na nich oświadczeń krytykujących Kościół i popierających władzę sowiecką. Tylko bardzo nieliczni księża się nie ugięli. Ksiądz Eugeniusz Perkowicz z Płoskirowa wystąpił w 1925 r. ze stanu kapłańskiego i wziął udział w antyreligijnej agitacji. Komuniści „nagrodzili” go po kilku latach aresztowaniem i rozstrze-



laniem w 1937 r. jako członka rzekomej Polskiej Organizacji Wojskowej.

„Po wystąpieniu Perkowicza nastąpiła jeszcze większa konso-lidacja i jednomyślne potępienie tego postępu. Ksiądz Lewiński z Winnicy oświadczył wówczas, że »nie po to wstąpiliśmy w stan kapłański, żeby służyć Bogu tylko wtedy, kiedy wszystko toczyło się spokojnie i życie się do nas uśmiechało, a kiedy w uko-chany nasz Kościół zaczęły uderzać grom za gromem ze strony całego świata, zdradziecko i haniebnie porzucamy go, bo praca dla Kościoła jest niewy-godna i niebezpieczna«” (Witalij Rosowski, „Dzieje rzymskokatolickiej diecezji kamienieckiej w latach 1918–1941”, Lublin 2008).

Ofiarą nacisków sowieckiej GPU stał się ks. Andrzej Fedukowicz. Został zwol-niony za obietnicę współpracy z GPU. Nie chciał jednak tego robić. Został ponownie aresztowany i zmuszony do podpisania listu, w którym pod dyktando napisał list do papieża, że nieprawdą jest, jakoby Kościół katolicki był prześladowany, a księży są wyłącznie aresztowani z po-wodu szpiegostwa na rzecz Polski. Po czym został zwolniony.

Ksiądz Skalski wspominał: „W nocy o 10-tej dotarł on, biedaczysko, do proboszcza parafii katolickiej Charkow-skiej śp. ks. Ilgina i od razu upadł mu do nóg, łkając okropnie, że żyć nie może, mając takie wyrzuty sumienia, że naraził kapłanów polskich, Katolicki kościół i Rząd kochanej tak przez niego Polski”. W 1925 r. podpalił się, oblawszy benzyną. Przed śmiercią powiedział: „Ja przeciw ludzkości zgrzeszyłem, musiałem więc siebie ukarać” (Teofil Skalski, „Terror i cierpienie. Kościół katolicki na Ukrainie 1900–1932. Wspomnienia”, Lublin 1995). GPU rozpuściło plotkę, że przyczyną samobójstwa były pogroźki i prześladowa-nia ze strony księży lub nawet agentów polskich.

Ksiądz Ilgin, który udzielił schronienia ks. Fedukowiczowi, także był nama-wiany do współpracy z GPU. Odmówił.



Katedra w Kamieńcu Podolskim

FOT. WIKIPEDIA/OLEG BUDZIEJ

Został aresztowany. Zarzucano mu wspieranie kontrrewolucyjnych organi-zacji, do których zaliczono Bractwo Ży-wego Różańca i Bractwo Szkaplerzne (!). Został zesłany – tak jak wielu księży – do łagru na Wyspach Sołowieckich na pięć lat, a potem przebywał na zesłaniu. Wol-ność odzyskał w 1933 r. dzięki wymianie więźniów między Związkiem Sowieckim a Litwą.

W połowie lat. 20 ks. Skalski był na odpuście w Berdyczowie, gdzie znajdował się cudowny obraz Matki Boskiej. „Wszyscy byli zachwyceni i poruszeni do głębi tym widokiem religijności okazy-wanej przez katolików, wbrew wszel-kim agitacjom i hecom antyreligijnym urządzanym przez bolszewików”. Mimo szalonej propagandy i represji bolsze-wickich na odpust ściągnęło kilkanaście tysięcy wiernych, niektórzy z nich piel-grzymowali do Berdyczowa z chorągwia-mi, na których była z jednej strony Matka Boska, z drugiej Orzeł Biały. Do Komunii Świętej przystąpiło 12 tys. wiernych. Wkrótce potem kościół i klasztor Karme-litów zajęły władze sowieckie, urządzając tam muzeum ateizmu i kino.

W 1926 r. ks. Skalski został mianowa-ny potajemnie administratorem diecezji żytomierskiej. Po kilku miesiącach został aresztowany. Wezwany do GPU,

odpowiadając, jaki jest jego stosunek do komunizmu, powiedział, że zwalczanie komunizmu to nie jego rzecz. „Bezbożnictwu jednak stawiać sprzeciw to mój obowiązek jako czło-wieka wierzącego, a tym bardziej kapłana. O jakże Doliński uczeplił się tych słów moich. »My komuniści wszyscy jesteśmy bez-bożnicy – powiada – kto bezbożników zwalcza – nas zwalczaj«”.

Prokurator wywodził, że skoro ksiądz otrzymywał pieniądze z Polski (przezna-czone na cele charytatywne), to musiał w zamian coś dawać. „A cóż innego jak nie informacje szpiegowskie” – twierdził. A poza tym ksiądz miał dążyć do ode-rwania sowieckiej Ukrainy od Związku Sowieckiego. Świadków oskarżenia jed-

nak nie było. Pomocnikiem prokuratora był zaś „ekspert” do spraw kościelnych, Bolesław Przybyszewski, syn znanego pisarza Stanisława Przybyszewskiego. Swoją wywód „historyczny” o postawie kleru kończył konkluzją: „Ponieważ podstępny Skalski też jest księdzem, a ponadto nawet księdzem wyższym, niemal dostojnikiem, gdyż jest prałatem infulatem i administratorem diecezji – więc bez wątpienia i on musi być kontr-re-wolucjonistą”. Zasługi Przybyszewskiego nie zostały docenione. W latach wielkiego terroru został rozstrzelany.

Ksiądz Skalski został skazany na 10 lat więzienia. W 1928 r. miał wrócić do Polski w ramach wymiany więźniów między Polską a Sowietami. Skłama-no jednak, że jest chory i przyjedzie w póź-niejszym terminie. Jeszcze przez cztery lata był więziony, zanim w 1932 r. wrócił do Polski.

Nikt nas nie zastąpi

Ksiądz Jan Świdorski zarządzał diece-żą kamieniecką. Sprzeciwiał się wyjazdowi księży do Polski. „Teraz nie możemy zostawić parafii, nikt tu nas nie zastąpi. Powinniśmy tu być nie tylko wtedy, gdy nam dobrze, ale wtedy, gdy nam źle.

Osobiście i sobie powiedziałem, że nie poddam się i nigdzie nie wyjadę". Władze sowieckie określały go jako zacieklego reakcjonistę i polskiego szowinistę. Zamykały kolejne kościoły, stosując presję i podstęp. Jak relacjonował ks. Świdorski, zwabiły wiernych z Nowej Uszycy na zebranie, każąc na czystych kartkach papieru podpisać się na znak obecności. A potem napisano w gazecie, że domagają się... zamknięcia kościoła i zamienienia go na klub lub teatr. „W listopadzie 1929 roku noworuszycki kościół został rzeczywiście zamieniony na klub, gdzie wyłącznie niemal spędzała czas młodzież żydowska” – wspominał ks. Świdorski.

W 10. rocznicę rewolucji październikowej administrator diecezji kamienieckiej ks. Jan Świdorski i ks. Kazimierz Naskręcki, administrator diecezji żytomierskiej – pod groźbą aresztowania wielu księży – musieli podpisać list z tej okazji. Był wyważony i oszczędny w słowach, jednak komuniści sfałszowali go na swoją modłę i opublikowali. W 1930 r. obydwaj księża stanęli przed sądem. Skazano ich na śmierć, z zamienieniem wyroków na 10 lat łagrów. Dwa lata później wrócili do Polski w ramach wymiany więźniów. W 1934 r. udało się wydobyć z Sowietów bp. Antoniego Maleckiego, administratora apostołskiego Leningradu, który spędził cztery lata w łagrach. Pobyt w nich zniszczył zdrowie biskupa – zmarł rok po odzyskaniu wolności.

Prześladowania nadal trwały, mimo ocieplenia w stosunkach polsko-sowieckich. W 1935 r. został aresztowany ks. Stanisław Jachniewicz, ostatni kapłan w Żytomierzu. Rozstrzelano go dwa lata później w łagrze, zarzucając kontakty z trockistami i popieranie buntu więźniów.

W 1939 r. w sowieckiej Rosji były już tylko dwa kościoły katolickie: w Leningradzie i Moskwie. Ponad 700 tys. Polaków na dawnych kresach Rzeczypospolitej nie mogło się modlić w ani jednym kościele. Jak ustalił ks. Roman Dzwonkowski, wybitny znawca losów Kościoła katolickiego w Związku Sowieckim, prawie 500 księży było represjonowanych, wielu z nich zmarło w łagrach i na zesłaniu, a 140 zostało aresztowanych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Ksiądz Konstanty Romuald Budkiewicz, rozstrzelany w 1923 r.

FOT. WIKIPEDIA

Maria Dulebianka



Tomasz Stańczyk

Minęło właśnie 100 lat od chwili, gdy we Lwowie zmarła – 7 marca 1919 r. – Maria Dulebianka. Miasto było wówczas w ukraińskim okrążeniu, trwała bowiem jego obrona rozpoczęta w listopadzie 1918 r. Ponad 10 lat wcześniej, przemawiając w Warszawie na Zjeździe Kobiet Polskich, Dulebianka oświadczała: „My, kobiety, żądając równouprawnienia, żądamy współudziału w walce o prawa narodu, w pracy dla jego przyszłości, żądamy uczestnictwa w odbudowywaniu gmachu narodowego. A żądamy tego, bo mamy prawo sądzić, że ta budowa będzie lepsza i pewniejsza, i silniejsza, gdy i my rękę do niej przyłożymy”.

Gdy w 1910 r. we Lwowie powstał Związek Strzelecki, Maria Dulebianka, 50-latką, wstąpiła do jego oddziału żeńskiego. Spotkała się tam z Aleksandrą Szerbińską, przyszłą żoną Marszałka. Po wybuchu I wojny światowej Dulebianka założyła we Lwowie Komitet Obywatelski Pracy Kobiet, propagujący ideę legionową i wspierający materialnie oraz rzeczowo żołnierzy Legionów Polskich. Podczas listopadowej obrony Lwowa była członkinią Komitetu Obywatelskiego Kobiet, organizującego zaopatrzenie walczących w żywność, lekarstwa, opatrunki. Jak pisała Maria Bruchnalska w książce o kobietach ziemiankach w obronie Lwowa, Dulebianka żałowała, że „wiek i odraza do widoku krwi przyprawiającej o omdlenia” nie pozwoliły jej wstąpić do szeregów Ochotniczej Legii Kobiet, której załóżkiem była służba kurierska podczas listopadowych walk we Lwowie.

Na początku 1919 r. Dulebianka wyjechała pod egidą Czerwonego Krzyża wraz z delegacją kobiet, która miała zapoznać się z warunkami, w jakich są przetrzymywani w Mikulińcach polscy żołnierze wzięci do niewoli przez Ukraińców. Były fatalne, panował tyfus. Wszystkie kobiety zaraziły się tą chorobą, dwie z nich, w tym Maria Dulebianka, zmarły. Pochowano Dulebiankę na Cmentarzu Łyczakowskim, w grobie Marii Konopnickiej, której pogrzeb – będący wielką narodową manifestacją – organizowała w 1910 r. Była przyjaciółką i wieloletnią towarzyszką życia poetki, choć są dziś i tacy, którzy chcą koniecznie widzieć w przyjaźni Dulebianki i Konopnickiej związek lesbijski. Co jednak poparte jest jedynie domysłami i spekulacjami.

Maria Dulebianka zapowiadała się jako dobra malarka – była uczennicą Jana Matejki – jednak ostatecznie sztukę porzuciła dla działalności na rzecz równouprawnienia kobiet, angażując się w nią bardzo mocno. Prowadziła kampanię na rzecz przyznania kobietom praw wyborczych i w 1908 r. wysunęła demonstracyjnie swą kandydaturę do Sejmu Krajowego w Galicji, choć jako kobieta nie mogła być oczywiście wybrana. We Lwowie pracowała w urzędzie miejskim, zajmując się m.in. opieką nad ubogimi i powołując Klub Uliczników dla biednej młodzieży.

W 1927 r., chcąc uhonorować patriotyczną działalność Marii Dulebianki, przeniesiono jej trumnę z cmentarza Łyczakowskiego na cmentarz Obrońców Lwowa. © ©

1600–1611

/ Wojna ze Szwedami o Inflanty

Ciosy staropolskiego oreża



Maciej Rosalak

**Jak pod Kircholmem
husaria, tak pod Salis
atak płonących barek
spadł na Szwedów
niczym potężny grom**

Tę wojnę często podaje się jako koronny przykład słabości Rzeczypospolitej, której wojska wygrywały bitwy ze znacznie silniejszym wrogiem, natomiast przegrywały wojny. Cóż, szlachta nie płaciła stałych podatków, a szlachecki Sejm pałał niechęcią do uchwalania specjalnych danin na wojnę. W 1600 r. uznano, że konflikt Zygmunta III Wazy z Karolem IX Wazą jest jego prywatną sprawą i w ogóle ich nie uchwalono. Dopiero po szwedzkim ataku posłowie zmienili zdanie. Zresztą Sejm uchwalał zwykłe podatki na krótką kampanię, prowadzoną tylko w granicach państwa. Mijał rok i nieopłacone wojska rozpuszczane były po kraju, stanowiąc istną zmołę dla mieszkańców.

Przypomnijmy pokrótce, że ziemie – stanowiące dziś terytoria Łotwy i Estonii – od średniowiecza znajdowały się w rękach bliskiego Krzyżakom, niemieckiego zakonu kawalerów mieczowych. W II połowie XVI w. nastąpiła sekularyzacja zakonu, jego były mistrz Gotthard Kettler został lennikiem króla polskiego z Kurlandii i Semigalii, a o Inflanty rozpoczęły się zmagania Szwecji, Rosji, Danii, Lubeki i Polski. W efekcie południowe Inflanty (mniej więcej obecna Łotwa) pozostały przy nas, a 3 sierpnia 1569 r. Zygmunt August oddał je całej Rzeczypospolitej, a nie odrębnie Koronie czy Litwie. Zrównanie przez Sejm tamtejszej szlachty niemieckiej ze szlachtą Obojga Narodów przysporzyło nam z czasem wspaniałych polskich obywateli i patriotów: Tyzenhauzów, Rejtanów, Dönhoffów, Romerów, Platerów, Manteufflów i wielu innych.

Jednym z nich był zawodowy żołnierz Jerzy Farena, który od 1579 r. związał się trwale z Rzeczpospolitą, dowodząc oddziałami rajtarii podczas wypraw Batorego przeciw Moskwie, a także pod Bieczyną (1588). Kierował wyprawą morską Zygmunta III do Szwecji (1598), a następnie bronił Inflant przed Szwedami. Wojewoda wendeński od 1598 r., a od 1583 r. – hetman inflancki. Po jego

śmierci (został śmiertelnie ranny, broniąc Fellina w 1602 r.) nie mianowano już hetmanów inflanckich.

Rangę tę nadano dwóm tylko osobom. Pierwszą był ojciec Jana Karola – Jan Hieronimowicz Chodkiewicz (1537–1579), zwierzchnik wojsk Rzeczypospolitej walczących o Inflanty w latach 70. XVI w. Wraz z dwoma synami zmienił wyznanie z kalwińskiego na katolicyzm i stał się pierwszym w pełni spolonizowanym dziedzicem ruskiego rodu Chodkiewiczów.

Karol IX Sundermański był stryjcem polskiego (od 1587 r.) i szwedzkiego (od 1594 r.) króla Zygmunta III Wazy. Miał zastępować bratanka, gdy ten będzie przebywał w Rzeczypospolitej. Był jednak luteraninem, któremu Szwedzi (na ogół wyznania augsburskiego) powierzyli pełnię rządów, gdy tylko katolik Zygmunt powrócił za Bałtyk po zakończonej klęską wyprawie (1598). Zygmunt ogłosił wtedy przyłączenie Estonii do Rzeczypospolitej, na co stryjasek odpowiedział atakiem na Inflanty.

Hetman wielki

Wojna miała kolejne fazy – z kontrofensywą (1601) wojsk litewskich, a na-



„Bitwa pod Kirchholmem”,
mal. Wojciech Kossak FOT. MWP



Inflanty, Mapa Portantiusa,
1573 r. FOT. WIKIPEDIA

stepnie (1602) koronnych. Po zakończonych fiaskiem polsko-litewskich próbach zdobycia Estonii i obrony Inflant kolejny głównodowodzący – hetman (polny, a od 1605 r. wielki) litewski Jan Karol Chodkiewicz – płacił żołnierzom w krytycznych momentach z własnej szkatuły. Stały niedobór wojsk nie pozwalał na konsekwentną obronę miast i twierdz, odbijanych z rąk najeźdźców i szybko potem traconych.

Warto jednak przypomnieć kilka błyskotliwych zwycięstw wojsk polsko-litewsko-kurlandzkich, ich ówczesną wyższość nad Szwedami, czego efektem było jednak utrzymanie części Inflant południowych.

Pod Kokenhausen sędziwy hetman wielki litewski Krzysztof Radziwiłł Piorun 23 czerwca 1601 r. rozbił 4 tys. jazdy i 900 piechurów Karla Karlssona Gyllenhielma – syna Karola IX. Sam miał 2,9 tys. jazdy i 300 piechurów. Świetne rozpoznanie i rozmieszczenie sił, właściwe użycie artylerii i piechoty, a nade wszystko uderzenia husarii hetmana polnego J.K. Chodkiewicza oraz odwodu pod wodzą samego Pioruna przesądziły o klęsce Szwedów, których zginęło 2 tys.; 10 razy więcej niż Litwinów. Od strony ufortyfikowanego miasta zajętego przez wroga (polska załoga broniła się

nadal w zamku) ustawiono 500 piechurów i osiem dział pod komendą Ottona Denhoffa.

Ówczesny hetman polny koronny Stanisław Żółkiewski rozgromił z kolei Szwedów pod Rewlem (Tallinem) 30 czerwca 1602 r. Na czele kilku chorągwi jazdy wysłał go tam hetman wielki koronny Jan Zamoyski, aby zapobiegł koncentracji wrogich wojsk. Zamoyski z 2 tys. wojsk koronnych oblegał od końca maja Biały Kamień, silną twierdzę pośrodku Estonii. Gdy szarża z marszu husarii Żółkiewskiego utknęła przed piechotą chronioną kozłami hiszpańskimi (zasiekami z zaostzonych pali przeciw konnicy), Żółkiewski wysłał lepsze chorągwie za skrzydła i niespodziewanie uderzył z tyłu. Ponowiona szarża husarii kompletnie rozbiła zaskoczonych Szwedów. Poległy ich dwie setki wraz z dowódcą, Reinholdem Arnepem. Załoga Białego Kamienia, która próżno oczekiwała odsieczy, skapitulowała z końcem września.

Wreszcie przyszedł Kirchholm, gdzie Jan Karol Chodkiewicz stał w prochu armii Karola Sudermańskiego. Był już wtedy litewskim hetmanem wielkim i – chciałoby się powiedzieć – nie oznaczało to tylko rangi, lecz także wymiar postaci dziejowej. Istotnie bowiem po wiktorii

kircholmskiej śmiało można go umieścić w rzędzie największych wodzów Rzeczypospolitej – mistrzów nieznanej staropolskiej sztuki wojennej, takich jak Ostrogski, Tarnowski, Żółkiewski, Koniecpolski czy Sobieski...

Szwedzi oblegli we wrześniu 1605 r. Rygę. Chodkiewicz ruszył w jej kierunku z 2,4 tys. jazdy, ponad 1 tys. piechoty i czterema (bądź siedmioma) działami. 25 km od Rygi zastąpił mu drogę Karol IX Sudermański mający 2,5 tys. kawalerzystów i 8,5 tys. piechurów oraz 11 dział. Gdy wcześniej uczładował, świętując niechybne zwycięstwo, przyprowadzono doń jeńca, który wprawił biesiadników w jeszcze lepszy humor wiadomościami o małej liczbie i zmęczeniu wojsk Chodkiewicza długim marszem (później rozwścieczony klęską król przebijając jeńca rapierem). Nocą z 26 na 27 września Szwedzi zbliżyli się do obozowiska hetmana, wlokąc się w ulewie i tłoku, zmęczeniu, bez zapachu do walki. Nie zaskoczyli Litwinów; przeciwnie – Chodkiewicz znał wszystkie ruchy przeciwnika, a jego podkomendni wypoczywali całą dobę.

Hetman ustawił wojska litewsko-polsko-kurlandzkie z lekką jazdą na przedzie, następnie przeplatając rotę piechoty z chorągwiami husarii i wreszcie husarię Teodora Lackiego oraz 300

■ rajtarów kurlandzkich księcia Fryderyka Kettlera trzymając w odwodzie. Lewe skrzydło husarii Tomasza Dąbrowy opierało się na ustawionym nad brzegiem Dźwiny obozie, w centrum znajdowali się husarze Wincentego Wojny, a na prawej stronie – Jana Piotra Sapiehy. Karol IX ustawił swoje wojska w czterech rzutach, trzymając jazdę za piechotą, co srodze się na nim zemściło.

Oto gdy sprowokowana pozorowaną ucieczką naszych harcowników piechota szwedzka zeszała ok. godz. 13 ze wzgórza i ruszyła na obóz Chodkiewicza, spotkała się z tak potężnym uderzeniem Dąbrowy, że pierzchła, wpadając na ustawionych z tyłu rajtarów. Ci – szkoleni nie do szarży, ale do strzelania z pistoletów, kręcąc się w tzw. karakolu – nie mieli szans w walce na białą broń z najlepszymi jeźdźcami ówczesnej Europy. Ustawienie wojsk szwedzkich nie pozwalało na skuteczny manewr, zwłaszcza że do szarży ruszyli kolejno Wojna i Sapieha, a wreszcie Lacki i Kurlandczycy. Piechota szła miarowo ich śladem, zajmując pozycje wroga.

Około 10 tys. Szwedów nie wytrzymało impetu husarskiej nawały i rzuciło się do sromotnej ucieczki. Mówi się, że Sudermańczyk chciał zmęczyć, wykrwawić i wreszcie dobić nasze trzykrotnie mniej liczne wojska w kilku rundach, a został znokautowany już w pierwszej. Po 20 minutach od rozpoczęcia boju! Karolowi IX oddał konia i poświęcił wła-

sne życie rajtar Henryk Wrede. Podczas pogoni usieczono 6 tys. uciekających ku morzu wrogów i zdobyto obóz szwedzki pod Rygą, z całą artylerią oraz z zapasami amunicji i żywności. Srebrny kredens Karola IX przypadł Chodkiewiczowi. Straciliśmy ok. 100 zabitych. Dwustu – wśród nich Dąbrowa, Lacki i Wojna – zostało rannych. Śmierć poniosło 13 towarzyszy husarskich i pancernych (i aż 150 koni).

Admirał Chodkiewicz

Z pomocy floty gdańskiej i elbląskiej, jak również z kaprów (korsarzy) z powodzeniem korzystali Jagiellonowie podczas wojen z zakonem krzyżackim. A w latach 60. XVI stulecia, podczas rywalizacji z Rosją, Danią, Szwecją i Lubeką o wybrzeża bałtyckie, Zygmunt II August stworzył pierwszą polską admiralicję, Komisję Morską, i prawdziwą polską flotę. Do wzorów ostatniego Jagiellona wrócił Zygmunt III, który powołał Komisję Okrętów Królewskich i odbudowywał Marynarkę Wojenną. Dodajmy jeszcze, że 1635 r. kolejną admiralicję powołał Władysław IV, stworzył port u nasady Helu (Władysławowo właśnie) i uruchomił budowę okrętów. Kres tym przedsięwzięciom położyły obojętność szlachty i przegrana przez króla walka o cła gdańskie.

Podczas wojny 1600–1611, przy braku odpowiedniego wsparcia naszych wojsk od strony morza, Szwedzi bezkarnie – dysponując flotą niemal 80 jednostek, z których trzecią część stanowiły okręty

o ponad 400 tonach wyporności – wysadzali desanty na inflanckich wybrzeżach. Podobnie stało się pod Rygą, gdy pod dowództwem Joachima Scheela zablokowali oni ujście Dźwiny (1601). Jerzy Farnsbach zarekwirował wtedy wszystkie jednostki znajdujące się w porcie i nocą zaatakował szwedzką eskadrę. Zatopił jeden okręt, kilka uszkodził, a pozostałe uciekły.

Efekt zaskoczenia wykorzystał też starosta pucki Jan Weyher, który latem 1606 r. ukrył za cyplem Helu 12 polskich okrętów. Wyplłynęły one nagle naprzeciw flocie szwedzkiej Jakuba Gotberga, zdążającej na Gdańsk, uniemożliwiając jej przeprowadzenie skutecznego manewru. Skutkiem było rozsypanie szyku i wycofanie się Szwedów. Chodkiewicz z pewnością znał te wydarzenia. Słyszał też o płonących branderach stosowanych w jego epoce podczas wojen z Turkami na Morzu Śródziemnym. Z piorunującym skutkiem użył ich Anglicy podczas największego starcia z hiszpańską Wielką Armadą – pod Gravelines 8 sierpnia 1588 r.

Hetman na początku wiosny 1609 r. brawurowym nocnym atakiem zdobył Parnawę leżącą na południu Estonii, stolicę jednego z dwóch – obok dorpacckiego – najdalej na północ wysuniętych województw Rzeczypospolitej. Hetman zamierzał następnie odepchnąć Szwedów od Rygi. Na drodze do niej stały miasto i port Salis – dziś Salacgrīva na północy Łotwy – gdzie stała eskadra ośmiu szwedzkich okrętów oraz 11 jednostek pomocniczych pod dowództwem Joachima Mansfelda. Wydawało się, że wojska polsko-litewskie, złożone głównie z konnicy, są całkowicie bezradne wobec takiego przeciwnika...

I tu objawił się geniusz Chodkiewicza, jego umiejętność improwizacji, znajdowania właściwych sił i środków oraz podejmowania błyskawicznej decyzji. Obsadził piechotą dwa okręty zdobyte w Parnawie, a także pięć mniejszych statków handlowych, które kupił od Holendrów i Anglików, oraz zaciągnął na nie działa. Poza tym – co okazało się decydujące podczas ataku! – cztery łodzie kazał wypełnić prochem, smołą, słomą i drewnem. W ten sposób stały się one branderami. Żeglarzy uzyskał wśród wiernych Polsce Infantczyków. Eskadra ta nie miała szans w otwartej bitwie na pełnym morzu ze



Szwedzki kirasjer
w zbroi płytowej
RYS. MAREK SZYSZKO

znacznie silniejszą flotą szwedzką, dlatego trzeba było ją zaskoczyć porą i sposobem ataku.

Kilku fachowców inflanckich wystarczyło do przepłynięcia po Zatoce Ryskiej stosunkowo niewielkiego odcinka między obydwoma portami i skierowania do Salis siły uderzeniowej. Stanowiły ją brandery, które niesione sprzyjającym wiatrem zbliżały się do żaglowców wroga.

Działo się to nocą z 23 na 24 marca 1609 r. Załogi szwedzkie

były pogrążone we śnie, a strażę pełnią obowiązków niedbale, nie spodziewając się uderzenia – zwłaszcza od strony morza. Alarm wszczęto dopiero wówczas, gdy łodzie przeciwników zapłonęły potężnym ogniem, jak jakieś diabelskie pochodnie.

Efekt był piorunujący. Dwie brandery trafiły do burt szwedzkich okrętów, ogień przeniósł się na nie i wkrótce nie dało się już ich uratować. Na pozostałych w popłochu stawiano żagle, odcinano liny kotwiczne i odpływano jak najdalej od źródeł płomieni. Pojedynczo, bez ochoty na walkę zmykały jednostki wroga w mrok Zatoki Ryskiej, gdzie przywitały ich strzały z dział eskadry Chodkiewicza. Nie wiemy, czy pociski były celne i czy spowodowały straty na pokładach wroga. Nasi nie próbowali ich ścigać, bo mieli jednostki znacznie wolniejsze. W każdym razie dwa szwedzkie okręty spłonęły ze szczeniem, a Salis było nasze. Hetman, a w tym przypadku właściwie adm. Chodkiewicz, okazał się pierwszym, który wykorzystał brandery na Bałtyku.

O ile zwycięstwo Chodkiewicza pod Kircholmem jest dość często wspomniane, o tyle druga wiktoria, która również doprowadziła do zwinięcia oblężenia Rygi przez Szwedów, jest niemal całkowicie zapomniana. A przecież tak jak pod Kircholmem husaria, tak tu atak płonących branderów spadł na najeźdźców jak grom i takie też odniósł skutki.



Szwedzki muszkieter z muszkietem lontowym podpartym na forkiecie do strzału

RYŚ. MAREK SZYSZKO

O skażonym mleku matek Polek



Maciej Rosaluk

W lutym 80 grobów zostało sprofanowanych na cmentarzu żydowskim w Quatzenheim we Francji. Izraelski portal Times of Israel natychmiast podał zaś wiadomość o dewastacji... żydowskiego cmentarza w Świdnicy, co zostało oczywiście skojarzone z barbarzyńskim aktem antysemityzmu we Francji. Wiadomość z portalu okazała się „zwykłym kłamstwem”, jak słusznie nazwał ją ambasador RP w Izraelu Marek Magierowski. Ów fake news poprzedziła seria antypolskich wypowiedzi, w tym – niestety – sekretarza stanu USA, a także izraelskiego premiera, korespondentki MSNBC i wreszcie szefa izraelskiej dyplomacji. Skąd ten antypolonizm?

Otóż narodzinom naszego państwa 100 lat temu towarzyszyły oskarżenia prasy i środowisk żydowskich o rzekome pogromy urządzone Żydom przez Polaków. Dlatego latem 1919 r. amerykańska komisja rządowa pod przewodnictwem Henry'ego Morgenthaua przybyła do Polski i przez dwa miesiące badała zasadność zarzutów. Z początkiem jesieni Morgenthau podał, że od listopada 1918 do sierpnia 1919 r. na terenach polskich doszło do ośmiu większych ekscesów (nie – pogromów!) antyżydowskich: we Lwowie, w Kielcach, Pińsku, Lidzie, Wilnie, Kolbuszowej, Częstochowie, Mińsku Litewskim. W ich wyniku śmierć poniosło 280 Żydów. Zaznaczono, że przeważały wypadki wynikające z warunków wojennych, a władze polskie nie były inicjatorami zająć, co sugerowały nieprzychylnie nam środowiska, lecz – przeciwnie! – starały się poskramiać wszelkie objawy antysemityzmu.

W wspomniane środowiska łąły już kilkanaście lat wcześniej, gdy w Kiszyniowie (1903) carska ochrana spowodowała zamordowanie 47 Żydów, ciężkie poranienie 92, a lżejsze – 500. Obrabowano 1,3 tys. domów i sklepów. Feliks Koneczny pisał: „Jakież to charakterystyczne, że po strasznym pogromie Żydów w Besarabii zrobiono z Kiszyniowa miasto polskie i w Polsce położone! Podobne wymysły obiegają tuzinami prasę żydowską Anglii i Ameryki. Agencje telegraficzne Kopenhagi, Sztokholmu i inne roznoszą posiew fałszów i haniebnych kłamstw...”.

100 lat temu akcja defamacyjna wobec Polski została zorganizowana w czasie, gdy żydowscy posłowie w polskim Sejmie (Izaak Grünbaum, Samuel Hirschhorn) domagali się utworzenia w Rzeczypospolitej autonomicznego obszaru rządzonego przez Żydów – tzw. Judeopolonii. W 2019 r. doniesienie o skażonym antysemityzmem mleku matek Polek poprzedziło żądanie dostosowania polskiej legislacji do ustawy 447 Kongresu USA, pozwalającej m.in. organizacjom żydowskim na obłożenie państwa polskiego haraczem. Różnica między pracownikiem departamentu stanu Morgenthauem z 1919 r. a sekretarzem stanu Mike'em Pompeo z 2019 r. polega na tym, że ten pierwszy rzetelnie zbadał sprawę, zanim wyraził swe zdanie. ©©

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Siedemdziesiątkapiątka ze Starachowic



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

Opracowana w Starachowicach armata przeciwlotnicza kal. 75 mm była oryginalną polską konstrukcją i należała do najnowocześniejszych rodzajów broni przedwojennej armii



Opracowanie i wdrożenie do produkcji nowoczesnej armaty przeciwlotniczej było ambitnym wyzwaniem dla polskiego przemysłu zbrojeniowego. Artyleria przeciwlotnicza stanowiła broń wyspecjalizowaną, cechującą się innymi założeniami taktyczno-technicznymi aniżeli klasyczne działa polowe. Dodatkowo działu potrzebowało zaawansowanych technicznie urządzeń umożliwiających celny strzał do oddalonego i szybko prze-

mieszczającego się celu. W 1934 r. wojsko przedstawiło wymagania. Oczekiwano dobrej mobilności i dostosowania działu do marszu po drogach oraz w trudnym terenie, a także półautomatycznego zamka. Optymalny kąt podniesienia lufy określono na 85 stopni, a zasięg strzału w pionie (pułap) na 9 tys. m. Mechanizm kierunkowy miał mieć dwie prędkości, a sama armata powinna współpracować z tzw. aparatem centralnym, którego produkcję zamierzano uruchomić w Polskich Zakładach Optycznych. Prototypy

zbudowano w Towarzystwie Starachowickich Zakładów Górniczych SA.

Jesienią 1935 r. przystąpiono do przeprowadzenia prób, które wykazały wiele niedoskonałości. W kolejnych miesiącach wprowadzano poprawki i dopiero w 1937 r. ruszyła produkcja seryjna. Do podstawowych zespołów armaty należały: lufa z zamkiem, oporopowrotnik, mechanizmy kierunkowy i podniesieniowy, łożo górne oraz dolne z podwoziem. Obsługę działu stanowiło 10 kanonierów. Dodatkowo w skład działu wchodziło dwóch kierowców półgąsienicowych ciągników C4P: jeden dla armaty, a drugi dla przyczepy amunicyjnej. Masa działu w położeniu bojowym/marszowym wynosiła 4,5 t. Zasięg strzału w pionie sięgał 9,5 tys. m, a w płaszczyźnie poziomej 14,5 tys. Pocisk opuszczał lufę z prędkością 800 m/s. Amunicję stanowiły granaty odłamkowe wypełnione materiałem kruszącym i wyposażone w zapalnik czasowy.

Czterodziałowe baterie armat przeciwlotniczych kal. 75 mm wyposażono w zaawansowaną aparaturę pomiarową. Aparat centralny opracowany przez Polskie Zakłady Optyczne w kooperacji z francuską firmą Optique et précision de Levallois składał się z czterometrowego dalmierza i sprzęgniętego z nim szybkościomierza oraz przyrządu głównego (przelicznika); całość połączona była z armatami za pomocą kabli. Dalmierz służył do pomiaru odległości do celu, szybkościomierz ustalał jego wysokość i prędkość, a w przyrządzie głównym obliczano wyprzedzenie, kąt podniesienia lufy i czas rozprysku pocisku. Poprawki korygujące ogień baterii wprowadzano w przyrządzie głównym. Do wybuchu wojny mury fabryki opuściło kilkadziesiąt armat w dwóch zasadniczych wersjach: ruchomej wz. 36 i półstałej wz. 37 – różniły się dolnym łożem/podwoziem – dwuosiowym był w pierwszej wersji, a jednoosiowym w drugiej. ©©

Tarcza husarska

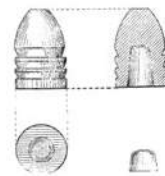


Na obrazie „Bitwa pod Orszą 1514 r.”, ukazującym zmagania armii polsko-litewskiej z Moskwianami, uwagę zwraca oddział egzotycznie wyglądających jeźdźców. Ubrani w watawone, szamerowane kaftany i wysokie filcowe kapelusze, uzbrojeni są w szable, lekkie kopie i charakterystyczne asymetryczne tarcze. To husarze, którzy do Polski przybyli via Węgry. Na początku XVI w. w niczym jeszcze nie przypominali zwycięzców spod Kircholmu i Kłuszyna, a jedną z wyróżniających ich cech były wspomniane tarcze, które zarzucono w husarii dopiero w czasach

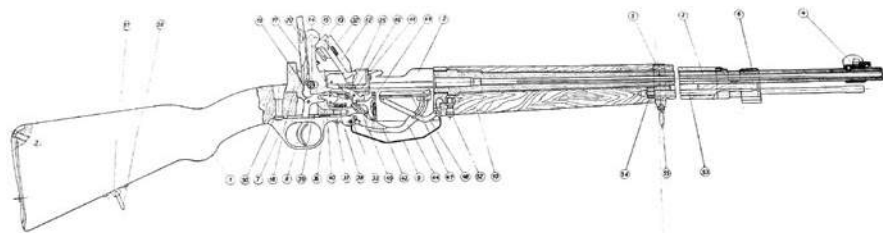
Batorego. W literaturze określa się je zazwyczaj jako typ węgierski, chociaż związek z Orientem wydaje się bezsporny. Wykonywano je z drewnianych listew i pokrywano skórą lub płótnem; dolna krawędź była półokrągła lub prostokątna, natomiast górna ukośnie ścięta, a lewy róg stanowił zwieńczenie dłuższej krawędzi bocznej; tarcza przypominała kształtem ptasie skrzydło. W połowie XVI w. wysokość takich osłon sięgała nawet 120 cm, a szerokość 70 cm. Najczęstszym motywem zdobniczym był malunek ptasiego skrzydła z łapą i pazurami. ©©

Pocisk Minié

Do połowy XIX w. większość piechoty uzbrajano w karabiny gładkolufowe strzelające pociskami kulistymi. Zalety broni gwintowanej znano, jednakże żmudny proces jej ładowania – kulę wbijano w przewód lufy tak, aby wpasować ją ciasno w gwint – powodował, że sztucerów używano w ograniczonej liczbie i tylko w elitarnych formacjach strzelców. Zastosowanie wydłużonych walcowatych pocisków o kalibrze mniejszym od wewnętrznej średnicy lufy rozwiązało problem. Ten wielki przełom w dziedzinie broni strzeleckiej związany jest z Francuzami, m.in. Claude'em Minié, który udoskonalił tzw. amunicję ekspansywną. W wydatnym wgłębieniu w dennej części walcowatego i mniejszego od średnicy lufy pocisku umieścił niewielki metalowy klin, który w momencie strzału wbijał się pod wpływem gazów prochowych w głąb pocisku i powodował rozszerzenie jego ścianek, a co za tym idzie – dobre wpasowanie się ołowiu w bruzdy lufy. Zwiększało to nie tylko zasięg, lecz także precyzję strzału. W drugiej połowie XIX w. większość nowoczesnych armii przyjęła na uzbrojenie gwintowane karabiny kapiszonowe dostosowane do nowej amunicji. ©©



Samopowtarzalny karabin Pedersena



Amerykański konstruktor broni John D. Pedersen zasłynął w 1918 r., przerabiając powtarzalnego Springfielda M1903 na broń samopowtarzalną. W latach 20. był najgroźniejszym rywalem Johna Garanda w konkursie na

samopowtarzalny karabin dla US Army. W 1926 r. zaprezentował broń działającą na zasadzie odrzutu zamka półswobodnego. Najistotniejszą innowacją, jako że sama zasada działania była znana już od dawna, stanowił nabój – 7 x 51 mm (.276

Pedersen). Mimo że amunicja wzbudziła zachwyt, karabin już nie. Jego budowa była skomplikowana, a dla niezawodnego działania konieczne było smarowanie każdego naboju z integralnej oliwiarki. Rok później konstruktor przedstawił poprawiony model o uproszczonym mechanizmie i dostosowany do amunicji fabrycznie powlekanej smarem, jednak armia zdecydowała się pozostać przy sprawdzonym już naboju. Premiowało to Garanda, który skonstruował broń dostosowaną do standardowej amunicji 7,62 mm. Przyjęto ją do uzbrojenia w 1936 r. pod oznaczeniem M1. ©©



Tymoteusz Pawłowski

/ W 1872 r. do światowej sieci dołączono Australię – w ten sposób okablowana była cała Ziemia

Telegrafia jest zjawiskiem ulotnym. Rzecz nie w tym, że łączność telegraficzna odbywała się drogą powietrzną, rzecz nie w tym, że depesze mają z reguły krótki żywot, ale w tym, że same przyrządy telegraficzne mają dość krótkie życie – liczone na dziesiątki lat. Tak naprawdę pod pojęciem „telegraf” kryje się wiele różnych wynalazków.

Oczywiście – jak niemal wszystkich wynalazków – początków telegrafów możemy szukać w czasach starożytnych, czy to w Persji, Rzymie, czy w Chinach. I – to też nie powinno być zaskoczeniem – praktyczne zastosowanie telegrafu przypada na czas rewolucji przemysłowej. To dopiero wówczas pojawiło się słowo „telegrafia”, pochodzące ze starożytnej greki, a oznaczające „dalekopisanie”.

Słowa te wymyślił Claude Chappe, który zbudował również pierwszą sieć telegraficzną. Był Francuzem, co w końcu XVIII w. oznaczało, że zaangażował się w wojny, które jego ojczyzna prowadziła z całą niemal Europą. Jego wkładem w wysiłek wojenny było zorganizowanie sprawniej łączności między Paryżem a broniącymi granic armiami. Wykorzystał do tego celu telegraf optyczny, którego działanie polegało na tym, że stojące co kilka kilometrów wieże przekazywały informacje za pomocą semaforów, czyli dużych ramion przymocowanych do wysokiego masztu. W 1792 r. powstała pierwsza linia 15 stacji. Łączyła Paryż z odległym o 230 km Lille, a czas przesłania jednego znaku od miasta do miasta wynosił 9 minut. Rezultat ten osiągnęto jednak wyłącznie przy doskonałej pogodzie.

Francja bardzo szybko odparła agresorów, a po kilku latach zdołała podbić niemal całą Europę. W ten sposób dokonał się eksport rewolucji, a także telegrafu. Cesarz Napoleon podróżował wraz z przewoźnymi semaforami, dzięki

XVIII–XX w. / Od semaforów do „telegrafu bez drutu”

Telegrafia



Claude Chappe demonstruje działanie telegrafu semaforowego (optycznego)

FOT. ARCHIWUM

czemu miał ciągły kontakt ze stolicą. Kolejne linie telegrafów optycznych pojawiały się w kolejnych latach. W Polsce pierwszą stałą linię zbudowano między Warszawą a Modlinem w 1831 r.

Oczywiście gdy wojny się skończyły, telegrafy nadal funkcjonowały. Przesyłało nimi polecenia służbowe, najważniejsze wiadomości, informacje biznesowe.

„Czas to pieniądź”

Rewolucja przemysłowa przyniosła telegraf nie tylko optyczny, lecz także elektryczny. Prototypy budowano jeszcze w XVIII stuleciu, ale na działającą sieć trzeba było czekać wiele lat. Wynalazcy starali się bowiem wykorzystać przesyłany wieloma kablami prąd do graficznego ukazywania liter. Każde z takich rozwiązań było skomplikowane i awaryjne. Pierwsza linia telegrafu elektrycznego połączyła w 1844 r. Waszyngton z Baltimore, a sukces odniosła przede wszystkim dlatego, że do pracy potrzebowała tylko jednego podwójnego kabla. Przesyłało po nim wyłącznie impulsy elektryczne – krótkie lub długie – które wyszkolony operator odczytywał jako litery. Dzisiaj już mało kto pamięta twórcę tej linii, ale niemal wszyscy znają postać Samuela Morse’a, twórcy „alfabetu” – a właściwie kodu – stosowanego do dziś.

W ciągu kilku lat telegraf elektryczny opanował cały świat, choć przez pewien czas działał równolegle z optycznym. Do Polski telegraf elektryczny dotarł w roku 1854, a działanie telegrafu optycznego zakończyło się w roku 1859. Najczęściej linie telegraficzne biegły wzdłuż torów kolejowych. Do dziś pozostały po tym ślady, jednak nie w postaci drewnianych słupów, ale charakterystycznych parterowych domków, które stoją tuż obok zabytkowych stacji kolejowych. Były one domkami – i urzędami – telegrafistów. W tym czasie wiadomość z Paryża do Warszawy docierała – telegrafem elektrycznym – po kilkunastu minutach.

Wiadomość wysłana z Paryża do Nowego Jorku docierała jednak po dwóch tygodniach, a do Chin – po dwóch miesiącach. Jedynym środkiem komunikacji były bowiem listy przewożone statkami. Postanowiono zatem sprawić, aby cała Ziemia stała się mniejsza. Środkiem do tego miały być podoceaniczne linie telegraficzne.

Było to wielkie przedsięwzięcie – porównywalne z utrzymywaniem Międzynarodowej Stacji Kosmicznej – i niezmiernie trudne. Kabel transatlantycki – między Wielką Brytanią, Kanadą a Stanami Zjednoczonymi – położono po kilkunastu latach starań, tylko po to... żeby popsuł się po miesiącu użytkowania. Sukces osiągnięto dopiero w 1866 r. Dał on nowe możliwości rządowi i przedsiębiorcom. Prosta wiadomość o konieczności przerzucenia tysiąca żołnierzy dawała dwa tygodnie oszczędności, mierzonych w dziesiątkach tysięcy funtów. Ówczesnych funtów – o wartości sto razy większej niż współczesne. To właśnie wówczas narodziło się powiedzenie „czas to pieniądź”. Praktyka nabyta podczas budowy kabla sprawiła,



Claude Chappe FOT. WIKIPEDIA

że w 1872 r. do światowej sieci dołączono Australię – w ten sposób okablowana była cała Ziemia.

2007 r. – kres telegramu

Wiek XX przyniósł kolejne rewolucje w telegrafii. Pierwszą było radio, a właściwie „telegraf bez drutu” – takiej właśnie nazwy, „wireless”, do dziś używa się w krajach angloskorykańskich. Wiedza, że do przesłania fal elektromagnetycznych nie jest potrzebny kabel, była dość powszechna, jednak sztuka polegała na tym, żeby teorię przekuć na praktykę. Jako pierwszy dokonał tego pochodzący z Włoch Guglielmo Marconi. Sukces przychodził stopniowo, w 1897 r. udało się przesłać wiadomość radiową nad

kilkudziesięcioma kilometrami Kanału Brytorskiego, a w 1901 r. – nad kilkoma tysiącami kilometrów Atlantyku. Stała łączność transatlantycką nawiązano dopiero w 1907 r. – a i tak przesłanie wiadomości zależało od szczęścia i pogody (nie tylko zresztą na Ziemi, lecz także na Słońcu).

Niemal w tym samym czasie co radio udało się zautomatyzować teleografię elektryczną. Opracowano maszynę, która zamieniała wpisany tekst na sygnały elektromagnetyczne, zamieniane u adresata w zrozumiałe przez laików litery. W Polsce ten wynalazek znany jest pod swoją nazwą dalekopisu, a jego bardziej zaawansowana wersja – teleksu. To właśnie wiadomość dalekopisowa – wydrukowana na wąskim pasku papieru i przyklejona do większej karty – była powszechnie nazywana przez Polaków telegramem.

Dalekopisy przeszły do historii w roku 2007. Kilkadziesiąt lat przed nimi do lamusa trafiły inne wynalazki telegraficzne, których nazwy często przewijają się na kartach książek historycznych. Pierwszym z nich była maszyna Edwarda Hughesa, znana w Polsce jako „hughes” albo „juz” – prosty aparat dalekopisowy. Łączność juzowa była podstawowym środkiem komunikacji Wojska Polskiego w czasach obu wojen światowych. Drugą z tych maszyn jest iskrowka, czyli prymitywna radiostacja, wysyłająca „wiadomości iskrowe”.

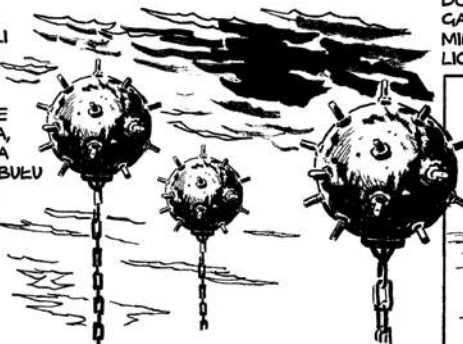
Jak wspomniano, telegramy przestano w Polsce dostarczać w 2007 r. Później, aż do 2018 r., można było otrzymać wiadomość podobną do telegraficznej, ale przesyłaną łączami internetowymi. Usługa stała się jednak nieopłacalna – dziś niemal każdy ma przy sobie urządzenie zdolne do wysłania krótkiej wiadomości tekstowej, zwanej SMS. Oczywiście SMS nie jest potrzebny – w każdej chwili można nawiązać połączenie głosowe, telefonia komórkowa dociera niemal wszędzie.

Jeszcze większe możliwości daje – również dostępny niemal wszędzie – Internet. Pozwala on przesłać nie tylko tekst, nie tylko słowo, lecz także obraz, bardzo często ruchomy. Jeszcze kilkanaście lat temu było to niemożliwe, zmiana ta jest więc naprawdę rewolucyjna. Czy jest to jednak rewolucja większa od tej, którą spowodował telegraf?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

18 MARCA 1915 ROKU ALIANCE ROZPOCZĘŁY INWAZJĘ MORSKĄ, MAJĄCĄ NA CELU PRZEBICIE SIĘ CIĘŚNINĄ DARDANELE NA MORZE MARMARA, CO POZWOLIŁOBY NA DOTARCIE DO ISTAMBULU I ZDOBYCIE MIASTA. JEDNAK OKRETY WPAŁY NA POLE MINOWE. Z 16 PANCERNIKÓW TRZY ZATONĘŁY, TRZY INNE ULEGŁY POWAŻNEMU USZKODZENIU.



DOWÓDZTWO PODJĘŁO WIĘC DECYZJĘ O DOKONANIU DESANTU NA PÓŁWYSEPIE GALLIPOLI. WŚRÓD 75 TYSIĘCY ŻOŁNIERZY BYLI POZA BRYTYJCZYKAMI TAKŻE MIĘDZY INNYMI AUSTRALIJCY, NOWOZELANDZCYCY, HINDUSI I GURKHOWIE. LICZONO NA SZYBKIE POKONANIE TURKÓW, JEDNAK...



... ALIANCE NAPOTKALI NA SILNĄ OBRONĘ. MIMO WYSOKICH STRAT UDAŁO SIĘ JEDNAK ZDOBYĆ PRZYSTAŃKI I OKOPAĆ SIĘ NA KILKU PLAZACH.

19 MAJA TURCY PRZEPROWADZILI ATAK NA POZYCJE ZAJMOWANE PRZEZ ODDZIAŁY AUSTRALISKIE I NOWOZELANDZKIE. W WYJĄTKOWO KRWAWYCH WALKACH ZGINEŁO OKOŁO 3 TYSIĘCE TURKÓW. ICH NATARCIE ZOSTAŁO ODPARTE. ROZKŁADAJĄCE SIĘ CIAŁA PRZEZ PIĘĆ DNI LEŻAŁY NA POLU WALKI, W KOŃCU ZAWARTO KRÓTKI ROZEM ABY POCHOWAĆ ZABITYCH.

WYJĄTKOWO KRWAWYCH WALKACH ZGINEŁO OKOŁO 3 TYSIĘCE TURKÓW. ICH NATARCIE ZOSTAŁO ODPARTE. ROZKŁADAJĄCE SIĘ CIAŁA PRZEZ PIĘĆ DNI LEŻAŁY NA POLU WALKI, W KOŃCU ZAWARTO KRÓTKI ROZEM ABY POCHOWAĆ ZABITYCH.



W KOLEJNYCH TYGODNIACH OBU STRONOM NIE UDAWAŁO SIĘ OSIĄGNĄĆ PRZEWAGI. ALIANCE NIE BYLI W STANIE ZDOBYĆ UMOCNIONYCH TURKICKICH POZYCJI. W PAŹDZIERNIKU ZDYMISJONOWANO GENERAŁA IANA HAMILTONA, ZASTĄPIŁ GO CHARLES MONRO, KTÓRY BYŁ ZWOLENNIKIEM WYCOFANIA WOJSK Z GALLIPOLI, MIMO SPRZECIWU WIELU OSÓB W RZĄDZIE, W TYM WINSTONA CHURCHILLA.

MONRO PRZYSZEDŁ, ZOBACZYŁ I SKAPITUŁOWAŁ.



W GRUDNIU 1915 ROKU ROZPOCZĘŁO SIĘ EWAKUACJĘ, KTÓRA TRWAŁA DO 9 STYCZNIA 1916 ROKU. W WALKACH ZGINEŁO OKOŁO 44 TYSIĘCY ŻOŁNIERZY ALIANCE, A BLISKO 100 TYSIĘCY ZOSTAŁO RANNYCH LUB ZACHOROWAŁO. STRATY PO STRONIE TURKICKIEJ WYNIOSŁY OKOŁO 90 TYSIĘCY ZABITYCH I OKOŁO 120 TYSIĘCY RANNYCH.

rysunki: Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

Obejrzałem dokument „Leaving Neverland”! I jestem wstrząśnięty! Michael Jackson był groźnym, drapieżnym, wyrachowanym i inteligentnym (w sensie przebiegłym) pedofilem (o homoseksualnym profilu). Nie będę recenzował filmu. Należy go po prostu zobaczyć.

Oglądałem blisko czterogodzinny film także jako historyk-biografista. I ta perspektywa jest dla mnie szczególnie dojmująca. Oto okazuje się, że także współcześnie w tej skali sfałszować można biografię każdej sławy (nie tylko w Polsce). Okazuje się, że można wykorzystać pozycję społeczną, wizerunek „Króla Popu” (określenie Elizabeth Taylor), by zamulić nawet tak potworne zbrodnie jak wieloletnie, notoryczne wykorzystywanie seksualne wymienianych wciąż na nowych partnerów chłopców od siedmiu lat wwyż. Było to możliwe także w USA – w anglosaskim, dość rygorystycznym systemie prawnym, w którym pozycja społeczna nie czyni z automatu (niczym w Polsce) złoczyńcy i pospolitego przestępcy niewinnym.

Film do końca nie odpowiada na pytanie, jak to się stało, że pomimo przeszką Neverlandu (posiadłości Jacksona), relacji świadków i zabezpieczenia twardych dowodów na przechowywanie materiałów pedofilskich (a nawet na obcowanie „Króla Popu” w łóżku z dziećmi) wszystko się jakby rozpułnęło jeszcze za jego życia. Wiemy, że „Król Popu” korumpował swoje ofiary (ich rodziców) ciężkimi pieniędzmi (miał wydać ok. 200 mln dol. na zasypanie swojej sprawy pedofilskiej).

I to jest chyba w tym filmie najsmutniejsze! Jackson oszukał system – system globalny! Podróżował i publicznie afiszował się z nie swoimi dziećmi, chodząc z nimi za rączkę, spał z nimi w łóżku w publicznych hotelach... Po czym lądował na audiencjach u prezydentów (w Polsce także), koronowanych głów, duchownych... Nikt nic nie widział. Nikt nie puknął się w głowę! Nawet ci (poza absolutnymi wyjątkami), którzy na co dzień obsługiwali wielki kompleks Neverlandu i stanowili zaplecze logistyczne tras koncertowych Jacksona.

Perspektywa historyka-biografisty każe mi spojrzeć na historię Michaela Jacksona trochę przez pryzmat własnych doświadczeń. To jeszcze jedno potwier-



Sławomir Cenckiewicz

/ Felieton

Neverland,

czyli biograficzne fałszerstwo

dzenie tego, że ważne jest nie wierzyć, nie akceptować a priori narzucanych autorytetów, i co istotne, nie stawiać im za życia pomników... I koniecznie należy skrobać w tych biografiach, wbrew wszystkim, szukać w nich tego, co skryte, bo wiele – a nawet często nic – się w nich nie zgadza!

Skończyłem „Leaving Neverland” późno w nocy. Obudziłem się i od razu uderzony zostałem wywiadem Pawła Rabejka, w którym zapowiedział adopcję dzieci przez homoseksualistów. Obejrzyjcie ten film, by się przekonać, jak niebezpieczne są te adopcyjne projekcje. Nie pozwólmy na zrobienie z Polski „Neverlandu”! Never ever!

A tak w ogóle to bardzo ceniłem (wcale nie z pozycji fana) Michaela Jacksona

i uważam go za wielkiego artystę – piosenkarza, choreografa i tancerza. Tym bardziej to jest smutne. Wiem, ile znaczą w historii popu, i wiem, że historii XX-wiecznej rozrywki oraz muzyki popowej po prostu nie ma bez Jacksona. I niech nikt nie mówi (jak to często w Polsce), że to taki amerykański produkt eksportowy i tak ważny fragment masowej kultury, że tykać go nie wolno. Nawet po śmierci. Niech jego historia będzie przestrogą przed fałszem usankcjonowanym przez polityków, media i tzw. liderów opinii publicznej!

I na koniec: nie wiem, dlaczego tak nagle po „Leaving Neverland” w zorganizowany sposób gumkuje się Jacksona z historii, jak Stalin gumkował Trockiego, a Chruszczow Stalina... Facebook, Wikipedia i część Internetu już ścigają się w tym retuszowaniu historii popu, w którym jakby coraz mniej jest Jacksona. Temu też jestem przeciwny! „Król Popu” istniał i pewnie był rzeczywiście królem popkultury. Należy o nim pisać tylko prawdę. Chociaż wiem, że cenzurując historię Michaela Jacksona, próbują wybielić siebie, bo przecież cały fałsz Neverlandu nie byłby możliwy bez pomocy tysięcy klakierów, którzy dzisiaj udają, że o niczym nie wiedzieli. ©©

/ Ważne jest nie wierzyć, nie akceptować a priori narzucanych autorytetów i nie stawiać im za życia pomników...

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER
STRATEGICZNY



PARTNERZY

